

FAJNY GOŚĆ, CZYLI KEBAB Z NAWROCKIM



REJS STERCZEWSKIEGO I WZMOŻENIE KONFEDERACJI



ŚMIERDZĄCA SPRAWA. MIESZCZUCHY TERRORYZUJĄ WIEŚ



KTO CHCE NAM UKRAŚĆ KONKURS CHOPINOWSKI?

SIECI

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE

42 (672) 2025
13–19 października 2025
CENA: 12,90 ZŁ
(w tym 8% VAT)



TYLKO U NAS

SOWIECKA DEMOLKA SĄDÓW

JEŚLI MINISTER WALDEMAR ŻUREK ZREALIZUJE SWOJE PLANY, CZEKA NAS BRUTALNE BEZPRAWIE

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694
9 772544 269502 42
Numer w sprzedaży do 20 X 2025 r.

wPolsce24

W świecie pełnym kłamstwa – mówimy prawdę.
W świecie manipulacji – wybieramy uczciwość.
W świecie propagandy – stoimy po stronie dziennikarskiej wolności.
Wspierając TV wPolsce24 – bronicie Polski.







WESPRZYJ patriotyczne media

numer konta:

69 1020 4900 0000 8202 3036 2577

tytuł wpłaty: **DAROWIZNA**

Twoje dane osobowe będą przetwarzane zgodnie z polityką RODO

eprasa.pl 050be848ed

Dobrze, że ktoś tego pilnuje

Prezydent Karol Nawrocki wcale nie musiał pisać tego listu. Ale przypominając swoje wyborcze obietnice w sprawie nielegalnej migracji, zaznaczył, że są one jak najbardziej aktualne i dla niego wciąż ważne. Po raz kolejny urząd prezydenta ma być ostatnim szańcem obrony polskiej suwerenności. Rząd Tuska oddał swoje pozycje zadziwiająco łatwo.

„Uprzejmie informuję, że Polska nie zgodzi się na jakiekolwiek działania instytucji europejskich, które zmierzałyby do rozlokowania w Polsce nielegalnych migrantów i liczę, że w swoich działaniach uwzględni Pani ten fakt" – napisał Karol Nawrocki w liście skierowanym do przewodniczącej Komisji Europejskiej Ursuli von der Leyen. Uprzejmie, ale stanowczo. Prezydent po prostu narysował czerwoną linię, której nie pozwoli przekroczyć.

W kampanii wyborczej usłyszeliśmy hasło: „Po pierwsze, Polska, po pierwsze, Polacy". Nie mam wątpliwości, że i tym razem przyświecało ono prezydentowi. Na końcu listu Nawrocki podpiera się autorytetem swoich rodaków. Podkreśla, że zdecydowana większość Polaków po prostu nie chce u nas nielegalnych imigrantów. Nieprzypadkowo napisałem o „autorytecie" wyborców, bo choćby po tym, jak prezydent stawia sprawę nielegalnej migracji, głosujący na niego mogą się poczuć potraktowani naprawdę serio.

U Tuska jest przeciwnie. Pamiętamy dobrze, jak „uroczyście unieważniał" referendum, które dotyczyło m.in. tej kwestii. Potem drwił z zapory na wschodniej granicy, gdy zaczął ją stawiać rząd Zjednoczonej Prawicy. A na sam koniec, gdy już doszedł do władzy, zaczął udawać, że zajmuje się problemem. Wykonał jakiś niezrozumiały manewr z ograniczeniem prawa azylowego (jakby kompletnie nie rozumiejąc, czym jest nielegalna migracja), by na koniec rozłożyć ręce i powiedzieć, że jest już za późno i nic się nie da zrobić, bo matka Unia już wszystko ustaliła w sprawie paktu migracyjnego.

Dobrze zatem, że ktoś tego na serio pilnuje i wysyła z Polski poważne sygnały, że nic nie jest na zawsze ustalone, że nie ma na to naszej zgody.



Rzeczywistość biegnie po linii czasu bardzo szybko. Być może komuś to może umykać, ale Polska naprawdę wykonała gigantyczną pracę w momencie najazdu Rosji na Ukrainę. To trzeba przypominać i prezydent to robi. „Zaoferowaliśmy nie tylko nasze własne domy, ale też potrzebne w tamtym momencie wsparcie państwa. Polska zachowała się solidarnie, pomimo że nie obowiązywał jej przymus solidarności" – pisze Karol Nawrocki. To bardzo ważne, bo media sprzyjające Tukowi wielokrotnie przekrzywiały rzeczywistość, zachwycając się (słusznie) dobroczynnością Polaków, ale rysując nasz obraz tak, jakby państwo i rząd Mateusza Morawieckiego nie istniały w tej kwestii. Prawda jest taka, że w tym wymagającym momencie daliśmy radę na wszystkich poziomach – indywidualnym, samorządowym i centralnym.

Dzisiaj prezydent Nawrocki podkreśla, że nie załatwimy istniejącego i realnego problemu, odsyłając nielegalnych migrantów do krajów Europy Środkowo-Wschodniej. Przymusowa relokacja nie jest w porządku ani wobec państw, do których chce się wepchnąć ludzi, ani wobec tych ludzi, których traktuje się jak towar przekładany z półki na półkę.

Nie jest jednak tak, że prezydent pisze o naszych zasługach i za te zasługi chce, by się od nas odczepić. Dojrzały polityk powinien coś zaproponować i z polskiej strony pada ważna deklaracja walki z przemytnikami, pomocy biedniejszym krajom oraz współpracy przy ochronie wschodniej granicy Polski. I dobrze, żeby Ursula von der Leyen – skoro uważa, że nielegalna imigracja jest naszym, wspólnym problemem – zrozumiała, że to nasza, wspólna granica. Bo tak się składa, że to także granica Unii Europejskiej oraz strefy Schengen.

Marcin Wikło

eprasa.pl 0506e848ed

SIECI

spis treści



38 To koniec polskiej szkoły! *Rozmowa Doroty Łosiewicz*



52 Urojenia pani kanclerz *Aleksandra Rybińska*



60 Serial Netfliksa kontra prawda historyczna *Stanisław Płużański*

NA POCZĄTEK

5 **CENZURA, CZYLI LIBERALIZM SAMOZAPRZECZONY**
Bronisław Wildstein

6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 **ROZMOWY Z ZUPĄ**
Krzysztof Feusette

9 **GORĄCA JESIEŃ**
Dorota Łosiewicz

10 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski

12 **BRUKSELSKA OBŁUDA: LEWICOWA EKSTREMISTKA CHRONIONA, PRAWICOWI PATRIOCI NA CELOWNIKU!**
Daniel Obajtek

13 **MUZYCZNE MOCARSTWO PONAD ALGORYTMAMI?**
Marta Kaczyńska-Zielińska

14 **WALIZKA SOFII LEBEDEVEJ**
Michał Korsun

16 **NIEMIECKI PLAN NA POLSKIE ZŁOTO**
Samuel Pereira

17 **NIE LEKCEWAŻYĆ POLSKIEGO HONORU!**
Jan Pietrzak

19 **FESTIWALE, FESTIWALE**
Lech Makowiecki

TEMAT TYGODNIA

20 **JASKINIOWIEC Z MACZUGĄ**
Stanisław Janecki

KRAJ

24 **KEBAB Z NAWROCKIM**
Konrad Kołodziejski

27 **TEJ WŁADZY NIE ZALEŻY NA ROLNIKACH**
Piotr Gursztyn

30 **WIEŚ TO NIE MIASTECZKO WILANÓW**
Grzegorz Szafraniec

32 **ZAMIAST ORDERÓW NIEMIECKA CELA?**
Łukasz Wróblewski

35 **CZY KTOŚ PRÓBUJE NAM UKRAŚĆ KONKURS CHOPINOWSKI?**
Marzena Nykiel

38 **TO KONIEC POLSKIEJ SZKOŁY!**
Z Agnieszką Pawlik-Regulską rozmawia Dorota Łosiewicz

40 **WYCIECZKA STERCZEWSKIEGO**
Dariusz Matuszak

ŚWIAT

42 **HISTORYCZNY TRIUMF NETANJAHU**
Marek Budzisz

45 **WIELKA ARMADA GRETY THUNBERG**
Jan Rokita

48 **POWRÓT ANDREJA BABIŠA**
Grzegorz Górny

50 **KOŚCIÓŁ POWINIEN STAĆ PO STRONIE UBOGICH**
Piotr Słabek

52 **UROJENIA PANI KANCLERZ**
Aleksandra Rybińska

OPINIE

55 **WĘDRÓWKA PO SAMOŚWIADOMOŚCI**
Maciej Walaszczyk

58 **NAUKA A LIBERALIZM, NAUKA A SPOŁECZEŃSTWO**
Wojciech Sady/Bronisław Wildstein

HISTORIA

60 **JAKA BYŁA POLSKA SZLACHECKA. SERIAL NETFLIKSA KONTRA PRAWDA HISTORYCZNA**
Stanisław Płużański

SIECI KULTURY

63 **ZAGRAJ TO PO SWOJEMU, FILIPIE**
Jolanta Gajda-Zadworna

65 **PROROK NADCHODZĄCEGO KOŃCA**
Maciej Walaszczyk

66 **HITY I KITY**
Piotr Zaremba

68 **ZDARTA DUSZA SKÓRY**
Robert Tekieli

PODRÓŻE

70 **MOJE SZLAKI: BANKSY**
Jolanta Gajda-Zadworna

KUCHNIA

71 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

72 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

73 **ZUPEŁNIE NIEFERALNA 13**
Ryszard Czarnecki

74 **URODZINOWE PRZESŁANIE**
Andrzej Zybertowicz

eprasa.pl 0506e848ed

BRONISŁAW WILDSTEIN

Cenzura, czyli liberalizm samozaprzeczony

Projekt ustawy o blokowaniu nielegalnych treści, który przygotował rząd Donalda Tuska, wyczerpująco omówił na naszych łamach Jacek Karnowski. Warto jednak wrócić do laboratoryjnego przykładu tego, jak w praktyce liberalizm zaprzecza swoim fundamentalnym zasadom. Ideologia, która na sztandarach niesie wolność i szczyci się tym, że zlikwidowała jej ograniczenia, rozbudowuje system cenzury.

To Komisja Europejska – oczywiście dla naszego bezpieczeństwa i ochrony naszych praw – stworzyła rozporządzenie DSA (Digital Services Act), które nakłada na internetowych nadawców obowiązek cenzurowania treści, pojawiających się w ich serwisach. Nieprzestrzeganie go grozi srogimi karami, a poszczególne państwa mają je wprowadzić do swojego ustawodawstwa.

Mało prawdopodobne, aby tak się stało, gdyż platformy cyfrowe w ogromnej większości są własnością Amerykanów, a Donald Trump obiecał już, że próba działań wymierzonych w nie spotka się z poważnymi retorsjami. KE rakiem zaczęła się wycofywać z tego pomysłu. Rząd Tuska jak zawsze jednak usiłuje być unijnym prymusem. Czy chodzi tylko o pragnienie premiera, aby swoją obecną funkcję wymienić na kolejną unijną synekurę, która zabezpieczy go przed odpowiedzialnością za łamanie prawa w kraju? To już inny temat.

DSA stanowi projekt cenzury i nie sposób temu zaprzeczyć. To, że jak każde ograniczenie wolności odwołuje się do szlachetnych motywów, niczego nie zmienia. Cenzura to kontrola przekazu. Uzasadnienie to sprawa wtórna.

Konserwatyści prezentują dwuznaczny stosunek do cenzury. Mają świadomość, że nie istnieje społeczeństwo bez ograniczeń. Czy do zabezpieczenia ich wystarczy obyczaj i presja wspólnoty, czy niezbędny jest także ustawowy zapis, to kwestia realiów i wyborów politycznych. Natomiast według liberałów wolność wypowiedzi powinna być bezwzględna, a próba cenzury dla dobra wspólnoty stanowi przejaw „tyranii większości". John Stuart Mill w „O wolności" dał kanoniczną wykładnię tego podejścia, której jądrem była sławna formuła: „Gdyby cała ludzkość z wyjątkiem jednego człowieka sądziła to samo [...], ludzkość byłaby równie mało uprawniona do nakazania mu milczenia, co on [...] do zamknięcia ust ludzkości".

Tradycyjne ograniczenia swobody, które odnajdujemy ciągle w zachodnich systemach prawnych (również w polskiej konstytucji) odwołują się do „moralności publicznej". Są one krytykowane przez liberałów, którzy wskazują, że moralność ta warunkowana jest głównie długim trwaniem i nie posiada twardego, racjonalnego uzasadnienia. W jej miejsce pragną powołać system wywiedziony z praw człowieka. Ma on być na tyle oczywisty, że nie potrzebuje prawnej obrony.

Okazuje się jednak, że po liberalnym zakwestionowaniu prawa natury, nie ma na czym oprzeć praw człowieka, a ich jednoznaczność okazuje się złudzeniem. W podstawowych konfliktach dotyczących prawa do życia (aborcja, eutanazja), godności człowieka (wykorzystywanie embrionów ludzkich) czy uprawnień rodziców do wychowywania dzieci nie sposób pogodzić tradycji cywilizacji zachodniej z liberalnymi wyobrażeniami. Prawa człowieka przekształciły się w wolę establishmentu, a ideologia emancypacji zaczęła być narzucana prawnie.

Najważniejszym elementem DSA jest zwalczanie „mowy nienawiści". Co nią jest, definiują rzecznicy dominującej ideologii. Jeśli aborcja ma być prawem kobiety, to jakakolwiek próba podważenia jej prawomocności uderza w komfort psychiczny tej, która decyduje się na pozbycie ciąży. Stanowi wymierzoną w nią „mowę nienawiści". Jeśli uznajemy małżeństwo za związek kobiety i mężczyzny, kwestionujemy prawo do małżeństw osób homoseksualnych czy jakich tam jeszcze postęp nam nie zaproponuje, a więc kierujemy przeciw nim mowę nienawiści. Jeśli wskazujemy, że islam jest niekompatybilny z cywilizacją europejską, jesteśmy opętanymi przez islamofobię nienawistnikami itd.

Liberałowie burzą tradycyjne zakazy i nakazy, aby w ich miejsce powołać zdecydowanie bardziej arbitralne i restrykcyjne. Nie wystarczy im cenzura prawna, która i tak coraz głębiej wdziera się w życie Europejczyka, domagają się prewencyjnej. Obowiązek cenzurowania przekazu zostaje rozszerzony na nadawców, zgodnie z komunistyczną metodą, która całe społeczeństwo zmuszała do uczestnictwa w totalitarnych praktykach. Szczególne uprawnienia cenzorskie uzyskują ośrodki ideologiczne, które nazywane są społeczeństwem obywatelskim – to establishment decyduje, że są nim ekspozytury międzynarodowych potentatów, a nie obywatele, którzy spontanicznie organizują się np. do obrony granic swojego państwa.

W ten sposób dowiadujemy się, co jest liberalną wolnością, do której – zgodnie z formułą J.J. Rousseau – mamy być zmuszeni. To wolność, w której wszyscy mówią jednym głosem, tolerancja wobec tych, którzy głoszą to samo, i pluralizm takich samych poglądów.



Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 0506e848ed



Sygnalista nadaje

Uwaga, demokraci walczący, Unijczycy polskiego pochodzenia, przyjaciele z kręgu Silnych Razem, bojownicy o praworządność! Nie jemy kebabów! Jedząc kebaba, sprowadzasz Araba. I Nawrockiego! Oczywiście jedzenie kebabów zawsze było zaściankowe i odpowiednie jedynie dla prawackiej biomasy z Polski wschodniej. Ludzie z Ten Kraju zawsze wybierali bardziej inkluzywne posiłki. Przyjazne planecie sushi, ośmiorniczki, czasem wegański currywurst z sosem sojowym (łagodnym, a nie ostrym). Eco, fusion i fair trade, a nie faszystowski kebab z zamordowanych zwierząt. Dlatego teraz to kwestia nie tylko dobrego smaku, lecz także moralności. Oraz edukacji zdrowotnej. Wiecie, że ta niedorosła do prawdziwej demokracji hołota żre kebaby za pieniądze z 800+?

Praworządność w Ten Kraju stała nad przepaścią, ale na szczęście nasz idol Waldek Żurek zrobił zdecydowany krok naprzód. Nie będzie już ziobrolotka. Będzie żurkomat. Nie może być tak, że ślepy los wskaże sędziego, który będzie rozpoznawał apelację w jakiejś ważniej sprawie. Np. w sprawie więźnia sumienia prześladowanego przez kaczystowski reżim i ciągle niebezpiecznych ziobrystowskich siepaczy. Czyli Staszka Gawłowskiego, człowieka czystego i niewinnego, jak, nie przymierzając, Sławek Nowak czy Romek Giertych. Sąd sądem, a praworządność musi być po naszej stronie. Murem za Staszkiem, a nie Staszek za murem! Dlatego aby przeprowadzić proces bez nacisków politycznych niezawisłych sędziów wskaże najbardziej apolityczna osoba wszechświata, czyli prokurator generalny i minister sprawiedliwości Waldek Żurek. Z pomocą swej równie apolitycznej towarzyszki ***Ewki Wrzosek***.

A wiecie, jak Ewcia nazywa swojego Waldka? Mówi o nim: „Drwal". „Tak tylko przypomnę, że minister to drwal. Miło to już było" – napisała w internetach. Prawda, że słodkie? No i wióry lecą przy rąbaniu.

Jeśli chodzi o praworządność i niezawisłość wymiaru sprawiedliwości, to płakaliśmy ze wzruszenia, słuchając prokuratora Darka Korneluka. Poszedł on do jednej zaprzyjaźnionej rozgłośni i bardzo przekonująco opowiadał, że nie ma żadnych dowodów na winę Romka Giertycha w sprawie Polnordu. Nic a nic. Romek też jest czysty jak lilija. „Proszę mi wierzyć, nie interesuje nas barwa polityczna oskarżonego" – powiedział Darek. I my wierzymy. A wy?

Trochę bardziej pechowa sytuacja jest z innym męczennikiem za demokrację, ***Sławkiem Nowakiem***. Udało się ukręcić 4 zarzuty z tzw. wątku polskiego. Niestety jest też wątek ukraiński, a tam jest jeszcze 13 zarzutów. Te nieużyte ukry nie chcą – *nomen omen* – ukręcić sprawy i biedny Sławek dalej nie jest pewny swojego losu. Na szczęście nasze służby złapały ukraińskiego terrorystę, chuligana i bandytę, który wysadził prywatne przedsięwzięcie, czyli rurę dostarczającą gaz do Niemiec. Nasi przyjaciele z Mocarstwa Moralnego domagają się, aby im go oddać. Jak każą, to trzeba tak będzie zrobić, ale może uda się go przehandlować za spokój dla Sławka. A Radek Sikorski mówił, że nie mamy zakładników na wymianę. Jak to nie mamy?

eprasa.pl 0506e848ed

Trochę nie pykła laicka katecheza ***Baśki Nowackiej***. W niemal europejskich miastach – Gdańsku, Wrocławiu czy innym Poznaniu – gówniażerka wypisała się z edukacji zdrowotnej. Mało kto został. Niedobrze jest o tym mówić, bo nawet potomstwo ważnych polityków, politykiń i osób politycznych obozu demokratycznego wymigało się od obowiązku uczestnictwa w nauczaniu znanej i cenionej pogromczyni prac domowych i polskich nazistów Baśki Nowackiej. Ale co się odwlecze, to nie uciecze. Za rok, wredne bachory, przyjdziecie na lekcje edu-zdrowia, bo będą obowiązkowe! Oczywiście zwolnione są dzieci uczęszczające w tym samym czasie na prywatne lekcje tenisa – co zapowiedział już jeden z najtęższych intelektualistów naszej strony Michał Szczerba. Czekamy na potwierdzenie ze strony Darka Jońskiego.



Wracając do ohydnego zwyczaju jedzenia kebabów, to trzeba podkreślić, że Rafał – prawdziwy prezydent naszych serc – w życiu nie wziąłby czegoś takiego do ust. Bagietkę z foie gras – owszem, ale tylko od szczęśliwych gęsi. Zresztą wtedy, gdy ten okropny Nawrocki szwendał się po jakichś dziurach w okolicy Radomia, nasz Rafał z zadumą wsłuchiwał się w muzykę takiego gościa, który kiedyś grał na klawiszach, ale potem zmarł. Szopen czy jakoś tak. Dziwna ta muzyka. Dla lamusów, nie taka bardziej taneczna, jaką Rafał lubi w klubach w swoim mieście. Inna też od tego, co grają wybitni artyści naszej demokratycznej strony, czyli Mata Syn Profesora i Taco Lis-Hemingway. Podziwiamy, że wytrzymał. I prawie wcale nie zaglądał do smartfona. Najważniejsze, że obowiązuje hasło: „Robimy, nie gadamy". Na początek owinęliśmy folią pomnik tego grajka o dziwnym nazwisku Szopen. Jakieś żółtki z Japonii jęczą z tego powodu, ale to nie oni będą decydować, kiedy robimy w Warszawie bałagan, a kiedy nie.



Wszędzie dokoła czyha zdrada podła. Poznajcie to nazwisko: Roman Mazur. Z twarzy podobny do nikogo. Nikt go nie zna, nazwisko też nic nie mówi, ale kiedyś startował w wyborach jako Trzecia Droga. Nie załapał się, więc znalazł robotę w instytucji, która nazywa się Podłoga dla Afryki (Floor4Africa). A teraz wbija nóż w plecy Szymka Hołowni. Zgłosił się do konkursu o posadę, o którą stara się Szymek. Czyli komisarza ONZ do spraw lekarzy, inżynierów i innych biednych ludzi szukających swojego miejsca na ziemi. Tak się nie robi, bo Szymek i bez tego ma małe szanse. A w Sejmie atmosfera pracy tak bardzo się popsuła, że nie można tam wytrzymać. Czas więc popsuć atmosferę pracy w ONZ.



Geopolityka: Franek Sterczewski przerwał milczenie. To zła wiadomość. Jest też jeszcze gorsza – wraca do kraju. Ale jest i dobra (choć zależy dla kogo). Franek ogłosił, że nie przerwie walki o wolną Palestynę. Jego skuteczność w walce o cokolwiek wywołała falę entuzjazmu w Izraelu i przygnębienie wśród Palestyńczyków. Rzeczywiście ten biedny naród przeszedł w ostatnim czasie wiele kataklizmów i nie zasłużył sobie na to, żeby Franek stał się jego sojusznikiem. W myśl zasady: „Chroń mnie przed przyjaciółmi, z wrogami poradzę sobie sam". Dodajmy, że kolejnym – po państwie Izrael – beneficjentem deklaracji Franka jest naród polski. Istniały bowiem uzasadnione obawy, że Franek znów zajmie się krajową polityką.



Franek ma jeszcze jeden kłopot. Radek Sikorski zaczął się od niego domagać zwrotu pieniędzy za koszt ewakuacji. Przykra sprawa, nie lekceważ jej, Franku. Wszyscy wiedzą, że jeśli chodzi o pieniądze to Radek jest... No właśnie, jak to nazwać? Może tak: bardzo oszczędny, zapobiegliwy i każdą swoją złotówkę ogląda pięć razy. Tu akurat chodzi nie o jego złotówki, ale wydanie publicznych pieniędzy na ewakuowanie Franka oznacza przecież to, że może nie starczyć na ośmiorniczki. A ich jedzenie jest przecież częścią pracy ministra spraw zagranicznych.

Wielki comeback Jaculi Murańskiego. Wunderwaffe obozu demokratycznego wraca w wielkim stylu. Brakowało nam jego mądrego głosu. Jacula wyzwał na pojedynek tego okropnego Nawrockiego. I nie będzie to pojedynek na jedzenie kebabów (Jacula woli wegański ramen). Będzie to pojedynek na piąstki. Teraz to już na pewno Rafał Trzaskowski zostanie prezydentem. Gwarantowane! Mec. Romek i dr Kontek mogą już zakończyć przeliczanie głosów z 1 czerwca.

Z życia chrząszczy i innych drobnoustrojów: ***Władek Kosiniak-Kamysz*** na listach wyborczych Koalicji Obywatelskiej (czy jak tam się ona będzie nazywała po zmianie nazwy). Jednoprocentowe sondaże PSL skłoniły Władka do tego, aby pójść po prośbie do Donalda. Decyzja nie była łatwa, bo Kosiniak był od dawna za bliską współpracą z Donaldem, a Kamysz się temu sprzeciwiał. To niewątpliwy zysk dla obozu demokracji walczącej. Teraz pora na wzięcie na listy równie popularnych polityków z Polski 2050. Wiadomo bowiem, że zerowe notowania po zsumowaniu dadzą równie zerowy wynik. Nie chodzi jednak o wygraną, ale o to, żeby kolejny raz udowodnić światu, że polskie społeczeństwo nie dojrzało do demokracji.

Fot. Liudmyla Skwarczyńska, Andrzej Wiktor, Andrzej Skwarczyński, archiwum

eprasa.pl 0506e848ed

Rozmowy z zupą



KRZYSZTOF FEUSETTE

Żurek: Dlaczego tutaj?
Tusk: Zgadnij.
Żurek: Że w barze mlecznym, to rozumiem. Nikt nas nie rozpozna. Ale czemu akurat „U Rafała”?
Tusk: Żebyś pamiętał, wchodząc do polityki, że nieważne są głosy wyborców. Rafa dostał ponad 10 mln...
Żurek: Na Campus?
Tusk: W wyborach!
Żurek: To co jest ważniejsze?
Tusk: Czy jesteś z nami, czy nie.
Żurek: Z nami? Czyli o kogo chodzi? O nas?
Tusk: Was ist das „nas”, zupko ty moja. Co bierzesz? Bo ja, jak się domyślasz, zamówiłem żurek...
Żurek: Nie, no bez jaj...
Tusk: Bez, ale za to z kiełbasą. A wiesz, że jajko jest symbolem ludzkiej duszy?
Żurek: Widziałem ten film.
Tusk: Jaki? „Skazani na Shawshank”?
Żurek: Nie, „Harry Angel”. Z Mickeyem Rourke’em.
Tusk: W rurkę to ja ciebie zaraz wciągnę. Co tam się dzieje u ciebie w resorcie?
Żurek: No przyspieszamy!
Tusk: Ale co?
Żurek: No śledztwa, jak premier kazał. I te, no... rozliczenia.
Tusk: Ale które?
Żurek: No te najbardziej rozliczające. Grodzki – umorzenie, Giertych – umorzenie, Nowak –umorzenie polskiego wątku, bo on był wtedy szefem kancelarii premiera.
Tusk: Którego premiera? Szydło?
Żurek: No, pana premiera...
Tusk: Jak nazwisko?
Żurek: Żurek.
Tusk: Jego nazwisko!
Żurek: No, Nowak.
Tusk: Nonowak?
Żurek: Samo „Nowak”.
Tusk: No i sam widzisz, że działał sam.
Żurek: Na wszelki wypadek umorzyliśmy. Natomiast Staszek...
Tusk: Lubnauer? Nie mów tak na nią, to jest w końcu wiceminister edukacji.
Żurek: Chodzi o Gawłowskiego.
Tusk: Chyba Gawkowskiego? No, co tam masz na niego?
Żurek: Mówię o Gawłowskim. Byłym sekretarzu partii...
Tusk: Od Hołowni?
Żurek: Od Platformy Obywatelskiej.
Tusk: Jak nazwisko?
Żurek: Już mówiłem – Żurek.
Tusk: K...a, co ty tak z tym jedzeniem wyskakujesz? Bez jaj.
Żurek: Bez jaj, tak jest. Są takie żurki, zresztą nie każdy lubi jaja.
Tusk: Nie każdy ma. Co z tym Staszkiem? Znowu się zacięła w drzwiach obrotowych?
Żurek: Mówimy o Gawłowskim. Podobno apartament nabył drogą nie kupna. Na wyspie Brać.
Tusk: Brać, nie kwitować. Znam te wyspę, he, he...
Żurek: Ale ona naprawdę nazywa się Brać. A apartament był przy ul. Domobrana.
Tusk: Jeśli to nie są okoliczności łagodzące, to już nie wiem, co będzie...
Żurek: Oczywiście, że są. Ale na wszelki wypadek wycofałem losowania.
Tusk: To znaczy?
Żurek: To znaczy, że tylko jeden sędzia będzie z losowania, a reszta, czyli dwóch, czyli większość, będzie z nadania.
Tusk: I Staszek się załapie?
Żurek: Staszek to jeszcze nic. Będziemy mogli szybciej skazywać pisowców!
Tusk: Aha. A co zrobimy za dwa lata?
Żurek: W jakim sensie?
Tusk: No, gdyby tak się stało, że nie zdążymy wsadzić wszystkich pisowców i aresztować wszystkich sędziów, którym się nie podobało np. wejście do TVP, to co?
Żurek: Czyli?
Tusk: Czyli chodzi o to, że jak oni znowu przejmą władzę, to taki Ziobro będzie mógł wyznaczyć dwóch na trzech i też mnie wsadzi?
Żurek: No nie. Bo my już nie możemy oddać władzy.
Tusk: Weźmiesz wszystko na klatę. Trudno. Jak się powiedziało „a”, to trzeba powiedzieć „ż”. Jak Żurek. Panie Waldku, pan się nie boi – jak głoszą słowa piosenki.
Żurek: Ja się nie obawiam. Ja się tylko boję, że oni mnie znowu zaatakują tym odkurzaczem. Już bym wolał pójść siedzieć, niż znowu tak się wystraszyć!
Tusk: Widzisz, jak się dobrze składa? Ty wolisz siedzieć, ja wolę odkurzać. Głowa do góry. Dopóki jesteś w Platformie, dalszy ciąg znasz.
Żurek: Super.
Tusk: Tyle tylko, że za parę miesięcy się likwidujemy i Platformy już nie będzie. Chodzi o, że się tak wyrażę, nowe otwarcie. To co, ja żurek, a ty co zamawiasz?
Żurek: To ja może... może... taksóweczkę.

eprasa.pl 0506e848ed

Gorąca jesień

Powodem wysokiej temperatury w parlamencie jest m.in. nadciągająca rotacja na fotelu marszałka Sejmu

Choć za oknami jesień i sezon na kurtki, czapki oraz parasolki ruszył pełną parą, to w polskim Sejmie jest niezwykle gorąco. I to nie tylko dlatego, że Szymon Hołownia postanowił porzucić własną partię i zamiast ratować Polskę 2050, która przecież miała być projektem na dekady, a szoruje po dnie poparcia już po dwóch latach od wejścia do rządu, postanowił ratować świat, obejmując ważne stanowisko w ONZ. Oczywiście jeszcze nie wiadomo, czy świat zechce, by to Hołownia był jego wybawicielem, ale na pewno Hołownia nie będzie już wybawicielem Polski 2050 i to nie on podejmie próbę wciągnięcia partii jego imienia nad próg wyborczy.

Powodem wysokiej temperatury w parlamencie jest m.in. nadciągająca rotacja na fotelu marszałka Sejmu. Każdy, kto śledzi polską politykę, wie, że od początku kadencji niezwykłą miętę do laski marszałkowskiej czuje lider Nowej Lewicy, który nie chciał dla siebie żadnych funkcji w rządzie, bo wymarzył sobie stanowisko drugiej osoby w państwie – marszałka Sejmu.

Według umowy zawartej przy tworzeniu koalicji 13 grudnia – tego politycznego patchworku szytego z czerwonych, żółtych, zielonych i niebieskich szmatek, który trzeszczy w szwach przy każdym mocniejszym szarpnięciu – 19 listopada ma dojść do zmiany strażnika sejmowego berła. Po Szymonie Hołowni, który przez dwa lata dzielnie pilnował, by posłowie nie mylili mikrofonu z megafonem, nie zataczali się podczas posiedzeń, zamroził sejmową zamrażarkę i stworzył Sejmflix, laskę powinien przejąć lider Włodzimierz Czarzasty.

Ale – jak to zwykle w polskiej polityce – tam, gdzie pojawia się laska, zaczynają się komplikacje. Hołownia, człowiek pogodny, choć coraz bardziej zmęczony widokiem „wczorajszych posłów" i udziałem w rządzie depczącym konstytucję, nad którą publicznie lał krokodyle łzy, oświadczył, że odda laskę pod warunkiem, że Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz zostanie wicepremierem. Dla odmiany zaś laska ta przyprawia ponoć o drgawki premiera Donalda Tuska, więc szef rządu reaguje na ten swoisty szantaż mniej więcej tak, jak rodzic, gdy dziecko próbuje negocjować warunki sprzątania pokoju.

I choć Włodzimierz Czarzasty od dwóch lat twierdzi, że jest gotów do funkcji, że ma doświadczenie i że marszałek to nie tylko tytuł, lecz także styl bycia, to sprawa wcale nie wydaje się być przesądzona. Tym bardziej że już parę miesięcy temu Szymon Hołownia twierdził, iż umowa koalicyjna to nie Pismo Święte.

Podobnie myślą chyba niektórzy posłowie koalicji rządzącej, bo już teraz zapowiadają w mediach, że nie zamierzają poprzeć kandydatury lewicowego polityka. Agnieszka Buczyńska z Polski 2050 już ogłosiła, że nie poprze Czarzastego, bo jej zdaniem nie będzie dobrym marszałkiem. Z PSL też słychać szemranie, że owszem, umowa umową, ale nie wszystkim podoba się wizja, by laskę dzierżył „towarzysz" z PZPR. Choć akurat o Polskim Stronnictwie Ludowym mówi się, że jest zielone z zewnątrz, a czerwone w środku, to jednak jakieś „ale" się pojawia. Marszałek senior Marek Sawicki powiedział, że ma wolny mandat i zagłosuje, jak mu się podoba, a o tym, jak mu się podoba, wszyscy się dowiedzą już po głosowaniu. Ilu będzie takich nieprzekonanych koalicyjnych posłów – jeszcze nie wiadomo. Jeśli ktoś się wstrzyma, ktoś zatrząśnie w toalecie lub zachoruje, może być różnie.



Tomasz Trela mówi: poczekajmy z tym wicepremierem do wyborów na szefa Polski 2050 i wtedy się zdecyduje, a posłowie koalicji mu wtórują: poczekajmy z wyborem Czarzastego na marszałka do wyborów szefa Nowej Lewicy, bo jeśli nie zostanie nim obecny lider, to i problem nie będzie taki palący.

Na pewno przez najbliższy miesiąc wokół laski będzie spore zamieszanie. To zresztą nie pierwszy raz, gdy laska wywołuje chaos w parlamencie. Sprawczynią najgłośniejszego była Anastazja P. – legenda lat 90. Podobno gdy wchodziła do budynku przy ul. Wiejskiej, nawet Straż Marszałkowska wciągała brzuchy. Przez jej pamiętnik upadło dobre imię wielu posłów. Było też zamieszanie z laską Petru – Joanną Schmidt. Po słynnej podróży na Maderę (która okazała się Lizboną), co działo się podczas głośnej okupacji Sejmu przez opozycję, na łeb na szyję zaczęły lecieć notowania Nowoczesnej, upadło marzenie pana Ryśka, by zostać premierem i w końcu upadł on jako szef partii. Po drodze było bez liku różnych skandali i skandalików, ale teraz przez laskę marszałkowską może upaść nawet rząd. Chyba że pojawi się kandydat kompromisowy, ale wtedy Włodzimierz Czarzasty będzie musiał się obejść smakiem. A tyle się naczekał...

Dorota Łosiewicz

Reżim w obliczu wojny

Wenezuela obawia się amerykańskiego ataku. Władze zarządziły ćwiczenia milicji i gorączkowo zachęcają swoich zwolenników do zaciągania się w jej szeregi. Informują też o narastającym zagrożeniu.

Dotychczas amerykańskie lotnictwo zniszczyło na międzynarodowych wodach trzy szybkie łodzie, których używano – zdaniem Waszyngtonu – do przemytu narkotyków. To właśnie walką z kartelami narkotykowymi Amerykanie uzasadniają uderzenia, w których dotychczas zginęło – jak się szacuje – 20 osób.



Stany Zjednoczone od miesiąca wzmacniają swoją obecność w rejonie Karaibów. Amerykańska flota w tamtym rejonie składa się z ośmiu jednostek, w tym dwóch niszczycieli i atomowego okrętu podwodnego. W Portoryko stacjonuje 10 samolotów F-35. W skład zgrupowania wchodzą również trzy okręty przeznaczone do ataków lądowych. Mówi się, że na morzu jest 2,2 tys. marines i 4 tys. innych żołnierzy.

Zdaniem opozycyjnego wobec Trumpa dziennika „The New York Times" niedawna zmiana nazwy amerykańskiego resortu obrony na ministerstwo wojny jest elementem przygotowań do starcia z Wenezuelą. Stacja telewizyjna NBC, powołując się na kilka niezależnych źródeł w Pentagonie, twierdzi, że trwają przygotowania do uderzenia lądowego, którego celem mają być ośrodki produkcji narkotyków. Od lat wiadomo jednak, że w Wenezueli handel narkotykami kontrolują siły zbrojne, co oznacza, że można spodziewać się operacji wymierzonej w cele wojskowe.

Nicolás Maduro, wenezuelski dyktator, którego wybór nie został uznany przez wiele państw świata, w tym Stany Zjednoczone, obawia się, że celem amerykańskiej operacji będzie przede wszystkim „zmiana reżimu poprzez groźby militarne". W świetle jego deklaracji Wenezuela jest w maksymalnej gotowości. Zmobilizowano jakoby 4 mln milicjantów. Maduro oświadczył też, że jest w stanie wezwać do broni 8 mln Wenezuelczyków, co wydaje się liczbą przesadzoną, zwłaszcza że ten zubożały kraj po fali emigracji zamieszkuje dziś 28 mln ludzi.

Według szacunków londyńskiego think tanku IISS Wenezuela mogłaby wystawić co najwyżej 123 tys. słabo uzbrojonych żołnierzy, 8 tys. rezerwistów i 220 tys. milicjantów. Eksperci oceniają też, że wenezuelscy żołnierze są zdemoralizowani i niewykluczone, iż nie będą chcieli walczyć za reżim Maduro. O ile wysocy rangą oficerowie uczestniczą w narkotykowym biznesie, o tyle szeregowy personel może być utrzymywany w ryzach jedynie za pomocą brutalnych represji. To zaś skłania do spekulacji, że Trump może chcieć się rozprawić z reżimem Maduro.

Marek Budzisz

Ludobójstwo w ciszy

Najkrwawsza wojna wywołująca największy kryzys humanitarny na świecie toczy się dziś nie na Ukrainie ani w Strefie Gazy, lecz w Sudanie. Rozpoczęli ją w kwietniu 2023 r. dwaj generałowie, niegdyś sojusznicy, a później zawzięci wrogowie: Mohamed Hamdan Dagalo i Abdel Fattah al-Burhan. Obaj dysponują siłami liczącymi po 150 tys. żołnierzy i są zdeterminowani, by walczyć do całkowitego wyniszczenia przeciwnika, nawet kosztem zrujnowania 50-milionowego kraju.

Na skutek ich działań zginęło już 150 tys. cywilów, 14 mln ludzi musiało uciekać ze swoich domów (w tym 3 mln uchodźców znalazło się w sąsiednich krajach), a 26 mln osób cierpi z powodu poważnego niedożywienia.



Najbardziej dotknięta konfliktem jest prowincja Darfur, będąca areną wojny już w latach 2003–2020, podczas której zabito 300 tys. cywilów, a 3 mln zmuszono do ucieczki. Obecnie niemal cały region znajduje się w rękach bojowników gen. Dagalo. Jedynym dużym ośrodkiem, który się przed nimi broni, jest El Fasher, oblężony od maja 2024 r. W otoczonym mieście jest uwięzionych ok. 260 tys. osób (z czego połowę stanowią nieletni), które nie zdołały w porę uciec z potrzasku. Ludzie giną tam nie tylko na skutek bombardowań i ostrzału, lecz także z powodu chorób (w tym epidemii cholery) oraz głodu. Armia gen. Dagalo nie wpuszcza bowiem do miasta transportów z żywnością i lekami, uniemożliwiając wjazd organizacjom humanitarnym. Brakuje więc jedzenia i podstawowych środków medycznych. Oblegający odmawiają nawet otwarcia korytarzy humanitarnych, którymi ludność cywilna mogłaby się wydostać ze śmiertelnej pułapki. Mieszkańcy El Fasher są zatem traktowani niczym zakładnicy, których życie nie przedstawia żadnej wartości.

Cywile mieszkający na terytoriach kontrolowanych przez stronę przeciwną od dawna są zresztą dla wojsk gen. Dagalo celem do zniszczenia. W kwietniu jego bojownicy zaatakowali bezbronny obóz uchodźców Zamzam, w którym przebywało 700 tys. ludzi. Doszło do masakry. Świat jednak milczy o Sudanie.

Grzegorz Górny

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 0506e848ed



Życie szczura

Chiny

Coraz gorsze perspektywy na przyszłość wywołały epidemię depresji wśród chińskiej młodzieży. Młodzi podejmują pracę i studia wyłącznie pod presją społeczną, bo w dość powszechnym mniemaniu wykształcenie nie przynosi im dziś wymiernych korzyści. Wielu z nich unika jakiejkolwiek aktywności życiowej, zamykając się samotnie w domach, co dało początek określeniu „ludzie szczury".

Budzą się zwykle ok. południa. Potem przez kilka kolejnych godzin siedzą pod kołdrą, przeglądając internet. Wstają późnym popołudniem, aby coś zjeść – zwykle zresztą niczego sami nie przygotowują, tylko zamawiają kuriera z tanim jedzeniem na wynos. Potem ten cykl się powtarza aż do godzin nocnych, gdy zasypiają, wyczerpani psychicznie. Zdarza się, że nawet nie wpuszczają światła do swoich mieszkań i przez całe dnie nie uchylają zasłon. Jeżeli wychodzą z domu, to tylko wówczas, gdy naprawdę muszą, np. aby pójść do biura, na zajęcia w szkole lub krótkie zakupy. Z nikim nie utrzymują kontaktów osobistych, wszystko odbywa się online.

Tak wygląda życie szczura, czyli po chińsku „lao shu ren". W obliczu spowolnienia gospodarczego w Chinach termin ten zrobił ostatnio zawrotną karierę wśród chińskiej młodzieży, odnotowując prawie 2 mld wyświetleń w internecie. Jak sama nazwa wskazuje, opisuje on styl życia podobny do tego, który prowadzi szczur – nocny i na marginesie, bez ustalonej ścieżki. Postrzegany jako forma cichego buntu przeciwko kulturze pośpiechu i szybkiemu tempu współczesnego społeczeństwa obnażył poważną presję, z jaką młodzi Chińczycy borykają się w szkole i pracy – od surowych wymagań akademickich po bezlitosny rynek pracy. Coraz więcej młodych ludzi utożsamia się z „ludźmi szczurami" i decyduje się nimi zostać.

„Ani się nie wyróżniam, ani nie mam dobrego pochodzenia rodzinnego. Jest mi niezwykle trudno odnieść sukces o własnych siłach" – wyjaśniał w rozmowie z dziennikarzami jeden z chińskich studentów, który po dwóch latach wzorowych wyników na uczelni stracił nadzieję na lepszą przyszłość i podobnie jak wielu rówieśników popadł w „szczurzą" depresję.

Według oficjalnych danych stopa bezrobocia wśród młodzieży w Chinach zbliżyła się do 16 proc., co oznacza niewielki wzrost względem poprzedniego roku. Jednocześnie rynek został zasilony rekordową liczbą 12,22 mln absolwentów uniwersytetów, którym trudno będzie znaleźć zatrudnienie zgodne z ich kwalifikacjami.

„Pójście na studia nie gwarantuje dobrej przyszłości" – tłumaczy młoda pracownica firmy edukacyjnej. Jej zdaniem należy żyć chwilą: „Nie oszczędzać i nie kupować domu. Kto wie, może wybuchnie wojna i ten dom zniknie bez śladu?".

Konrad Kołodziejski



Wielka Brytania

Dowód osobisty proszę

Rząd Partii Pracy Keira Starmera chce zbudować bazę danych obejmującą wszystkich dorosłych mieszkańców Wielkiej Brytanii. Cyfrowa identyfikacja obywateli ma ograniczyć kradzieże cudzej tożsamości oraz nielegalną pracę wśród imigrantów.

Kwestia wprowadzenia dowodów tożsamości od lat jest jedną z głównych osi sporu między laburzystami i prawicą, a dowody osobiste zawsze były tam postrzegane z dużą nieufnością. Niektórym kojarzyły się bowiem z praktykami autorytarnych rządów kontynentalnej Europy i pytaniem: „Czy możemy zobaczyć pańskie dokumenty?".

Brytyjczycy po raz ostatni byli zobowiązani do posiadania dowodów podczas II wojny światowej, kiedy uważano, że ułatwią one wychwytywanie niemieckich szpiegów. Po jej zakończeniu obowiązek został zniesiony w przekonaniu, że są zasadniczo niebrytyjskie i niepotrzebne. Pomysł ich przywrócenia powrócił dopiero za czasów premiera Blaira, ale ówczesny laburzystowski rząd działał bez przekonania i wkrótce stracił władzę, a jego konserwatywni następcy szybko zamknęli temat.

Dziś Wyspy Brytyjskie są szturmowane przez setki tysięcy legalnych i nielegalnych imigrantów spoza Europy. Winę za to ponosi głównie lewica, która chce powrócić do stosowania starych metod kontroli społeczeństwa. Odpowiedzialność za wdrożenie dowodów osobistych spoczęła na nowej minister spraw wewnętrznych Shabanie Mahmood. „Moje wieloletnie osobiste poglądy polityczne zawsze skłaniały mnie ku wprowadzeniu dowodów" – oświadczyła. Trudno się dziwić – brytyjskim MSW nie kieruje rdzenna Brytyjka, ale praktykująca muzułmanka pakistańskiego pochodzenia. Stanowczy sprzeciw wobec tych planów wyraził natomiast lider Partii Reform Nigel Farage, który coraz pewniej zmierza do przejęcia władzy. W jego opinii wprowadzenie cyfrowej tożsamości nie tylko nie zmniejszy problemu imigracji, lecz także da rządowi gigantyczne narzędzia nadzoru i inwigilacji społeczeństwa.

Maciej Walaszczyk

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 0506e848ed

Brukselska obłuda: lewicowa ekstremistka chroniona, prawicowi patrioci na celowniku!



No proszę, europejska demokracja w pełnej krasie – z jednej strony uchylają immunitety dwóm polskim europosłom za bzdury, które nawet nie zasługują na miano zarzutów, a z drugiej chronią włoską bojówkarkę z Antify oskarżoną o brutalne pobicie pałką teleskopową niewinnych ludzi. 7 października 2025 r. Parlament Europejski zagłosował za odebraniem ochrony mnie i Michałowi Dworczykowi, podczas gdy na tej samej sesji odmówił uchylenia immunitetu Ilarii Salis, lewicowej eurodeputowanej z AVS, znanej z akcji Antify

Zacznijmy od nas. Europosłowi Dworczykowi zarzucają utrudnianie śledztwa w sprawie afery mailowej – ach, co za zbrodnia! Tak naprawdę to Rosjanie zhakowali jego skrzynkę, a on stał się ofiarą cyberataku Kremla. Ale w Brukseli to on jest winny, bo rzekomo nie współpracował dość ochoczo. Śmiech na sali, zwłaszcza że te „zarzuty" to polityczna wendetta po wyborach. A ja? „Nadużycie uprawnień" w ORLENIE, „niedopełnienie obowiązków" – typowe polowanie na czarownice. No i najważniejszy zarzut – poleciłem wycofać jeden z numerów tygodnika „Nie" z naszych stacji. Zapominają dodać, że okładka w obrzydliwy sposób szkalowała świętego Jana Pawła II, sugerując mu tuszowanie pedofilii. *De facto* broniłem katolików przed bluźnierstwem, a teraz to ja mam być ścigany? Straty? Żadne, za to zyski dla Polski – miliardowe, bo zbudowałem wraz z zespołem wspaniałych ludzi energetycznego giganta, który uniezależnił nas od Rosji. Uchylenie immunitetu pozwala prokuraturze postawić zarzuty za te brednie, ale to czysta polityka – ekipa Tuska mści się na prawicowych rywalach.

A teraz Salis – ta „bohaterka" lewicy, oskarżona o ciężkie pobicie uczestników wolnościowego marszu w Budapeszcie w lutym 2023 r. Obecna europosłanka atakowała pałką teleskopową niewinnych ludzi, powodując u wielu poważne obrażenia. A złapana i osadzona w areszcie wymyśliła, że ucieknie za europejski immunitet – symptomatyczne, że lewica ochoczo podała jej pomocną dłoń, umieszczając na listach kandydatów. Węgry domagały się uchylenia jej immunitetu, by dokończyć process, w którym już została skazana, ale europarlament odmówił. Bo lewica w Brukseli chroni swoich – Antifa to ich „aktywiści", a pobicie „faszystów" to rzekomo obrona demokracji. Gdzie tu sprawiedliwość? Konserwatyści tracą ochronę za papierkowe bzdury, a lewicowa ekstremistka zostaje bezkarna za realną, brutalną przemoc.

To szczyt hipokryzji – decyzje PE to nie prawo, tylko polityczna zemsta. Prawica buduje suwerenność, lewica sieje chaos, a Bruksela nagradza tych drugich. Czas obalić ten lewacki układ, zanim zniszczy wszystko, co konserwatywne i polskie – dość tej farsy, walczmy o prawdziwą Europę wartości!

Daniel Obajtek

Fot. Archiwum autora

eprasa.pl 0506e848ed

Muzyczne mocarstwo ponad algorytmami?



Marta Kaczyńska-Zielińska

Część ludzkiego języka emocjonalnego jest nierozerwalnie związana z muzyką i dźwiękiem, co w pewnym stopniu wpływa na styl życia jednostki. Nikt dziś nie wątpi, że muzyka stanowi kluczowy element naszego codziennego życia, ale tylko nieliczni eksperci z głównych nurtów psychologii społecznej i osobowości zdają się rzeczywiście zwracać uwagę na to wszechobecne zjawisko społeczne. Atrakcyjność muzyki powoduje, że służy ona także jako narzędzie soft power – przyciągania uwagi opinii publicznej za pomocą połączenia czynników kulturowych z wartościami moralnymi i zasadami ideologicznymi.

Przez cały XX w. wiele krajów zachodnich zwiększało swoje globalne wpływy, wykorzystując soft power. Dokonywało się to za pośrednictwem mediów, filmów, telewizji i właśnie muzyki. Wraz z rosnącą popularnością rozrywki w językach lokalnych i rozdrobnieniem odbiorców mogło by się wydawać, że era miękkiej siły się skończyła. Tak jednak nie jest.

Rozwój technologii doprowadził do zastąpienia ludzkich kreatorów gustów algorytmicznymi, era ludzkiej soft power została zastąpiona przez epokę algorytmów. W ciągu ostatniej dekady firmy technologiczne przejęły dominującą rolę kulturową i społeczną w życiu konsumentów na całym świecie. W ten sposób ideologie korporacyjne firm (przejawiające się w ich algorytmach i strategiach) kształtują sposób, w jaki świat postrzega sam siebie. Co najważniejsze, firmy te sformułowały nowy zestaw zasad sukcesu kulturowego. Ich liderzy często mają ugruntowane przekonania polityczne, a wielu z nich postrzega przedsiębiorstwo jako narzędzie promowania swoich poglądów. Podczas gdy stara era miękkiej siły miała na celu propagowanie (przynajmniej w teorii) poglądów kulturowych i politycznych całych narodów, współczesna technologiczna soft power promuje światopogląd określonej grupy społeczeństwa. Wewnętrzne mechanizmy algorytmów są ściśle strzeżonymi tajemnicami korporacyjnymi, a konsumenci nie mają pojęcia, jak wpływają one na myślenie, przekonania i zachowania. To inżynieria społeczna na skalę globalną. Geopolityczne implikacje są ogromne, ale wpływ na rozrywkę i kulturę pozostaje równie głęboki.

Istnieją jednak utwory, które powstały i zyskały bezcenną wartość na długo przed erą algorytmów, a popularność zawdzięczają wyłącznie swojemu ponadczasowemu pięknu. Za dwa lata minie 100 lat od pierwszego Konkursu Chopinowskiego. Fenomen tego wspaniałego przedsięwzięcia, które co pięć lat tak doskonale wpisuje się w emocjonalność właściwą chyba tylko zatopionej w tysiącach barw polskiej jesieni, cieszy się coraz większą popularnością dzięki geniuszowi utworów skomponowanych przez Fryderyka Chopina. Z konkursu na konkurs rośnie poziom uczestników, co także wskazuje na niesłabnące zainteresowanie polskim kompozytorem.

W tegorocznej edycji konkursu wszyscy grają na najwyższym światowym poziomie. Szczególne uznanie i zarazem wzruszenie wzbudził doskonały pianista z Korei Południowej Hyuk Lee, który płynną polszczyzną opowiedział o swojej fascynacji twórczością Chopina, która skłoniła go do zamieszkania w naszej ojczyźnie.

Twórczość najwybitniejszego polskiego kompozytora to polska soft power, która magnetyzuje i przyciąga, snując muzyczną opowieść o istocie polskiej duszy i uzmysławiając, czym jest nasze dziedzictwo i jaką olbrzymią wartość stanowi. Fenomen Chopina i siły, która płynie z polskiej kultury na co dzień pozostają chyba niedostatecznie doceniane przez Polaków, co widać niestety zwłaszcza u aktualnego włodarza Warszawy. Międzynarodowy prestiż konkursu uzmysławia, ile zawdzięczamy Chopinowi i ile można osiągnąć dzięki geniuszowi tego artysty. Warto, by ojczyzna najsłynniejszego na świecie polskiego kompozytora była państwem, w którym edukacja muzyczna dzieci i młodzieży stoi na wysokim poziomie, a wiedza o twórczości Chopina i innych polskich kompozytorów była upowszechniana nie tylko w szkołach muzycznych. Ta spuścizna stanowi spajający nas kod kulturowy, który musimy nieść następnym pokoleniom i we własnym szeroko pojętym interesie opowiadać o nim światu. Także za pomocą najnowocześniejszych technologii.



Naszej Koleżance

ANNIE SARZYŃSKIEJ

Najszczersze wyrazy współczucia
i słowa otuchy
w trudnych chwilach po śmierci

MAMY

składa

zespół tygodnika „Sieci”,
portalu wPolityce.pl i telewizji wPolsce24

eprasa.pl 0506e848ed



Walizka Sofii Lebedevej

piosenkarki, poetki, poliglotki, miłośniczki języka polskiego



„Ach, polski!” – powtarzam sobie nieustannie, choć uczę się języka polskiego jako obcego już od ponad 10 lat. Nie mogłam dłużej dusić tego w sobie, więc kilka lat temu zaczęłam tworzyć wideo o języku polskim z perspektywy obcokrajowca – by dzielić się relacjami z tej podróży w głąb polszczyzny. Swoje konto w Internecie nazwałam @ax.polski, by połączyć ojczystą cyrylicę z alfabetem łacińskim. Wszystko zaczęło się w liceum, gdy usłyszałam słowo „książeczka”. Wówczas pomyślałam, że to najsympatyczniejsze słowo, jakie kiedykolwiek słyszałam. Od tamtej chwili odkrywam, jak cudownie języki słowiańskie splatają się ze sobą, tworząc niezwykłe wzory, a czasem zabawne pułapki. Np. polski „dywan” po ukraińsku znaczy „kanapa”, a ukraińska „dynia” to po polsku „melon”. Na szczęście przede mną wciąż jeszcze wiele do odkrycia – choćby gramatyka historyczna czy język Leśmiana.

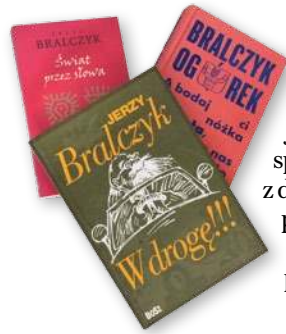
A więc ta podróż trwa... i oby trwała jak najdłużej!

SŁOWNIKI



Miałam dwu-, trzyletni okres w życiu, że z miłości do języka polskiego czytałam wyłącznie słowniki i książki o gramatyce. Mam całkiem pokaźną kolekcję. Inne pozycje nie wchodziły w rachubę. Zresztą lubię się uczyć obcych języków i obecnie posługuję się pięcioma.

PROF. BRALCZYK



Na pewnym etapie mojej nauki języka polskiego uczyłam się w ten sposób, że dokonywałam transkrypcji z dwugodzinnych wykładów prof. Bralczyka. Skrupulatnie zapisywałam każde słowo, każdy przecinek i ogonek.

eprasa.pl 0506e848ed





KONTO MUZYCZNE NA YOUTUBE I SPOTIFY (SOFIA LE)

Pierwsze utwory komponowałam na pianinie już jako kilkulatka. I choć uważam, że świat nie potrzebuje kolejnej płyty muzycznej, to nagrywam teledyski do mojej muzyki improwizowanej, poezji śpiewanej i utworów w klimacie etno we wszystkich językach, które znam.



MIKROFON I LAMPA

Staram się zawsze mieć ze sobą zwłaszcza mikrofon, żeby nie blokować własnej inspiracji, bo to jest ulotny materiał. To moje „umożliwiacze" do tworzenia jakościowych treści na Instagram lub TikTok.

OŁÓWKI, DŁUGOPISY

Ponieważ nagminnie gubię spinki do włosów, zamiast nich używam narzędzi piśmienniczych, które stały się moim znakiem rozpoznawczym.



INSTAGRAM I TIKTOK (@AX.POLSKI)

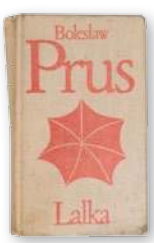
Dzięki prowadzeniu kont w social mediach poznaję dużo ciekawych ludzi, w tym moich uczniów. Uczyłam np. języka ukraińskiego jednego ze znanych reżyserów, który znalazł mnie dzięki TikTokowi.



GITARA

Uwielbiam ją. Nauczyłam się na niej grać już jako osoba dorosła. Potrafię grać ze słuchu i jest to coś absolutnie uwalniającego. Łączę nutę po nucie i tak powstają piosenki, które „piszę" na gitarze.





„LALKA" BOLESŁAWA PRUSA

Przeczytałam ją w całości na żywo na TikToku. Czytałam po dwie godziny przez prawie dwa tygodnie. Zebrałam w tym czasie całkiem liczne grono widzów i słuchaczy, którzy mnie wspierali, gdy nie rozumiałam jakiegoś słowa.

WIOLONCZELA

Skończyłam klasę wiolonczeli i pianina w szkole muzycznej w Sumach. Dźwięk wiolonczeli jest najbliższy ludzkiemu głosowi ze względu na barwę oraz zakres dźwięków, który obejmuje skalę wszystkich głosów ludzkich. Na wiolonczeli po prostu się śpiewa.



SHRUTI BOX

Używam do osobistej medytacji i relaksacji, ale muzykoterapię uprawiałam też wcześniej dla różnych grup: uchodźców, ludzi po udarze, osób starszych i z zespołem Downa. Muszę zaznaczyć, że dla osób po udarze jest to bardzo skuteczna metoda, zresztą napisano na ten temat sporo prac naukowych. Muzyka dobrze wpływa na powrót do płynnego mówienia.





UKULELE

Kiedyś, gdy pracowałam w ośrodku kultury, przyszła do mnie uczennica. Poprosiła mnie, żebym nauczyła ją grać na ukulele, ale wtedy jeszcze nie umiałam. Więc dała mi instrument i zaproponowała, że przyjdzie na lekcje, gdy się nauczę. Po tygodniu zaczęłyśmy zajęcia.



WEGETARIANIZM

Jem tylko zielone. I czerwone, np. jabłka. Ta dieta po prostu mi służy.

Wysłuchał i zapisał Michał Korsun

Fot. i archiwum prywatne: Sofia Lebedev, Shutterstock (x3), materiały prasowe AKG i CASCHA

eprasa.pl 0506e848ed

Niemiecki plan na polskie złoto



Samuel Pereira

Niemiecka prasa znów wie lepiej, co Polska powinna zrobić z własnym majątkiem. Klaus Bachmann, profesor i publicysta, zachęca Donalda Tuska do „odważnego" sięgnięcia po rezerwy złota NBP. To ten sam Bachmann, który kilka lat temu pisał o „eksperymencie nad Wisłą", mającym sprawdzić, jak daleko Berlin może ingerować w sprawy Polski. Dziś ponownie podpowiada premierowi, że przecież już raz potrafił „zredukować" dług publiczny, „nacjonalizując" pieniądze Polaków z OFE. Nazwał to nawet „grzechem pierworodnym", który pokazał, jak wiele można zrobić, „jeśli tylko się chce".

Ale jak to się kończy – wiemy doskonale. Obniżenie ratingu Polski przez Moody's, gwałtowny wzrost kosztów obsługi długu – z 70 do prawie 90 mld zł rocznie – to cena za politykę, w której ważniejszy od gospodarki jest partyjny interes. W kampanii mówiono o „odbudowie wiarygodności finansowej", po wyborach przyszło brutalne zderzenie z rzeczywistością.

Tymczasem NBP, którego złote rezerwy przekroczyły już 520 t, staje się dla Berlina i Brukseli coraz bardziej kłopotliwym symbolem niezależności. Złoto nie jest towarem, który można sprzedać – to gwarancja stabilności złotego, niższych kosztów długu i bezpieczeństwa w razie kryzysu. Ale dla tych, którzy marzą o wspólnej kasie i wspólnej walucie, polskie sztaby złota są tylko „niewykorzystanym potencjałem".

Tusk już groził w kampanii, że Adam Glapiński „nie będzie ani jednego dnia dłużej prezesem NBP i nie trzeba będzie ustawy". Skoro Berlin naciska, a jego ulubiony niemiecki felietonista przypomina „skuteczne wzorce", może i tym razem rząd sięgnie po to, co nie jego. Polityczna droga Tuska pokazuje, że kiedy polityk raz nauczy się brać z cudzej kieszeni, drugi raz przychodzi mu to łatwiej. A złoto NBP to nie tylko kruszec – to test suwerenności.



Fot. Konrad Kosycarz/KFP

Nie spodziewałem się

Z aktorem Andrzejem Konopką rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Trzy bardzo różne role w głównym konkursie 50. Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni i aktorska nagroda przyznana za film „LARP. Miłość, trolle i inne questy". Jak pan odebrał tę decyzję jury?

Andrzej Konopka: „LARP..." zaskoczył wielu ludzi. Rozmowy, w których oprócz roli gratulowano mi też filmu, zaczynały się najczęściej od słów (które powtarzałem tuż po werdykcie): „Nie spodziewałem się...". Czyli nie tylko tytuł był tu egzotyczny. Zwłaszcza dla bardziej dojrzałych widzów, których może trochę odstraszał, nie obiecywał za wiele, ale kiedy trafili już na film, okazywało się, że ta historia – pod płaszczykiem LARP-owego szaleństwa (zachęcam wszystkich, którzy nie wiedzą, o co chodzi – niech sprawdzą w internecie) – opowiada o rzeczach najważniejszych dla każdego człowieka. O przyjaźni, miłości, relacjach – także tych z rodzicami – i o skomplikowanym okresie, jakim jest dojrzewanie.

Grany przez pana ojciec to postać z rysem komediowym, a jednocześnie pełna prawdy i ciepła. I chyba jedna z nielicznych nie w kostiumie, chociaż...

...mundur policjanta też jest dla niego rodzajem kostiumu. Poza tym z powodu swoich pasji ma też np. niesamowity strój myśliwego. Przede wszystkim jednak cieszę się, że ten ojciec, który z początku mógł się wydawać – jak to się teraz mówi – lekko toksyczny, w ostatniej scenie, bardzo wzruszającej, mógł się odsłonić. I okazało się, że nie tylko ma swoje racje, lecz także pod maską opresyjnego faceta skrywa niesamowitą wrażliwość i potworny brak.

Jury doceniło wielowymiarowość bohatera, ale zdaje się, że panu brakowało zauważenia pozostałych konkursowych filmów z pana udziałem?

„Wielka Warszawska" Bartka Ignaciuka z oryginalnym [choć poddanym adaptacji – przyp. red.] scenariuszem Jana Purzyckiego domyka trylogię złożoną z fantastycznych filmów „Wielki Szu" i „Piłkarski poker". Tu również był kostium. I powrót do przeszłości, bo opowiadamy o latach 90. ub.w. i o bardzo specyficznym miejscu, jakim jest Tor Służewiecki w Warszawie, oraz o tych wszystkich niesamowitych rzeczach, które się tam dzieją, czyli m.in. o hazardzie, w którym udział ma również mój bohater. Przede wszystkim jednak na festiwalu w Gdyni był pokazywany niesamowity, bardzo ważny społecznie film „Dom dobry" Wojtka Smarzowskiego. I strasznie mi smutno, że w żaden sposób nie został zauważony przez jury. Trzymam kciuki, by docenili go widzowie.

Autopromocja

eprasa.pl 0506e848ed

Nie lekceważyć polskiego honoru!



Jan Pietrzak

Rafał Ziemkiewicz wydał uzupełnioną wersję swej książki „Jakie piękne samobójstwo" o Polsce przedwrześniowej. Gdyby nie to, że obecnie grozi nam zabójstwo Polski aktualnej, można by się przerazić tamtym samobójstwem.

Książka jest świetnie napisana, niesamowicie erudycyjna i mocno krytyczna wobec sanacji, której Ziemkiewicz jest ostrym przeciwnikiem. Prawdopodobnie uważa on, że gdyby w 1939 r. Polską rządziła endecja, Hitler ze Stalinem powstrzymaliby się od ataku na nasz kraj. Ja tak nie myślę. Obaj wodzowie byli pełni zbójeckiego zapału wobec nas. „Pokraczny bękart Traktatu Wersalskiego" nie miał prawa istnieć na mapie Europy. Fakt, że Polska zwyciężyła w I wojnie światowej, odzyskała niepodległość i pokonała bolszewicką Rosję w trzyletniej wojnie „jeden na jeden", był dla tych imperialnych potworów nie do zniesienia. Półtora wieku germanizacji i rusyfikacji nie zniszczyło polskiego ducha i woli walki. Kulturkampf i Sybir, pruskie rugi i ruskie kibitki nie odstraszyły Józefa Piłsudskiego i Romana Dmowskiego od snucia marzeń o wolnej Polsce. Oczywiście na różne sposoby. I po 1918 r. na różne sposoby zaczęli organizować życie polityczne.

Jedni bardziej pragmatycznie, inni mocno romantycznie, mówiąc w dużym uproszczeniu. Dlaczego mieli być tacy sami? Do kogo dziś można mieć pretensję, że bardziej waleczni, dysponujący większym zapleczem społecznym okazali się piłsudczycy? Ich styl administrowania mógł się nie podobać, ale działali w dobrej wierze. Polska dopiero zaczynała się meblować po zaborach. Zdecydowanie słabszy potencjał gospodarczy od sąsiadów sprawił, że pojawiła się tromtadracja, udawana mocarstwowość mająca przykryć naszą słabość. A co – mieli się załamać, rozpłakać i posłusznie przekazać Niemcom „korytarz" jak niepyszni? „Nie oddamy ani guzika!" – wołał Rydz-Śmigły. Blefował, ale czy mógł inaczej? Do honoru odwoływał się Beck. Jeśli nie ma się atutów w dywizjach czołgów, eskadrach samolotów i okrętach podwodnych, jak walczyć o przetrwanie ojczyzny? Tylko z Bożą pomocą i honorem.

W popularnej piosence śpiewało się: „Morze, nasze morze! / Wiernie ciebie będziem strzec. / Mamy rozkaz cię utrzymać, / albo na dnie, na dnie twoim lec". Tuż po wojnie śpiewałem to, maszerując wśród ruin i gruzów w kompanii małoletnich, sformowanej z dzieci wojny. Śpiewaliśmy z zapałem, bo całe nasze dzieciństwo było wypełnione egzekucjami, szubienicami, śmiercią rodzin i kolegów. Walka była honorem.

Warto rozejrzeć się po dzisiejszej Polsce, w której się panoszą szmaty bez honoru, notoryczni oszuści, w sądach zdeprawowana kasta, w szkołach kwitnąca tępota, w mediach się pleni, na niemieckim gnoju hodowane ziółko, piński śmierdziel... Gdzie spojrzeć: łapówkarze, zdrajcy, szubrawcy. Redaktorze Rafale, proszę nie lekceważyć polskiego honoru. Jest bardziej potrzebny niż w czasach ministra Becka.



eprasa.pl 0506e848ed



Szklana pułapka

System kaucyjny działałby sprawniej, gdyby szanse były równe

W Europie każdego roku produkuje się setki milionów ton odpadów z tworzyw sztucznych. Gdyby zmienić perspektywę i potraktować je jako surowiec, roczne oszczędności polskich gospodarstw domowych również byłyby liczone w setkach milionów. Choć pierwsze kroki zostały poczynione, systemy zbiórki i odzysku wciąż nie są wystarczająco efektywne, a jeden z surowców cieszy się wyjątkowymi przywilejami, co wprowadza nierównowagę rynkową.

TRZY RODZAJE OPAKOWAŃ

Po wielu latach debatowania Polska jako 17. kraj w Europie wprowadziła system kaucyjny. Tymczasem nasi sąsiedzi od lat czerpią z niego wiele korzyści. System kaucyjny to element ROP, czyli Rozszerzonej Odpowiedzialności Producenta, w której to producent ponosi odpowiedzialność za produkty i opakowania, które wprowadza na rynek. Od 1 października kaucja jest doliczana do ceny napoju. Po zwróceniu jego opakowania klient dostaje zwrot kaucji. Jest to odpowiednio 50 gr za jednorazową butelkę plastikową o pojemności do 3 l i metalową puszkę o pojemności do 1 l oraz 1 zł za wielorazową butelkę szklaną o pojemności do 1,5 l.

System nie jest jednak szczelny, co sprawia, że pewne produkty mają rynkową przewagę, na której tracimy wszyscy. Do recyklomatów nie trafi szkło jednorazowe, w tym popularne „małpki", których w Polsce sprzedaje się nawet 3 mln dziennie – butelki po nich zalegają w przestrzeni publicznej. Dodatkowo różnica między szkłem jedno- a wielorazowym, które już objęto systemem, nie jest jasna i w dużej mierze zależy od deklaracji producenta.

WYMIERNE KORZYŚCI

Tymczasem na recykling warto spojrzeć nie tylko jako na rozwiązanie ekologiczne. Ponowne wykorzystanie surowców oznacza korzyść dla całej gospodarki. Jak wynika z analizy wpływu „System bez wykluczeń. Na drodze do sprawiedliwej i efektywnej legislacji systemu kaucyjnego i ROP", Polska należy do światowej czołówki pod względem marnowania zasobów z opakowań po napojach. W ciągu ostatniej dekady z naszego obiegu „uciekło" ponad 4,3 mln t opakowań, głównie plastikowych PET, butelek szklanych różnych kształtów i wielkości czy puszek aluminiowych. Wartość rynkową traconych przez te lata surowców szacuje się na 2,3 mld zł.

Wdrożenie systemu kaucyjnego i prace nad ustawą o ROP stawiają polską gospodarkę odpadową w kluczowym momencie: od jakości decyzji podjętych teraz zależy, czy system będzie sprawiedliwy finansowo, szczelny materiałowo i nastawiony na realny obieg surowców. Zgodnie z wnioskami płynącymi z raportu priorytetem jest to, aby podstawą polityki były twarde dane – koszty netto, mierzalne cele zbiórki i efekty środowiskowe. Analiza wskazuje na trzy działania do wdrożenia od zaraz: pełny koszt netto w ROP bez finansowania krzyżowego, domknięcie luki dla szkła (włączenie do DRS lub 90-proc. cel w ROP) oraz ekonomiczne preferencje dla recyklingowalności i materiałów permanentnych.

GOTOWE WZORCE

– System kaucyjny to nie eksperyment, lecz sprawdzona droga do niemal pełnej skuteczności w zbiórce opakowań. Patrząc na doświadczenia naszych sąsiadów, takich jak Niemcy, Czechy, Litwa i Estonia, czy krajów skandynawskich, widać jasno: dobrze zaprojektowany system kaucyjny gwarantuje poziomy zbiórki sięgające 98 proc. i prawie pełny obieg surowców. Polska ma szansę zbudować system równie efektywny, ale tylko wtedy, gdy włączymy go w szerszą strategię ROP oraz zapewnimy przejrzyste i równe reguły finansowania. Nie musimy wymyślać koła na nowo, lecz skorzystać z gotowych wzorców, które udowodniły swoją skuteczność i przyniosły wymierne korzyści środowiskowe oraz gospodarcze – zauważa Paweł Pomian, wiceprezes Stowarzyszenia Ekologicznego EKO-UNIA, inicjatora wspomnianej analizy wpływu.

Pobliska Słowacja w pierwszym roku działania systemu kaucyjnego osiągnęła poziom zbiórki równy 71 proc., a w drugim – już 90 proc. Podobne rezultaty osiągnęła Litwa. Polsce trudno jednak będzie doścignąć sąsiadów, jeśli zakładany poziom zbiórki opakowań szklanych wynosi tylko 60 proc., a pozostałych opakowań jest o połowę wyższy.

– Im dalej od wdrożenia systemu, tym trudniej będzie naprawić błędy. Jak wiemy, łatwiej jest zapobiegać, niż leczyć – mówi Marek Lachowicz, autor analizy. – Należy stosować te same reguły gry wobec wszystkich, czyli np. zakazywać krzyżowego finansowania pomiędzy poszczególnymi frakcjami odpadów. Jeżeli recykling danej frakcji jest wydajny, a sam surowiec opakowaniowy odgrywa swoją rolę, system jego zagospodarowania powinien finansować się sam – podkreśla.

Artykuł sponsorowany | 07/1025/F

eprasa.pl 0506e848ed

POWOLNE MEDIA WEDŁUG MICHAŁA KORSUNA



SIECI

ISSN 2544-2694

www.SIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 255 93 32, (22) 255 93 33; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ, RYSZARD CZARNECKI, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, PIOTR GURSZTYN, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, KONRAD KOŁODZIEJSKI, JAROMIR KWIATKOWSKI, LECH MAKOWIECKI, RYSZARD MAKOWSKI, DARIUSZ MATUSZAK, ALEKSANDER NALASKOWSKI, MARZENA NYKIEL, SAMUEL PEREIRA, STANISŁAW PŁUŻAŃSKI, JAN PIETRZAK, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PIOTR SŁABEK, ROBERT TEKIELI, MACIEJ WALASZCZYK, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCIKOWSKA, MARIOLA.BARCIKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY: MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI, KATARZYNA LASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ROBERT GOŁASZEWSKI, ROBERT.GOLASZEWSKI@FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00 (GODZ. 14.00 – 16.00)
PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.SIECIPRAWDY.PL

WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA, W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT.: MONTAŻ STUDIO GRAFICZNE FRATRIA: FILIP NAUMIENKO/REPORTER, SHUTTERSTOCK/KOZLIK, DMYTRO FALKOWSKYI, ANDRZEJ WIKTOR, MIKOŁAJ BLUAK/KPRP, @F_STERCZEWSKI/X.COM, ARCHIWUM FRATRIA, LIGHTPOET/SHUTTERSTOCK

Zamów prenumeratę Sieci! Od 2 stycznia 2025 r. według nowego cennika

CENNIK PRENUMERATY*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
Krajowa	118 zł	207 zł	375 zł
Zagraniczna	296 zł	566 zł	1099 zł

**Dane do przelewu w stopce redakcyjnej*

Festiwale, festiwale



Jako mieszkaniec Gdyni od lat śledzę dwa ważne wydarzenia kulturalne: Festiwal Polskich Filmów Fabularnych i Festiwal NNW (Niepokorni, Niezłomni, Wyklęci). O ile ten pierwszy – ze względu na większe finansowanie i wsparcie medialne – dociera ze swym przekazem do odbiorców zainteresowanych polskim filmem, o tyle ten drugi ukazuje ogromny potencjał scenariuszowy drzemiący w naszej przebogatej historii.

Niektórzy amerykańscy filmowcy już to odkryli. Fabularny „Triumf serca” (znakomity Marcin Kwaśny w roli o. Maksymiliana Kolbego) wrażliwie zrealizował Anthony D’Ambrosio. Sensacyjny film wojenny pt. „Skarbek” (o pięknej i odważnej Polce, brytyjskim szpiegu z czasów II wojny światowej) ciekawie wyreżyserował James Marquand. To, czy oba te filmy przebiją się do świadomości polskich widzów, zależy w dużej mierze od polityki dystrybucyjnej. Pewna znana z ojkofobii sieć kin może zbojkotować każdy tytuł i utrącić film już na starcie. Trzeba zatem wyjść z naszego grajdołka i zaatakować rynki międzynarodowe.

Hollywoodzki sukces rokuje prawdziwa historia opowiedziana w dokumencie Rafała Sałaty pt. „Trzy śmierci Meriana Coopera”. Przy dobrze napisanym scenariuszu fabularna opowieść o amerykańskim lotniku, który wraz ze swą eskadrą walczył w 1920 r. po stronie Polaków, mogłaby się stać światowym hitem. Zwłaszcza że ów bohater był również filmowcem, producentem pierwszej ekranizacji „King Konga” i laureatem Oscara. Podczas II wojny światowej Cooper zaciągnął się do amerykańskiej armii i dosłużył się tam stopnia generała lotnictwa. Tych polsko-amerykańskich bohaterów, godnych filmowego upamiętnienia przez Hollywood, mamy znacznie więcej: Kościuszko, Pułaski, Paderewski... Urodziwa, inteligentna, waleczna i szalenie odważna Krystyna Skarbek (ulubiony szpieg Winstona Churchilla), której biografia zainspirowała samego Iana Fleminga, również zasługuje na serię sequeli przebojowych, sensacyjnych filmów wojennych.

Lech Makowiecki

eprasa.pl 0506e848ed



Jaskiniowiec z maczugą

W historii III RP nigdy nie było tak „oryginalnego” ministra jak były sędzia, a obecnie szef resortu sprawiedliwości Waldemar Żurek. Jeśli zrealizuje swoje plany, całkowicie zdemoluje system sprawiedliwości w Polsce, wyrzuci niezawisłych sędziów, a sądy nie będą gwarantować uczciwych procesów

eprasa.pl 0506e848ed



STANISŁAW JANECKI

Waldemar Żurek, minister sprawiedliwości i prokurator generalny, a wcześniej sędzia, to osobistość jedyna w swoim rodzaju. I wcale nie dlatego, że zawsze walczył z ministrem sprawiedliwości Zbigniewem Ziobrą oraz wszelkimi sposobami kontestował przeprowadzane przez niego zmiany w sądownictwie. I nie tylko dlatego, że jako minister sprawiedliwości „na rympał" przywraca praworządność, czyli w istocie ją przewraca. Chyba żaden inny sędzia nie miał aż 68 zarzutów dyscyplinarnych. Chyba żaden inny sędzia nie był „bohaterem" donosu, jaki w 2017 r. była już wtedy żona złożyła na niego w Krajowej Radzie Sądownictwa (KRS). A potem to on pozwał byłą żonę. Żurek był jednym z sędziów, którzy utajnili swoje oświadczenia majątkowe i jest jedynym ministrem trzeciego rządu Donalda Tuska, który to zrobił. Ponadto jednym z nielicznych, który pracując w budżetówce, dorobił się aż 21 nieruchomości (obecnie 19).

Wyjątkowość Żurka polega też na tym, że pozwał o 100 tys. zł zadośćuczynienia trzech sędziów: Łukasza Piebiaka, Jakuba Iwańca i Przemysława Radzika. Złożył również kilka zawiadomień do prokuratury, m.in. na byłą prezes Sądu Okręgowego w Krakowie Dagmarę Pawełczyk-Woicką (obecnie przewodniczącą KRS). A także na rzeczników dyscyplinarnych: Piotra Schaba, Michała Lasotę i Przemysława Radzika za „wytaczanie mu bezpodstawnych dyscyplinarek". Sąd już nakazał śledztwo w ich sprawie.

W 2018 r. Żurek miał bliskie spotkanie trzeciego stopnia z maszyną do czyszczenia podłóg, a efektem tego był uraz nogi. Sprawa sądowa o to, czy doszło do wypadku przy pracy, wlokła się prawie pięć lat. Nie w wyniku wypadku, ale stresu spowodowanego tym, że czuł się mobbowany i prześladowany przez pracodawcę, Waldemar Żurek uszkodził sobie zęby – „patologicznie starte w wyniku żucia i zgrzytania". Żeby to udowodnić, chciał powołania biegłego dentysty. Złośliwi komentatorzy uważają, że Żurek powinien być zbadany przez innego biegłego z zakresu medycyny, ale na to się nie zanosi.

RĘCZNE STEROWANIE

Gdy Donald Tusk desygnował Waldemara Żurka na stanowisko ministra sprawiedliwości i prokuratora generalnego, podkreślał, że potrzebuje „egzekutora", a nie inteligenta i profesora, jakim był Adam Bodnar. Waldemar Żurek natychmiast zadeklarował, że w pełni zgadza się z Tuskową teorią tzw. demokracji walczącej, zgodnie z którą „ślepe trzymanie się aktów najniższej rangi, które betonują system, jest działaniem wbrew prawu". Ale „reformy" Waldemara Żurka polegają na totalnej demolce systemu – w stylu jaskiniowca operującego kamienną maczugą.

Gdy Donald Tusk desygnował Waldemara Żurka na stanowisko ministra sprawiedliwości i prokuratora generalnego, podkreślał, że potrzebuje „egzekutora", a nie inteligenta i profesora, jakim był Adam Bodnar, który prawie w każdej sprawie miał wątpliwości i dzielił włos na czworo

Koronnym dowodem „jaskiniowego" działania ministra Żurka jest rozporządzenie, zgodnie z którym praktycznej likwidacji ulega losowanie sędziów w sądach powszechnych w Systemie Losowego Przydziału Spraw (SLPS). „Wiem z praktyki, że losowanie całych trójek paraliżowało pracę sądów – jeden sędzia był przypisany do kilkunastu składów, a obywatel czekał latami na wyrok. Dlatego zostaje losowanie referenta przez SLPS, a reszta składu dobierana jest według jasnych i przejrzystych zasad ustalonych przez prezesa sądu i zaopiniowanych przez kolegium" – stwierdził minister Żurek.

Prezydent Karol Nawrocki ocenił, że „rozporządzenie ma *de facto* zastąpić ustawę, ponieważ minister sprawiedliwości ma świadomość, że w sposób legalny nie jest w stanie wprowadzić proponowanych rozwiązań, godzących w niezawisłość i niezależność sędziowską oraz w prawo obywateli do sądu". Prezydent dodał, że „nowe reguły ustalania składu sądu mają stać się nieweryfikowalne po to, by umożliwić ręczne sterowanie doborem sędziów pod polityczne potrzeby i oczekiwania rządzących. To prosta droga do zniszczenia zaufania obywateli do wymiaru sprawiedliwości i zniesienia gwarancji bezstronności".

„Jak się »dłużyły postępowania«?!" – pytał ministra Żurka mecenas Bartosz Lewandowski. I dodawał: „Przecież losowanie zajmowało chwilę i był dostępny dla stron druk z losowania". „Jaki jeden człowiek o czymkolwiek decydował w Ministerstwie Sprawiedliwości przy systemie losowania sędziów? To spin dla idiotów. Od dwóch lat jesteście w Ministerstwie Sprawiedliwości i wiecie, że system jest w pełni losowy i niesterowalny. Właśnie dlatego zmieniacie wbrew ustawie rozporządzenie, by dwie trzecie sędziów wskazywać ręcznie" – ocenił poseł PiS Michał Woś, były wiceminister sprawiedliwości.

„Ten bełkot ministra Żurka oznacza ni mniej, ni więcej, że najjaśniejsza kasta pod patronatem Tuska wie lepiej, jakie mają być składy sądu, wyznaczy je ręcznie, a nie jakiś tam system komputerowy. Szkopuł w tym, że ustawa wymaga systemu komputerowego, jednak Żurek prawu się nie kłania, myśli,

Fot. Leszek Szymański/PAP

eprasa.pl 0506e848ed

że sam jest jego źródłem" – zauważył poseł Sebastian Kaleta. „Tym oto tępym narzędziem rżnie się sędziowską niezawisłość: w składzie trzech sędziów (czyli zwykle decydującym o orzeczeniu prawomocnym) większość będą stanowili zausznicy szefa wydziału nominata prezesa sądu nominata Ministerstwa Sprawiedliwości!" – napisało Ogólnopolskie Stowarzyszenie Sędziów „Sędziowie RP".

„Odtąd każdy wyrok wydany przez sąd karny wyznaczony z pominięciem losowania będzie można zakwestionować" – zauważył poseł PiS, prawnik Paweł Jabłoński. „Rozporządzenie Żurka to kwintesencja ordynarnego manipulowania sądami przez politycznych funkcjonariuszy działających na polityczne zlecenie. […] Oznacza to, że ludzie Tuska przejmują pełną kontrolę nad prawomocnymi orzeczeniami sądów. Na wypadek, gdyby w pierwszej instancji nie znalazł się żaden młody, 29-letni asesor gotowy »skręcić« sprawę Sławkowi, Romkowi czy Staszkowi. […] Koalicja 13 grudnia właśnie wyrzuciła niezawisłość i bezstronność sędziowską do kosza – plując ludziom w twarz i instytucjonalizując doktrynę Neumanna 2.0" – napisał były wiceminister sprawiedliwości Marcin Romanowski. „Ustawiali przetargi pod zagraniczne firmy. Ustawiają sędziów pod siebie. Praworządność zamienili na sterowalność. Polska Tuska i Żurka w praktyce" – podsumował były premier Mateusz Morawiecki.

Postępowanie ministra Żurka zakwestionował nawet sprzyjający rządzącym prof. Marcin Matczak: „Likwidacja losowania całego składu sądzącego przez MS jest ruchem złym, zmniejszającym przejrzystość rozstrzygania spraw".

NIESZCZĘŚCIA CHODZĄ PARAMI

W 2017 r. była żona Waldemara Żurka poskarżyła się na niego w KRS (Żurek zasiadał w niej do 2018 r.). Wskazywała, że nie płaci alimentów na swoje dwie córki, nie zgodził się na operację jednej z nich oraz ponosi odpowiedzialność za rozpad ich małżeństwa. Twierdziła też, że były mąż wykorzystywał swoją pozycję w sprawach, które z nią prowadził. W reakcji na to Waldemar Żurek złożył przeciw byłej żonie pozew o naruszenie dóbr osobistych. W 2021 r. sąd nakazał kobiecie przeprosiny. Brzmiały one tak: „Informuję, że w swojej skardze do Krajowej Rady Sądownictwa z dnia 20 lutego 2017 roku na mojego byłego męża, sędziego i rzecznika Krajowej Rady Sądownictwa Waldemara Żurka zawarłam następujące nieprawdziwe informacje, iż: nie płacił alimentów na rzecz córek, nie wyraził zgody na zabieg operacyjny córki, ponosi winę za rozkład pożycia małżeńskiego, wykorzystał swoją funkcję w postępowaniach rodzinnych z moim udziałem, oraz informuję, iż bezprawnie dołączyłam szereg prywatnych dokumentów z zawartymi tam danymi wrażliwymi, czym naruszyłam dobra osobiste mojego byłego męża Waldemara Żurka, a w szczególności jego dobre imię, godność osobistą, prawo do ochrony życia prywatnego i intymnego". Waldemar Żurek: „Musiałem pozwać byłą żonę, bo na podstawie jej skargi byłem pomawiany. Zarzucano mi, że nie płacę alimentów, co jest poważnym zarzutem dla sędziego. Cała ta sytuacja była trudna dla mnie, uderzała też w moich bliskich. Proponowałem żonie ugodę. Wystarczyłyby mi tylko przeprosiny w liście, żebym mógł odkręcić całą sprawę" – mówił Żurek OKO.press.

Postępowanie ministra Żurka zakwestionował nawet sprzyjający rządzącym prof. Marcin Matczak: „Likwidacja losowania całego składu sądzącego przez MS jest ruchem złym, zmniejszającym przejrzystość rozstrzygania spraw"

Jeśli nieszczęścia chodzą parami, to kolejne spotkało Waldemara Żurka niespodziewanie. W 2018 r., wychodząc z toalety w sądzie, sędzia Żurek został uderzony w nogę przez maszynę do czyszczenia podłóg. Pracownik, który ją obsługiwał, tłumaczył, że nie zauważył Waldemara Żurka, bo ten szybko wyszedł z toalety i od razu wpadł na urządzenie. „W sprawę zaangażowano nawet Instytut Ekspertyz Sądowych w Krakowie, mimo że tej instytucji nie wolno opiniować w sprawach takich jak moja" – powiedział Waldemar Żurek po tym, jak w kwietniu 2023 r. Sąd Rejonowy Katowice-Zachód uznał, że uległ wypadkowi w czasie pracy. 30 września 2025 r. w Kanale Zero Waldemar Żurek opowiadał o okropnych skutkach zderzenia z maszyną: „Jak się maszyna rozpędzi i podcina nogę, a jeszcze dociska do drzwi, to nie było fajne. Ile przeszedłem, jak musiałem zrobić operację, ile mnie kosztowało to później rehabilitacji i chodzenia o kulach, to nie było fajne. I mam trwały uszczerbek na zdrowiu".

Na zdjęciach z monitoringu widać, jak drzwi toalety otwierają się na zewnątrz i Waldemar Żurek wychodzi tyłem do nadjeżdżającej maszyny, w dodatku rozmawiając przez telefon. W ten sposób nie miał żadnych szans, żeby zobaczyć i usłyszeć urządzenie, a obsługujący je nie miał czasu, żeby zareagować.

UMARZANE DYSCYPLINARKI I TAJNY MAJĄTEK

Na początku grudnia 2024 r. powołany przez ówczesnego ministra sprawiedliwości Adama Bodnara rzecznik dyscyplinarny sędzia Grzegorz Kasicki ze Szczecina umorzył wszystkie z 68 zarzutów dyscyplinarnych wobec Waldemara Żurka. Dotyczyły one tego, że w latach 2012–2018 Żurek miał wydawać w składach kolegialnych lub jednoosobowych orzeczenia na posiedzeniach niejawnych bez udziału stron. Nie były to wyroki wydawane na sali rozpraw. Ówczesny zastępca rzecznika dyscyplinarnego Michał Lasota zarzucał Żurkowi, że „w dacie wydania tych orzeczeń nie było go w sądzie". Rzecznik wywodził z tego,

eprasa.pl 0506e848ed

że sędzia nie mógł wydawać orzeczeń w dniach, w których był poza Krakowem. Dlatego zarzucił mu poświadczenie nieprawdy w dokumentach. Nowy rzecznik *ad hoc* uznał, że ta sprawa była celowo wymierzona tylko w sędziego Żurka. I była związana z tym, że „bronił praworządności i niezależności sądów".

Waldemar Żurek tak skomentował w OKO.press umorzenie spraw dyscyplinarnych: „Ściągali i przeglądali setki spraw, które prowadziłem, by coś na mnie znaleźć. Trałowano mnie najpierw pod kątem rzekomo niesłusznie pobranych diet z KRS. A jak nic nie znaleziono, to próbowano zrobić ze mnie fałszerza orzeczeń". Teraz Żurek liczy na to, że „wszyscy, którzy złamali prawo, staną przed niezależnymi sądami. I sprawiedliwości stanie się zadość".

Jako minister sprawiedliwości Waldemar Żurek nie zgodził się na ujawnienie swojego oświadczenia majątkowego. Wcześniej utajniał swój stan posiadania jako sędzia. Gdy był sędzią oraz członkiem i rzecznikiem prasowym KRS, sprzeciwiał się jawności oświadczeń sędziów: „Jawność oświadczeń majątkowych wbrew obiegowym twierdzeniom polityków nie ogranicza ryzyka korupcji. To mit. [...] Takie oświadczenie majątkowe to także idealny poradnik np. dla kidnaperów, którzy analizując majątek rodziców, ich oszczędności, mogą planować przestępstwa" – twierdził w 2016 r. Obecnie tłumaczy, że nie ujawnia oświadczenia majątkowego ze względu na bezpieczeństwo rodziny, szczególnie czwórki dzieci.

Wedle ustaleń dziennikarzy Wirtualnej Polski nazwisko Żurka pojawiało się w 32 księgach wieczystych, a obecnie figuruje ono w 19. To dlatego, że część nieruchomości sprzedał, część stała się własnością pierwszej żony przy podziale majątku, jedna trafiła do drugiej żony. Jako miejsce zamieszkania Żurek wskazuje dom w jednej z podkrakowskich gmin. Na działce o powierzchni 2,8 tys. m² stoi dom o powierzchni 110 m². Żurek ma w tej okolicy 3,3 ha gruntów ornych. Jego nazwisko znajduje się też w księgach wieczystych innych nieruchomości w powiecie krakowskim, w miejscowości Raciborowice. Odpowiadają one powierzchni 1,2 tys. m². Tuż przy granicy Krakowa Waldemar Żurek od trzech lat buduje dwukondygnacyjny dom o powierzchni 200 m². Minister sprawiedliwości ma cenne nieruchomości w Bieszczadach: 6,3 ha podzielone na kilka działek. Kolejne działki posiada na Pogórzu Dynowskim. Od 2013 r. minister jest właścicielem dwóch działek (łąki) o łącznej powierzchni 0,5 ha nad Narwią w województwie mazowieckim. Kolejne działki Żurka znajdują się pomiędzy Ustką a Darłowem.

Wirtualna Polska wyceniła majątek Waldemara Żurka (kilkanaście nieruchomości o powierzchni 13,5 ha, 4 domy, w tym dwa mające funkcje letniskowe i jeden w stanie surowym zamkniętym) na ok. 3 mln zł.

> Przygotowywana przez Żurka tzw. ustawa praworządnościowa usankcjonuje segregację sędziów na trzy kategorie, umownie nazwane czerwoną, żółtą i zieloną. Zieloni sędziowie zostaną w zawodzie, żółci mają wyrazić czynny żal, a czerwoni mają zostać wyeliminowani z zawodu

WIELKA DEMOLKA

Waldemar Żurek ocenił Krajową Radę Sądownictwa ukształtowaną po grudniu 2017 r. jako instytucję „niekonstytucyjną", którą trzeba wymienić. O sędziach Sądu Najwyższego powiedział, że „nie są sędziami", a w ogóle to „musimy mieć legalny Sąd Najwyższy". Ogłosił powołanie zespołu czterech prokuratorów, których zadaniem jest „monitorowanie działań »neosędziów« w Sądzie Najwyższym oraz Naczelnym Sądzie Administracyjnym". Specjalny zespół podlegający bezpośrednio prokuratorowi generalnemu ma składać wnioski formalne w trakcie postępowań związanych z wyrokami Europejskiego Trybunału Praw Człowieka. Tożsamość prokuratorów wchodzących w skład zespołu jest tajna.

Żurek ujawnił też, że Ministerstwo Sprawiedliwości złożyło do prokuratury zawiadomienie dotyczące KRS, określanej przez niego jako „neo-KRS": „Zostaliśmy zablokowani w próbie uzyskania dokumentów, do których powinniśmy mieć dostęp. Nie możemy czekać, więc złożyliśmy zawiadomienie w tej sprawie".

„W czerwcu 2026 r. upływa kadencja obecnej Krajowej Rady Sądownictwa. I w czerwcu KRS, jeśli utrzyma się ta większość parlamentarna, zostanie obsadzona członkami Iustitii i Themis. Wtedy będzie legalna. Nagle »ozdrowieje« i wszystko będzie praworządne, mimo że nic się w prawie nie zmieni. To atak na instytucje, deprecjonowanie ich, kompromitowanie i destruowanie polskiego wymiaru sprawiedliwości" – powiedział sędzia Łukasz Zawadzki w telewizji wPolsce24.

Wielką demolką praworządności w wykonaniu ministra Żurka będzie tzw. ustawa praworządnościowa. Usankcjonuje ona segregację sędziów na trzy kategorie, umownie nazwane czerwoną, żółtą i zieloną. Zieloni sędziowie zostaną w zawodzie, żółci mają wyrazić czynny żal, a czerwoni mają zostać wyeliminowani z zawodu.

Waldemar Żurek zapowiedział też „uregulowanie statusu sędziów powołanych w latach 2018–2025". Po spotkaniu z sędziami Iustitii minister napisał na portalu X, że „czuje ciężar ich oczekiwań, ale też ogromne wsparcie i zrozumienie, za co dziękuje". Oznacza to jego pełną zależność od upolitycznionych organizacji sędziów. Jeśli minister Żurek zrealizuje swoje plany, całkowicie zdemoluje system sprawiedliwości w Polsce, wyrzuci niezawisłych sędziów, a sądy nie będą gwarantować uczciwych procesów.

eprasa.pl 0506e848ed



Kebab z Nawrockim

Prezydent Karol Nawrocki zjadł kebaba. Niby nic nadzwyczajnego, ale ta informacja wywołała wściekłość w obozie władzy. Bo tak naprawdę nie chodziło o kebab, ale o to, że Nawrocki jest po prostu sympatycznym facetem, który odebrał liberalnej lewicy patent na bycie fajnym i w błyskawicznym tempie wdrapał się na pierwsze miejsce w rankingu zaufania. A to najbardziej boli Platformę Obywatelską.

Pogrążony w swoich obsesjach Donald Tusk i zmanierowany Rafał Trzaskowski wydają się przy Nawrockim politykami niższego formatu. Brakuje im energii, sprawczości, a przede wszystkim charyzmy. Stronią od zwykłych ludzi, obawiają się ich czy wręcz gardzą nimi. I ludzie to dostrzegają.

Na tym tle Karol Nawrocki to zupełnie inna – niedościgła dla tamtych – galaktyka. Z jednej strony zwykły człowiek, jeden z nas, a z drugiej – charyzmatyczny przywódca, który mocno stoi na nogach, bo zna prawdziwe życie od podszewki. Jest całkowicie autentyczny i tym różni się od większości polityków.

„Nie mamy nikogo takiego" – można usłyszeć w obozie Tuska. I to akurat prawda. Nawrocki ze swoją przebojowością stanowi dziś śmiertelne zagrożenie dla Platformy, a Tusk nie jest w stanie na skutecznie na nie odpowiedzieć.

Szybki kebab z prezydentem odbił się w Polsce znacznie głośniejszym echem niż wyreżyserowane imprezy Trzaskowskiego. Obóz Tuska jest w szoku. To naprawdę musi strasznie boleć



KONRAD KOŁODZIEJSKI

FAJNY GOŚĆ

Historii z kebabem nie wymyślił żaden specjalista od PR. Ona po prostu wyszła spontanicznie podczas wizyty prezydenta na rozpoczęciu roku szkolnego w Wolanowie pod Radomiem. Grupka uczniów nagrała wtedy z Nawrockim krótki filmik do internetu, a jeden z nich zapytał prezydenta, czy wpadnie jeszcze kiedyś do nich na kebab. Nawrocki odpowiedział, że przyjedzie, jeżeli ich filmik otrzyma przynajmniej cztery lajki (polubienia). Ten warunek był tak łatwy do spełnienia, że wszyscy potraktowali to w kategoriach żartu. Jak się jednak okazało, prezydent nie żartował i postanowił wywiązać się z obietnicy złożonej nastolatkom.

Ku zaskoczeniu wszystkich miesiąc później Nawrocki pojawił się w Wolanowie, a cała Polska mogła obejrzeć film, na którym prezydent spotyka się z uczniami w miejscowej knajpce i stawia wszystkim kebab. Bez zadęcia, z uśmiechem na twarzy i zupełnie naturalnie. Po raz kolejny można było zobaczyć, że Nawrocki lubi ludzi i czuje się swobodnie w takich sytuacjach. Najwyższe stanowisko w państwie nie uderzyło mu

Fot. ©Mikołaj Bujak/KPRP

eprasa.pl 0506e848ed

do głowy – pozostał tym samym człowiekiem, którym był przed prezydenturą.

Niektórzy dostrzegali w tym spotkaniu Nawrockiego wyraźną inspirację Trumpem, który podczas ostatniej kampanii prezydenckiej sprzedawał hamburgery w McDonald's. Być może jest tu coś na rzeczy, jednak w odróżnieniu od Trumpa Nawrocki nie wywodzi się z bogatej elity, lecz z klasy ludowej. Amerykański prezydent odegrał swoją rolę – skądinąd bardzo sprawnie – tymczasem Nawrocki wcale nie musiał udawać fajnego gościa, bo był po prostu sobą.

Zresztą jeśli już o podobnych sytuacjach mowa, to Tusk – jeszcze za swoich pierwszych rządów w latach 2007–2014 – także próbował udawać zwykłego faceta, gdy pewnego razu kupił sobie hot doga na stacji Orlenu. Tyle że w odróżnieniu od Nawrockiego zjadł go z dala od ludzi, na parkingu, gdzie samotnie pozował do zdjęcia. Trudno to nazwać spontaniczną sytuacją. Była to raczej jedna z wielu ustawek w rodzaju „premier zrobił zakupy w sklepie", które miały pokazać ludzkie oblicze antypatycznego Tuska.

BEZRADNA PLATFORMA

PO i szeroko rozumiane środowiska liberalne zawsze chciały mieć wzięcie u ludzi, ale rzadko im to wychodziło. I dlatego zazdrościły tej umiejętności prawicy, która nie chciała nikogo oświecać i nawracać, lecz przyjmowała ludzi takimi, jakimi oni są, z ich wadami, słabościami, a także życiową mądrością – zupełnie nieosiągalną dla odklejonych liberalnych umysłów.

Zdobycie zaufania ludzi nie jest bardzo trudne, o ile się ich słucha i traktuje na równi, bez poczucia wyższości. Nawrocki to potrafi, spora część prawicy również – być może dlatego, że nigdy nie odcięła się od korzeni. Zupełnie inaczej wygląda to u liberalnych nuworyszów, których cała egzystencja bazuje na ukrywaniu własnego pochodzenia. Progresywna lewica jest ze swojej natury antyludowa i elitarna. Liberał, który chciałby być wiarygodny dla zwykłych ludzi, musiałby najpierw przestać być liberałem. Skoro jednak nie „zniży" się do poziomu zwykłego człowieka, to będzie go pouczał, a jeśli – co bardzo prawdopodobne – nie uda mu się go przekonać, będzie nim gardził.

Główny problem polega na tym, że liberałowie nie dostrzegają w obywatelach podmiotowego partnera. Zwykli ludzie są dla nich prymitywną, półdziką tłuszczą, która może być jedynie użytecznym instrumentem w pogoni za władzą. Z tego powodu nigdy nie traktowali społeczeństwa poważnie, a manipulacje i oszczerstwa przechodziły im przez usta bez żadnych oporów.

Platforma straciła wszelkie hamulce przed ostatnimi wyborami parlamentarnymi w 2023 r., gdy – idąc za radą Marka Belki – „kłamała, kłamała i jeszcze raz kłamała" nie tylko na temat swoich przeciwników, lecz także prezentując własny program wyborczy, czyli legendarne już 100 konkretów. To było już nie tylko lekceważenie wyborców, lecz także zemsta na Polakach za to, że przez osiem lat w większości popierali PiS. To była kara za 500+ i za największą falę awansu społecznego w dziejach III RP. Tłuszcza miała wrócić do szeregu i tak jak kiedyś z bezpiecznej odległości przyglądać się dostatniemu życiu elity.

> „Nie mamy nikogo takiego" – można usłyszeć w obozie Tuska. I to jest akurat prawda. Nawrocki ze swoją przebojowością stanowi dziś śmiertelne zagrożenie dla Platformy

WSPANIAŁOŚĆ CZESKIEGO PREZYDENTA

W dniu, w którym prezydent Nawrocki był w Wolanowie, jego niedawny konkurent Rafał Trzaskowski siedział w loży vipowskiej i z namaszczeniem słuchał konkursu chopinowskiego. Wyborcy PO – jak się nagle okazało, zapaleni melomani – natychmiast zapałali świętym oburzeniem. Bo przecież głowa państwa powinna siedzieć na widowni, zamiast szlajać się po kebabach. Trzaskowski nigdy nie zniżyłby się do czegoś takiego. Spotkanie ze zwykłymi ludźmi byłoby przecież dla niego traumatycznym przeżyciem urągającym jego godności.

Można to uznać za symboliczną ilustrację dwóch światów. Tego prawdziwego, skierowanego ku ludziom, który reprezentuje Nawrocki, oraz sztucznego, całkiem odseparowanego od społeczeństwa, za którym stoi Trzaskowski. Dwie rzeczywistości i dwa zupełnie różne priorytety. W tym sensie III RP z jej podszytym kompleksami wyobrażeniem elitarności oraz klasową pogardą do współobywateli trwa w najlepsze.

„Polskie małe miasteczka i wsie. Chcemy być Zachodem" – pisze na Facebooku prawnik i popularyzator nauki podpisujący się jako dr Maciej Kawecki (zawsze z tytułem doktora przed nazwiskiem). „Tak epatujemy w punktowaniu Zachodowi, przed iloma negatywnymi zjawiskami się uchroniliśmy. Pojedźmy do wsi we Francji, Włoch, Hiszpanii, Grecji. Nawet Czech! Piękne knajpeczki, gdzie ludzie spotykają się, by spędzać czas. U nas? Kebaby. Miejscami spotkań są kebaby. Coraz więcej kebabów. Kebaby. Prezydent RP? Nie pamiętam, bym zobaczył, jak uczestniczy w spektaklu teatralnym, koncercie w Filharmonii czy na auli akademickiej. Ale trudno tego oczekiwać, gdy internet pełen jest braw, gdy kolejny raz odwiedza kebab. To kebab jest przecież personifikacją miejsca spotkań" – ubolewa doktor.

Wpis doktora (nie wolno zapominać o tym tytule) przywodzi mi na myśl popularne w Polsce memy z prezydentem Czech Petrem Pavlem. Otóż przez pewien czas zwolennicy PO prezentowali na platformie X jego zdjęcia w różnych nieoficjalnych sytuacjach, np. gdy pije piwo, robi zakupy w sklepie, bawi się na koncercie rockowym. I zawsze były one opatrzone pełnym żalu dopiskiem: „Dlaczego nie mamy takiego prezydenta?". Było to tak żałosne skomlenie, że po pewnym czasie podchwycili to inni użytkownicy Twittera, zasypując

eprasa.pl 0506e848ed





serwis tak dużą liczbą zdjęć czeskiego prezydenta, że w końcu stał się memem.

Absurdalne narzekanie na Polaków, że stołują się w kebabach i że Nawrocki jeszcze to legitymizuje, zamiast zamknąć się w niedostępnej wieży i prychać na nich ze wzgardą przy jednoczesnych zachwytach nad wysoką kulturą Zachodu (i Czech, których prezydent jest przecież takim „fajnym gościem" podrygującym na koncercie) stanowi przejaw nie tylko kompleksu, lecz obsesyjnej wręcz ślepoty. Bo oczywiście Pavel, jak pije piwo, jest wspaniały, ale gdy Nawrocki idzie do młodych ludzi na kebaba – to jest już koszmar.

I nie chodzi tu tylko o to, że taka ślepota ośmiesza liberałów i odbiera im jakąkolwiek wiarygodność, bo to – z punktu widzenia interesów kraju – jest akurat bardzo pożądane, ale również o to, że z tej pogardy do kebabów przebija się kompletne odklejenie od rzeczywistości. Dr Kawecki czy ktokolwiek inny może nie gustować w tym daniu, ale to, że jest ono w Polsce tak popularne, nie wynika bynajmniej z podłych gustów Polaków czy z ich zamiłowania do tandety, ale z zawartości ich portfela. Ci, których stać na ośmiorniczki, sushi czy steki Wagyu nigdy tego nie zrozumieją. I nie będą nawet próbować zrozumieć. Zamiast tego spluną jadem.

BÓL FAJNOPOLAKA

Liberałowie się wściekają, bo większość ludzi nie podchwyciła podsuwanego im modelu „fajnopolaka" – dziś już najczęściej starego dziada przyjmującego pozę wiecznie młodego luzaka, który pluje na wszelkie zasady (oczywiście tylko te konserwatywne) i używa życia, ile wlezie (bo go stać). Wszyscy mieliśmy aspirować do bycia takimi fajnymi dziadami, a jeśli byłoby to nieosiągalne, to przynajmniej zachwycać się nimi i stawiać swoim dzieciom za wzór do naśladowania.

Karol Nawrocki jest zaprzeczeniem tego modelu. Nie tylko dlatego, że nie jest starym dziadem w ostatnich podrygach upływającej młodości, lecz przede wszystkim z tego powodu, że trzyma się zasad i nie próbuje przyjmować żadnej pozy. Jego życiorys jest znacznie lepszą inspiracją dla młodych pokoleń niż biografie wyfiokowanych pupilków obecnej władzy, którzy zawdzięczają swoje pozycje rozmaitym koneksjom. Facet z robotniczej rodziny, który wcześnie stracił ojca i musiał ciężko pracować na utrzymanie rodziny. Mimo to był na tyle zdolny i ambitny, że skończył studia, zrobił doktorat i w stosunkowo młodym wieku osiągnął najwyższe stanowisko w państwie. A co najważniejsze, mając dziś 42 lata, nabrał więcej doświadczenia życiowego, niż niejeden utytułowany pajac zdołał zgromadzić w ciągu pięciu pokoleń wstecz. Jeżeli dodamy do tego sympatyczny styl bycia oraz naturalną charyzmę Nawrockiego, to chyba trudno się dziwić, że dziś jest on faworytem w walce o dusze zwykłych Polaków. Obóz Tuska wraz liberalną lewicą, „Gazetą Wyborczą" i innymi pogrobowcami Unii Demokratycznej musi być tym głęboko zaniepokojony, bo trzydziestoletnie pranie naszych mózgów, w które włożono tyle energii, poszło chyba na marne.

O nieskuteczności tych wysiłków najlepiej świadczy ogromna popularność, jaką Karol Nawrocki cieszy się wśród młodych ludzi. Jak wynika z sondażu United Surveys dla Wirtualnej Polski, prezydent zdobył aż 73 proc. pozytywnych ocen Polaków w wieku 18–29 lat i 67 proc. w grupie 30–39 lat. Ci ludzie mają dość patologicznej polityki III RP, społecznych nierówności i braku perspektyw. Mają nadzieję, że stosunkowo młody Nawrocki będzie ich dobrze rozumiał, stanie po ich stronie i wreszcie zniszczy niesprawiedliwy system.

Kebab w Wolanowie, choć był tylko drobnym wydarzeniem, ma w tym kontekście duże znaczenie, bo pokazuje, że po pierwsze, Nawrocki dotrzymuje nawet najbardziej błahych obietnic i po drugie, że traktuje młodych ludzi tak samo poważnie jak wszystkich innych.

Jakże żałośnie na tym tle wypadają popisy Trzaskowskiego na jego ostatnim Campusie w Międzyzdrojach. Udawanie luzaka i niedorzeczne rozważania jego widowni o powrocie III Rzeszy w przypadku zwycięstwa PiS. Kogo to może porwać poza garstką odklejeńców albo ludzi kompletnie pozbawionych rozumu?

Nic więc dziwnego, że szybki kebab z Nawrockim odbił się w Polsce znacznie głośniejszym echem niż wyreżyserowane imprezy Trzaskowskiego. Obóz Tuska jest w szoku. To naprawdę musi strasznie boleć.

Fot. ©Grzegorz Jakubowski/KPRP, ©Alicja Stefaniuk/KPRP

eprasa.pl 0506e848ed



Tej władzy nie zależy na rolnikach

„Zapaść” – to słowo oddaje sytuację, w jakiej dzisiaj znajduje się polskie rolnictwo. A jeśli chodzi o przyszłość, to rysuje się ona w jeszcze ciemniejszych barwach. Nadchodzi katastrofa, bez żadnej przesady. Katastrofa tym straszniejsza, że wspomagana przez unijne elity i obecny polski rząd



PIOTR GURSZTYN

O tym, że jest bardzo źle, polscy producenci rolni wiedzą od dawna. A opinia publiczna dowiedziała się o tym teraz dzięki sprawie, którą nagłośnił Maciej Siekira, plantator papryki spod Sandomierza. To on ogłosił, że każdy może za darmo brać z jego pól tyle papryki, ile chce. Bo w skupie oferowano mu 40 gr za 1 kg tego warzywa, co oznacza, że Siekira więcej zapłaciłby za zbiór i transport. Głośno było też o śliwkach rozdawanych przez sadownika spod Trzebnicy. I nie są to incydenty, jak ten z 2011 r., gdy słynny „paprykarz” apelował do Donalda Tuska: „Jak żyć, panie premierze?”. Wtedy nawałnica zniszczyła plantacje papryki w jednym regionie. Dzisiaj rolnictwo w całym kraju (a także w innych państwach UE) jest zagrożone falą masowych bankructw.

Nie tylko papryka jest skupowana poniżej kosztów produkcji. Dotyczy to większości warzyw. Jednocześnie te same produkty w handlu detalicznym kosztują kilkanaście razy więcej. Za 1 kg ziemniaków rolnik dostaje 25 gr, a w sklepach wielkiej sieci handlowej trzeba płacić 4 zł. Były też przypadki – np. w powiecie sieradzkim – gdy w skupie „oferowano” producentom 5 gr za 1 kg kartofli. Wspomniana papryka kosztuje w detalu kilkanaście złotych. Za 1 kg cebuli rolnicy dostają 30 gr, za kapustę – 20–30 gr. Podobnie jest z pomidorami, marchwią, pietruszką.

Jednocześnie wielkie sieci handlowe sprowadzają dziesiątki tysięcy ton tych samych warzyw z zagranicy. Z Holandii, Niemiec i innych krajów, skąd pochodzą właściciele supermarketów. Zarabiają nie tylko oni, lecz także pośrednicy między rolnikiem a handlem detalicznym. Różnice między cenami w skupie a tymi na półkach sklepowych wynoszą po kilkaset procent.

Niskie ceny uderzają także w producentów zbóż – w przybliżeniu spadły one o połowę w porównaniu z tymi, które były za rządów PiS. Spore spadki cen w skupie dotknęły hodowców bydła rogatego oraz świń, przy czym w ostatnim przypadku to efekt podniesienia przez Chiny ceł na europejską wieprzowinę.

ZMIANA ZASAD GRY

„To nie jest zwykły kryzys. To systemowa eliminacja polskiego rolnictwa,

eprasa.pl 0506e848ed

potężnej gałęzi naszej gospodarki, przy biernej postawie rządu KO" – atakował niedawno Mateusz Morawiecki. To nie jest tylko narracja polityka opozycji korzystającego z okazji do krytyki rządzących. To diagnoza, którą podzielają sami rolnicy oraz eksperci związani z tą branżą. Wszyscy oni pozostają zdecydowanymi pesymistami, bo obecne kłopoty nie są kwestią zmiennej koniunktury, ale wynikają ze znacznie poważniejszych powodów.

Polskie rolnictwo przez ostatnie 30 lat przeszło imponującą transformację. Rolnicy zmodernizowali swoje gospodarstwa do najwyższego światowego poziomu. Skutecznie dostosowali się do reguł wynikających z przynależności Polski do Unii Europejskiej. Nie było to łatwe zadanie, ale obyło się bez wstrząsów. Przy okazji polska wieś nie wyludniła się tak bardzo jak w wielu krajach Europy Zachodniej. Wśród polskich rolników dominują ludzie młodzi, choć gdzie indziej młodsza generacja wybiera wygodniejsze profesje. Wszystko odbyło się zgodnie z podstawową zasadą dotychczasowej Wspólnej Polityki Rolnej, że fundamentem ustroju rolnego jest gospodarstwo rodzinne. Ta reguła jest też wpisana do naszej konstytucji. To norma sprawdzona, bo cały czas zapewnia Polsce i krajom Europy samowystarczalność żywnościową, chroni środowisko naturalne, tradycyjną strukturę wsi, a nawet walory krajobrazowe poszczególnych regionów naszego kontynentu.

Teraz zasady gry są arbitralnie zmieniane. W skrócie: unijne instytucje krępują rolników obowiązkiem prowadzenia absurdalnej sprawozdawczości. Narzucają kolejne przepisy środowiskowe lub dotyczące dobrostanu zwierząt. Wskutek tego rosną koszty produkcji i spada jej opłacalność. Wejście w życie umowy handlowej z państwami Mercosur oznacza pojawienie się na rynku konkurencji, z którą europejscy – a zwłaszcza polscy – rolnicy nie mają szans rywalizować. To samo będzie, gdy spełni się scenariusz liberalizacji handlu produktami rolnymi z Ukrainą. Na dodatek rolnictwu grozi objęcie systemem handlu emisjami, czyli osławiony ETS. Rolnicy będą karani za każdą tonę wyemitowanego CO_2 – nie tylko za to, że krowy puszczają gazy, lecz także za spaliny z ciągników i maszyn rolniczych, używanie nawozów, rozwój biogazowni itd.

WIEŚ MAJĄ GDZIEŚ

W polskim przypadku sytuacja jest tym gorsza, że dla Brukseli jesteśmy Europą drugiej kategorii. Producenci rolni z Niemiec, Francji, Holandii lub Danii łatwiej uzyskują różnego rodzaju ulgi i zwolnienia od uciążliwych obowiązków. Na dodatek dzisiaj Polską rządzi partia, która nie jest zainteresowana losem rolników i wsi. Koalicja Obywatelska ma w nosie kraj za wielkim miastem, bo uważa, że nie ma tam wyborców. Już w latach 2008–2014 próbowała faworyzować swój elektorat z największych metropolii kosztem mieszkańców prowincji w myśl zasady, którą nazwano wtedy „modelem polaryzacyjno-dyfuzyjnym". Dzisiaj wraca do tego, czego najbardziej spektakularnym dowodem jest koncepcja odejścia od tzw. szprych kolejowych na rzecz osławionego igreka, czyli magistrali obsługującej tylko cztery największe miasta Polski. To celowe przekierowanie środków publicznych do tych, którzy są więksi i bogatsi. Zupełnie inaczej niż za rządów PiS, bo wtedy starano się pomóc słabszym.

> Rolnicy i wieś od dawna nie głosują na partie obecnej koalicji. Wolą PiS oraz Konfederację, wygląda więc na to, że przyszedł czas odwetu. Tusk nie potrzebuje rolników

Wiadomo, że rolnicy i wieś od dawna nie głosują na partie obecnej koalicji. Wolą PiS oraz Konfederację, więc wygląda na to, że przyszedł czas odwetu. Donald Tusk nie potrzebuje rolników. Znakiem tego jest los Michała Kołodziejczaka, kontrowersyjnego watażki, który zaliczył chyba wszystkie partie od lewa do prawa, łącznie z uczestnictwem w prorosyjskich demonstracjach pod ambasadą USA. Mimo takiego bagażu w 2023 r. był potrzebny Tuskowi jako „rolnicza" twarz. Potem został wiceministrem w Ministerstwie Rolnictwa i Rozwoju Wsi, a teraz znalazł się na całkowitym marginesie życia politycznego.

Także PSL – wbrew swym deklaracjom – nie walczy o rolnictwo. Czasy się zmieniły. Za pierwszej Platformy ludowcy mieli dość sił i woli, aby storpedować polaryzacyjno-dyfuzyjne pomysły Michała Boniego. Dzisiaj to inna partia. Ludzie blisko związani z rolnictwem, tacy jak np. Marek Sawicki, są tam marginesem. Dominują ludzie pokroju Dariusza Klimczaka, Jakuba Stefaniaka czy Miłosza Motyki, najczęściej od najmłodszych lat zatrudnieni na stanowiskach urzędniczych z partyjnego nadania. W sytuacji, gdy ich ugrupowanie ma w sondażach ok. 2 proc. poparcia, myślą tylko o tym, jak znaleźć się na listach wyborczych KO. Nie mają zamiaru narażać karier w walce przeciw pomysłom liberalnego establishmentu i wpływowych lobby.

Innym znakiem zmiany czasu jest upadek pozycji ministra rolnictwa. W poprzednich kadencjach był to jeden z ważniejszych członków każdego rządu. Wystarczy wspomnieć pozycję, jaką mieli Jan Krzysztof Ardanowski czy Robert Telus. W tej kadencji poprzedni szef resortu Czesław Siekierski, PSL-owiec starej daty, podjął próbę walki o utrzymanie pozycji. Ostatecznie skapitulował, a jego miejsce zajął człowiek dużo młodszy i jednocześnie słabszy.

Stefan Krajewski jest bezradny wobec tego, co dzieje się dzisiaj na rynku rolno-spożywczym. „Musimy znaleźć na przyszłość rozwiązania, aby nie dochodziło do podejmowania decyzji poprzez obserwowanie rynku i tego, co robią sąsiedzi, bo od tego mamy profesjonalne instytucje, które powinny doradzać, na co postawić" – takim pustosłowiem podsumował nowy minister swój brak pomysłów na ratowanie rolnictwa. Szczególnie fraza o doradzaniu przez „profesjonalne instytucje" wywołała wiele gorzkich drwin wśród rolników. Bo po pierwsze, nie bardzo wiadomo, o jakie

eprasa.pl 0506e848ed

instytucje chodzi, a po drugie, brakuje wiary, że mają one taki dar proroczy, że potrafią przewidzieć, jaki za rok będzie dyktat pośredników i sieci handlowych.

W rozmowie z PAP Krajewski znalazł „winnego" swojej bezradności. To Wojsko Polskie: „Wiemy, na czym skupiamy się dzisiaj, największe pieniądze są wydatkowane na uzbrojenie polskiej armii i na zabezpieczenie Polski". Krajewski nagłaśnia zlecanie kontroli w sprawie zmów cenowych na rynku warzyw i owoców przez Urząd Ochrony Konsumentów i Konkurencji. Ale UOKiK co rusz podejmuje takie działania, a problem narasta, więc widać, że jest to metoda mało skuteczna. Krajewski z jakichś powodów nie jest w stanie uruchomić skupu interwencyjnego. *De facto* przestały działać dopłaty do nawozów. Rolnicy bezskutecznie domagają się wprowadzenia zamiast nich niskooprocentowanego kredytu na ich zakup. „Potrzebujemy narzędzia, a nie jałmużny" – tak brzmi hasło organizacji rolniczych, które zwróciły się z tym postulatem do MRiRW. Zwrot akcyzy za paliwo rolnicze jest nieefektywny, czasochłonny i łączy się z biurokratyczną mitręgą. Rolnicy – wzorem innych krajów – chcieliby specjalnego barwionego paliwa rolniczego o niższej cenie. Tu już dostali odpowiedź z MRiRW, że się nie da, bo to zbyt duży kłopot dla budżetu państwa.

KONSEKWENCJE MERCOSUR I ETS

Krajewskiemu trzeba przyznać, że próbuje rozmawiać z ministrami rolnictwa innych krajów unijnych w sprawie umowy z Mercosur. Ale bez wsparcia całego rządu są to działania skazane na niepowodzenia. A tego wsparcia nie ma. Szef dyplomacji Radosław Sikorski nie wykonał żadnego ruchu w tej kwestii. Bo jeśli ostatecznie nie da się zablokować tej umowy, to są pewne możliwości dla złagodzenie jej skutków.

Umowa z Mercosur jest tak skonstruowana, że chroni branże mocne w Niemczech czy Danii – np. hodowców wieprzowiny – lub Francji, tj. produkcję mleczarską. I dziwnym trafem uderza w producentów drobiu, cukru lub wołowiny. A tak się składa, że to gałęzie produkcji mocne w Polsce.

Jesteśmy największym w UE eksporterem drobiu, trzecim na świecie. Ale produkowany w krajach Ameryki Południowej drób jest o połowę tańszy. Dlaczego? Nie tylko dlatego, że tańsza jest tam robocizna, lecz także energia (nie mają ETS). Nie mają takiej biurokracji jak w Europie – narzuconych norm sanitarnych, środowiskowych, dotyczących dobrostanu kur. Mogą stosować antybiotyki i hormony wzrostu, które są zakazane w UE. Najczęściej słusznie zakazane, bo efektem ich stosowania jest mięso dużo niższej jakości i po prostu niezdrowe. Wkrótce Bruksela wpuści taki produkt na rynki europejskie. Tu ważna uwaga: upadek polskiego drobiarstwa czy hodowli bydła mięsnego to bolesny cios dla całej gospodarki. Produkcja mięsa daje większe zyski niż produkcja roślinna.

Komisja Europejska ustami Ursuli von der Leyen głosiła walkę ze śladem węglowym także w rolnictwie. Niektóre elementy tego przekazu miały sens. Np. taki, by żywność była produkowana lokalnie, bo transport z daleka to niepotrzebny ślad węglowy. Umowa z Mercosur całkowicie temu przeczy.

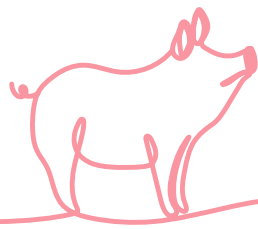
Rolnicy mają świadomość, że padają ofiarą skutecznego lobbingu wielkich korporacji. Nie tylko niemieckiego przemysłu, który chce sprzedawać swoje produkty w Ameryce Południowej, lecz także wielkich ponadpaństwowych agrokorporacji, które działają na wielkich areałach. Produkują w ten sposób dużo taniej, a także dużo gorzej. Te gigantyczne firmy zdominowały rolnictwo Ukrainy, gdzie prawie w ogóle nie ma gospodarstw rodzinnych. A farmerzy z gospodarstw rodzinnych mają słabszą od agrokorporacji pozycję negocjacyjną wobec pośredników i wielkich sieci handlowych, które na dodatek w Polsce należą do zagranicznych właścicieli. To jeden z powodów, dla którego bezkarne oligopole w przetwórstwie i handlu zmuszają mniejszych rolników do dostarczania im płodów rolnych poniżej kosztów produkcji. Postępująca dominacja wielkich sieci handlowych sprawia, że drobniejsi producenci całkowicie tracą inne możliwości sprzedaży swojego towaru – bo nie ma już sieci mniejszych, niezależnych sklepów ani wielu lokalnych targowisk.

Temu wszystkiemu towarzyszy liberalna propaganda, że rolnictwo nie może być rozdrobnione, a mniejsze gospodarstwa są nieopłacalne. To prawda, że pod względem kosztów produkcji przegrywają konkurencję z gigantycznymi korporacjami. Ale produkują lepszą żywność i są przyjazne dla środowiska. Tu kolejny raz Bruksela przeczy swej propagandzie. Eliminacja gospodarstw rodzinnych to cios w bardziej ekologiczne rolnictwo. Dzisiejsza różnorodność zostanie zamieniona w wielkoobszarowe monokultury, takie jak np. na Ukrainie. Czyli pustynie pod względem biologicznym, które wymagają większej ilości pestycydów dla ochrony upraw.

Upadek gospodarstw rodzinnych to nie jest wizja fantastyczna. Zdecydowana większość polskich gospodarstw towarowych pozostaje zadłużona w bankach, co stale podkreśla np. Jan Krzysztof Ardanowski. Ich rozwój, unowocześnianie, spełnianie nowych wymogów unijnych, a nawet podtrzymywanie produkcji – to wszystko zawsze wymagało kredytów. Przy spadającej dochodowości kolejne kredyty preferencyjne mogą być tylko przedłużeniem agonii. Po wejściu nieuczciwej konkurencji z państw Mercosur i Ukrainy bankructwa tych nowoczesnych warsztatów pracy będą masowe. W ich miejsce wejdą wielkie agrokorporacje.

Likwidacja rolnictwa farmerskiego to katastrofa nie tylko gospodarcza, lecz także demograficzna i kulturowa. Obumrze cała sieć przedsiębiorstw – firmy obsługujące rolnictwo, które dzisiaj są miejscem pracy dla co najmniej dziesiątków tysięcy mieszkańców wsi i mniejszych miast. W dalszej kolejności upadnie miejscowy biznes – sklepy i usługi – gdzie zostawiają pieniądze ci, którzy żyją z rolnictwa. A potem cała lokalna sfera publiczna – szkoły, instytucje samorządowe i publiczne, bo nie będą miały dla kogo tam pracować. Zacznie się exodus ludzi szukających nowych miejsc pracy. W kilku największych miastach Polski, a także znów za granicą. Ale może właśnie o to chodzi w tej liberalnej inżynierii społecznej.

eprasa.pl 0506e848ed



Wieś to nie miasteczko Wilanów

Polska wieś staje się miejscem walki o przetrwanie, której źródłem nie są już tylko skandalicznie niskie ceny skupu zbóż czy unijne regulacje. W centrum sporu znalazły się... zapachy. Dla jednych stanowią naturalną część wiejskiego krajobrazu, dla innych są powodem domagania się rekompensat



GRZEGORZ SZAFRANIEC

Ten konflikt nie dotyczy wyłącznie smrodu z chlewni czy odgłosów wydawanych przez ciągniki i kombajny. To walka o prawo do prowadzenia produkcji rolnej i o charakter współczesnej wsi.

Jeśli ktoś buduje bądź kupuje dom za miastem, musi brać pod uwagę to, że czasem na wsi po prostu śmierdzi, pieją koguty, a podczas żniw na polach pracują kombajny – również nocą. Nie można oczekiwać wyłącznie zapachu lawendy, kiedy obok ktoś hoduje świnie albo krowy. „To tak, jakby zamieszkać nad rzeką i domagać się, żeby przestała ona płynąć" – mówił podczas ostatniego posiedzenia sejmowej Komisji Rolnictwa były minister rolnictwa Marek Sawicki. Napływowi mieszkańcy muszą mieć świadomość, że wieś nie jest osiedlem willowym. Niestety z tą świadomością jest duży problem.

WSI SIELSKA, ANIELSKA

Zmiana krajobrazu polskiej wsi dotyczy przede wszystkim gmin podmiejskich, które stopniowo wchodzą w obszar tzw. miejskich obszarów funkcjonalnych. Instytut Rozwoju Wsi i Rolnictwa PAN szacuje, że dziś tworzy je jedna trzecia gmin wiejskich i wiejsko-miejskich. Z danych GUS wynika, że od 2000 r. sprowadza się tam coraz więcej osób (autochtoni mówią o nich najczęściej „przyjezdni", „mieszczuchy" bądź „miastowi"). Obecnie na terenach wiejskich przylegających do aglomeracji co roku osiedla się o ponad 50 tys. ludzi więcej, niż się z nich wyprowadza. Co ich przyciąga?

W przypadku osób starszych często jest to wyidealizowany obraz polskiej prowincji, gwarantujący ucieczkę od zgiełku ruchliwej ulicy na łono natury. Z kolei młodzi wskazują na połączenie bliskości miejskiej infrastruktury z zaletami życia na prowincji, takimi jak większa przestrzeń, spokój czy niższe koszty życia. Niezależnie od wszystkiego, obie wymienione grupy oczekują sielanki, a gdy jej nie dostają – idą na zwarcie. Wysyłają skargi na policję, do straży gminnej i władz samorządowych. Nie brak sporów, które znajdują finał na salach sądowych.

ZE WSI DO SĄDU

W wielu przypadkach „przyjezdni", przyzwyczajeni do standardów miejskiego życia, zgłaszają zastrzeżenia do działalności rolniczej, która rzekomo zakłóca im komfort życia. Z kolei rolnicy argumentują, że ich praca jest nie tylko legalna, lecz także niezbędna dla krajowego sektora żywnościowego.

Sądy administracyjne stają się zatem areną, na której ścierają się dwa podejścia do tego samego terytorium: wsi jako przestrzeni produkcji żywności oraz wsi jako miejsca sielskiego bytowania i wypoczynku. Takie procesy są nie tylko oderwane od realiów, lecz także niebywale groźne. Rolnicy boją się bowiem inwestować w produkcję. Ich obawy zdecydowanie wzrosły po kuriozalnym wyroku, jaki zapadł w głośnej sprawie Szymona Kluki – hodowcy trzody chlewnej z Grodziska pod Łodzią.

ROLNICY WSPARLI SKAZANEGO

Klukę skazano za tzw. immisję z gospodarstwa względem sąsiada, a więc o zapachy, które rzekomo szkodzą otoczeniu. Odszkodowanie, jakie musiał zapłacić (wraz z odsetkami i kosztami sądowymi), wyniosło 117 tys. zł. Wyrok zelektryzował całe środowisko. Rolnicy wykazali się ogromną solidarnością – w krótkim czasie w internetowej zbiórce udało im się zgromadzić ponad 84,5 tys. zł. Pozostałe 30 tys. dorzucił Klub Parlamentarny PSL.

Istnieje uzasadniona obawa, że kontrowersyjny wyrok nie będzie ostatni, bo pozwów przybywa, a nieostre przepisy zachęcają świeżo upieczonych sąsiadów do ich składania. Dziś o losie gospodarstw często decydują nie ustawy, ale subiektywne odczucia innych mieszkańców oraz orzeczenia sądowe – rozbieżne i nieprzewidywalne. W Centralnej Bazie Orzeczeń Sądów Administracyjnych można znaleźć ponad 100 przypadków dotyczących konfliktów sąsiedzkich wśród rolników.

NIE MA URZĘDOWEJ MIARY ODORU

Jaką podstawę prawną mają osoby składające podobne pozwy? W Polsce kwestie związane z hałasem reguluje kilka aktów prawnych. Najważniejsza jest ustawa o prawie ochrony środowiska.

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 0506e848ed

– Zgodnie z nią hałas definiuje się jako „dźwięk, który może powodować uciążliwości lub szkody dla zdrowia ludzi, a także negatywnie wpływać na środowisko". Z kolei art. 144 Kodeksu cywilnego stanowi, że odgłosy dźwiękowe związane z produkcją rolną nie powinny przekraczać poziomu, który jest „uznawany za akceptowalny w danym miejscu i czasie" – mówi mecenas Paweł Kopytowski, lider Działu Prawa Rolnego w Kancelarii Prawnej Graś i Wspólnicy. Dodaje, że nie istnieje żadna urzędowa miara dla odoru, co naraża rolników na roszczenia ze strony świeżo upieczonych sąsiadów.

KODEKS CYWILNY DO LIFTINGU

Niezbędny jest konkretny wysiłek legislacyjny, który ostatecznie zakończy obecny stan niepewności. Pierwszym realnym krokiem mają być istotne zmiany w Kodeksie cywilnym. Jedną z propozycji jest wprowadzenie obowiązku tworzenia tzw. stref buforowych pomiędzy nowymi inwestycjami mieszkaniowymi a gospodarstwami rolnymi. Miałyby to być np. pasy zieleni, tereny techniczne lub inne formy oddzielenia przestrzeni życiowej od produkcyjnej.

– Takie rozwiązanie przyczyniłoby się do choćby częściowego rozwiązania problemu. Szczególnie jeśli obaj sąsiedzi zainwestowaliby w posadzenie żywopłotu, który może być nie tylko granicą nieruchomości, lecz także składnikiem strategii wspierającej bioróżnorodność – komentuje mecenas Kopytowski.

JAK POGODZIĆ ZWAŚNIONE STRONY?

Niezależnie od planowanych zmian w prawie Krajowa Rada Izb Rolniczych wyszła z interesującą inicjatywą, której celem jest deeskalacja konfliktu. Popiera ją resort rolnictwa. Chodzi o wprowadzenie „Deklaracji świadomego wyboru życia na wsi", która zakłada konieczność podpisania przez osoby planujące zakup nieruchomości na terenach wiejskich dokumentu potwierdzającego, że mają oni świadomość specyfiki życia na wsi, w tym uciążliwości, które można tam zastać.



Tomasz Obszański, przewodniczący NSZZ „Solidarność" RI i doradca prezydenta ds. rolnictwa zapewnia, że stanowisko związku w tej kwestii jest jednoznaczne. – Natura polskiej wsi to nasze dobrodziejstwo. Nie ma zgody na pozywanie producentów rolnych za zapach, kurz czy hałas, bo są one nierozłącznie związane ze wsią. Jeżeli komuś to nie pasuje, nie musi mieszkać na prowincji. Gdy jednak zdecyduje się na taki krok, powinien podpisać oświadczenie, że zdaje sobie sprawę z uciążliwości, jakie może napotkać.

LEX FETOR

Opisany przypadek Szymona Kluki wykracza daleko poza jednostkowy dramat. Staje się fundamentem szerszej zmiany prawnej. Jeśli dojdzie ona do skutku, ukształtuje ramy funkcjonowania polskiej wsi na lata, kładąc podwaliny pod zdefiniowanie na nowo kontraktu społecznego między rolnikami a nowymi mieszkańcami. Czy cała sprawa zmieni prawo? Pierwszym krokiem w tym kierunku ma być stworzenie funduszu interwencyjnego dla poszkodowanych rolników. Kolejny to ustawa o funkcji produkcyjnej wsi.

Stefan Krajewski, minister rolnictwa z ramienia PSL, przychyla się do opinii, że obecne przepisy nie nadążają za rzeczywistością. Dlatego kierowany przez niego resort zapowiada przygotowanie ustawy chroniącej funkcję produkcyjną wsi. Są i tacy, którzy używają wobec procedowanego aktu prawnego mniej eleganckich określeń, jak „Lex fetor" czy „Ustawa odorowa".

Nowe przepisy mają zapewnić rolnikom prawo do prowadzenia działalności zgodnie z dobrą praktyką rolniczą bez narażania się na poczynania roszczeniowych sąsiadów. „Pilnie potrzeba klarownych regulacji, które pozwolą przeciąć to pasmo donosów, pozwów czy sąsiedzkiej złośliwości" – powiedział Krajewski podczas posiedzenia sejmowej Komisji Rolnictwa. Z kolei szef rolniczej Solidarności przyznaje w rozmowie z tygodnikiem „Sieci": – Niestety, zdarza się nawet, że na rolnika donosi inny rolnik, bo akurat sprzedał swoją ziemię i poczuł się kimś „lepszym". Nie sądziłem, że może dochodzić do takich sytuacji.

KONKRETÓW WCIĄŻ BRAK

Część posłów opozycji zarzuca resortowi rolnictwa brak realnych działań. Szczególnie krytyczny jest były minister Robert Telus. – Gdzie są proponowane zapisy czy harmonogram prac? To tylko puste słowa – powiedział w rozmowie z tygodnikiem „Sieci". Polityk domagał się, żeby ministerstwo przedstawiło gotowy projekt ustawy najpóźniej do końca września. – Mamy październik i złowroga ministerialna cisza trwa w najlepsze – mówi Telus. Wytyka resortowi rolnictwa brak konkretów i transparentności. – Szczerze wątpię w skuteczność regulacji, które zostaną zaprezentowane – jak mniemam – w nieokreślonej bliżej przyszłości – konstatuje polityk opozycji.

Współczesna wieś stoi przed wyzwaniem integracji różnych grup społecznych. Dziś, mimo że przez wszystkie przypadki odmienia się hasło „bezpieczeństwa żywnościowego", coraz trudniej o szacunek dla produkcji rolnej. Wielu konsumentów nie zwraca na to uwagi, a problemy rolników ich nie obchodzą.

Fot. Materiały prasowe

eprasa.pl 0506e848ed



Zamiast orderu niemiecka cela?

Wołodymyr Ż., ukraiński nurek ścigany przez Niemców za wysadzenie w powietrze gazociągów Nord Stream i Nord Stream 2, został zatrzymany w Pruszkowie. Czy człowiek nazywany dotąd bohaterem trafi do niemieckiego więzienia?



ŁUKASZ WRÓBLEWSKI

W tej sprawie jest tylko kilka rzeczy, które wiadomo na pewno. A mianowicie: ściganego przez Niemcy za wysadzenie trzech z czterech nitek Nord Stream i Nord Stream 2 Wołodymyra Ż. zatrzymały polskie służby podlegające ministrowi koordynatorowi Tomaszowi Siemoniakowi i ministrowi spraw wewnętrznych Marcinowi Kierwińskiemu. Wniosek o tymczasowe aresztowanie skierowała do sądu polska prokuratura podlegająca prokuratorowi generalnemu Waldemarowi Żurkowi. Ta sama prokuratura chce wydania Wołodymyra Ż. stronie niemieckiej.

„Sąd i prokuratura decydują w tego rodzaju sprawach. Nie wiem, czy Polska powinna odmówić" – jąkał się w jednym z programów radiowych pytany o sprawę Ukraińca Siemoniak. Strona rządowa zapewnia, że chodzi tutaj wyłącznie o procedury: Niemcy wystawili Europejski Nakaz Aresztowania, Polska nie miała innego wyjścia, jak go zrealizować.

KAPITULACJA I KOMPROMITACJA

Tylko idiota może jednak poważnie zakładać, że prokuratura działała niezależnie od polityków, a Siemoniak, Kierwiński i Żurek akurat w tej sprawie podejmowali decyzje bez zielonego światła ze strony swojego bossa. Jeśli Wołodymyr Ż. trafi do niemieckiego więzienia, stanie się to na życzenie Donalda Tuska. Na razie premier twierdzi, że „w interesie Polski i w interesie zwykłego poczucia przyzwoitości i sprawiedliwości na pewno nie jest oskarżanie ani wydawanie tego obywatela w ręce innego państwa".

Fot. Wojtek Radwański/AFP

eprasa.pl 0506e848ed



„Jeśliby Polska w jakikolwiek sposób pomogła Niemcom w dopadnięciu i ukaraniu Ukraińców, którzy podjęli się wykonania chlubnej i ryzykownej misji likwidacji rur bałtyckich – byłby to dyshonor i upokorzenie naszego kraju. Tylko mali i zawistni ludzie zwykli traktować bohaterów jako bandytów" – dowodził na łamach wszystkoconajwazniejsze.pl nasz publicysta Jan Rokita.

Przede wszystkim zaś spełnienie życzenia Niemców i podanie im na tacy ukraińskiego nurka byłoby dowodem porażającej słabości państwa i uległości obecnego rządu wobec Berlina. Odkładając bowiem na bok spór o to, czy wojna rosyjsko-ukraińska jest wojną naszą, nie naszą, a może trochę taką i taką, szanujące się państwo nie może dopuścić do sytuacji, w której minister spraw zagranicznych mówi, że sprawcy zniszczenia gazociągów Nord Stream to bohaterowie i trzeba im dać medale, a potem podległa rządowi prokuratura daje jednemu z tych bohaterów kopniaka na drogę do niemieckiego więzienia.

A więc jeszcze raz: z całą pewnością wiadomo, że uleganie Niemcom w tej sprawie jest kosztownym błędem, za który być może zapłacą wszyscy Polacy. Na razie zaś ulegamy. Polska nie musiała – co udowadniała wcześniej – gorliwie ścigać Wołodymyra Ż. Nie musiała pozwolić (a pozwoliła) niemieckim służbom na obecność przy przeszukaniu mieszkania Ukraińca. Prokuratura nie musiała występować o areszt, a wystąpiła, i to na 100 dni (ostatecznie sąd przyklepał 40).

„Już na tym pierwszym etapie osiągnięto skutek, który strona niemiecka chciał wywołać. Chyba każdy zdaje sobie sprawę, jaka jest różnica pomiędzy odpowiadaniem z wolnej stopy a byciem w tym czasie tymczasowo aresztowanym" – mówił na antenie telewizji wPolsce24 adwokat Wołodymyra Ż. Tymoteusz Paprocki.

„Ubolewam bardzo mocno nad tą decyzją i tym rozstrzygnięciem. Polskiemu wymiarowi sprawiedliwości już po raz drugi w ciągu tygodnia brakuje wrażliwości i ujęcia tego, w jakim miejscu jesteśmy, jaki mamy układ geopolityczny, o jakich wartościach mówimy. Sąd po raz kolejny się od tego odcina, mówiąc, że sytuacja geopolityczna nie może mieć wpływu na rozumienie przepisów" – dodawał mecenas.

REJS ANDROMEDY

A teraz o tym, czego nie możemy być pewni. Nie wiemy przede wszystkim na 100 proc., czy 46-letni Wołodymyr Ż. naprawdę miał coś wspólnego z wysadzeniem trzech z czterech nitek gazociągów Nord Stream i Nord Stream 2. Niemiecka prokuratura twierdzi jednak, że zebrała mocne dowody: ślady DNA na jachcie, którym mieli się poruszać sabotażyści, nagrania kamer monitoringu z portu, wreszcie zdjęcie Wołodymyra Ż. z fotoradaru, który uwiecznił Ukraińca przekraczającego autem prędkość na Rugii 8 września, a więc w dniu, w którym rozpoczęła się ekspedycja. Zdaniem niemieckich śledczych to wystarczy, by przedstawić Ukraińcowi zarzuty „sabotażu konstytucyjnego", zniszczenia mienia należącego do innej osoby i spowodowania eksplozji. Grozi mu w sumie 15 lat więzienia.

Bliscy Wołodymyra Ż. zaprzeczają. Twierdzą, że w dniu, kiedy wysadzono rury, mężczyzna był w domu z rodziną.

Nie wiemy też dokładnie, co się stało na Bałtyku we wrześniu 2022 r. Według Niemców sabotażu miała dokonać grupa poruszająca się 15-metrowym jachtem żaglowym Bavaria Cruiser o nazwie Andromeda. Został on wynajęty od czarterującej jednostki pływającej na potrzeby rejsów turystycznych niemieckiej firmy Mola Yachting. Na pokład miało wejść siedem osób – sześciu mężczyzn i kobieta. Według niemieckich służb część z nich posługiwała się paszportami Bułgarii i Rumunii – dokumenty zostały rzekomo sfałszowane.

Andromeda wypłynęła z portu pod Rostockiem. Jacht nie miał – według przepisów nie było to konieczne – systemu automatycznej łączności AIS. Nie wiadomo więc, jaką dokładnie trasą się poruszał. Służby RFN podawały, że Andromeda zawinęła do portu w Wiek na Rugii, na duńską wyspę Christiansø i do Sandhamn w Szwecji. 19 września jacht przez 12 godzin stał w Kołobrzegu, gdzie załoga (potwierdzają to polskie służby) została sprawdzona przez Straż Graniczną.

26 września operator niemieckiej sieci gazowej poinformował, że ciśnienie w Nord Stream 2 spadło ze 105 do 7 barów. Tego samego dnia po południu duńskie władze potwierdziły wyciek z jednej z nitek Nord Stream 2. Doszło do niego na południowy wschód od Bornholmu. Wieczorem operator Nord Stream 1 poinformował o spadkach ciśnienia w obu nitkach gazociągu. 27 września duńskie i szwedzkie służby przekazały informację o dwóch wyciekach w Nord Stream 1. Szwedzkie media doniosły o wybuchach, wskazując jednoznacznie, że dziury w niemiecko-rosyjskich rurach to wynik sabotażu. 28 września szwedzka straż graniczna odkryła drugi wyciek w Nord Stream 2. W międzyczasie, 27 września wieczorem, Radosław Sikorski zdążył się zbłaźnić, wrzucając słynnego twitta „Thank you, USA".

eprasa.pl 0506e848ed

SKĄD ON SIĘ WZIĄŁ?

Z całą pewnością nie wiemy też wszystkiego o samym Wołodymyrze Ż. Miał on przyjechać do Polski w lutym 2022 r., na kilka dni przed rozpoczęciem pełnoskalowej inwazji Rosji na Ukrainę. Ma żonę Julianę i trzech synów, uczących się w naszych szkołach. W 2023 r. Ż. założył w Pruszkowie jednoosobową działalność gospodarczą (usługi budowlane). Również od 2023 r. i również w Pruszkowie działa trudniąca się montażem wentylacji i klimatyzacji spółka z ograniczoną odpowiedzialnością. Jej wspólnikami są Wołodymyr Ż., a także pochodzący z Ukrainy obywatel Polski i posiadający w naszym kraju status rezydenta obywatel Bułgarii.

Ż. ma uprawnienia instruktora nurkowania. Według niemieckich śledczych to m.in. on miał zejść z pokładu Andromedy i założyć ładunki wybuchowe na znajdujących się na głębokości 80 m rurach. Zejście na taką głębokość wymaga zaawansowanego treningu i specjalistycznego sprzętu. Według niemieckich mediów na Andromedzie było jeszcze troje innych nurków, w tym była żołnierka ukraińskiej armii. Sternikiem miał być człowiek z Odessy, który został wskazany po odciskach palców zostawionych na jachcie. Wcześniej mężczyzna ten ubiegał się o holenderską wizę, musiał złożyć odciski do formularza. Inny członek załogi Andromedy już po ataku na Nord Stream zgłosił się na szkolenie wojskowe prowadzone przez Bundeswehrę w ramach pomocy Ukrainie. Jego też miały zdradzić odciski palców.

Ale najważniejsze pytanie brzmi: czy Wołodymyr Ż. miał jakieś związki z ukraińskimi służbami bądź wojskiem? Po pierwsze, teza o sabotażu zorganizowanym w wolnym czasie przez grupę hobbystów brzmi wariacko. Po drugie, na pokładzie Andromedy, poza wspomnianą już żołnierką, był emerytowany funkcjonariusz SBU Serhij K. (wpadł we Włoszech, czeka na ekstradycję do Niemiec). Po trzecie, dość oczywiste skojarzenia budzi firma, która wynajęła jacht w Rostocku. Zarejestrowana przez dwoje Ukraińców w Warszawie ma siedzibę w wirtualnym biurze. Jej prezeską jest obywatelka Ukrainy, posiadająca także spółkę turystyczną w Krakowie. Przynajmniej oficjalnie, bo pod podanym adresem – jak ustalili dziennikarze Frontstory.pl – nikt nie słyszał o takim przedsiębiorstwie. Czy mamy do czynienia z typową firmą przykrywką? Niewykluczone.

Kiedy latem 2024 r. służby szykowały się, by po raz pierwszy zapukać do drzwi Wołodymyra Ż., ten uciekł na Ukrainę. Ktoś musiał go ostrzec. Polacy? Nie wiadomo, choć to oczywiście prawdopodobne. Według niemieckiego dziennika telewizyjnego „Tagesschau" w publicznej stacji ARD nurek miał przejechać polsko-ukraińską granicę w samochodzie attaché wojskowego Ukrainy. To z kolei ma dowodzić, że całą operację od początku prowadziło państwo ukraińskie.

> Szanujące się państwo nie może dopuścić do sytuacji, w której minister spraw zagranicznych mówi, że sprawcy zniszczenia gazociągów Nord Stream to bohaterowie i trzeba im dać medale, a potem podległa rządowi prokuratura daje jednemu z tych bohaterów kopniaka na drogę do niemieckiego więzienia

Ale zaskoczenie – Ukraińcy umywają ręce. Tak jakby nikt nie chciał już ratować Wołodymyra Ż. Dziwna historia.

„Oczywiście w naszym interesie jest bronić interesów naszego obywatela i my ze swojej strony jako ambasada i konsulat zapewniamy mu całość wsparcia" – powiedział ambasador Ukrainy w Warszawie Wasyl Bodnar.

A tak konkretnie? „Nie wtrącamy się, bo po prostu to jest sprawa sądowa" – rozkłada ręce Bodnar. „Wszystko zależy od wymiaru sprawiedliwości. Oczywiście, że sąd jest sądem i musi podjąć odpowiednią decyzję" – skwitował.

Brzmi to podobnie do wypowiedzi minister sprawiedliwości RFN Stefanie Hubig, komentującej zatrzymanie Serhija K. (wspomniany wcześniej eksfunkcjonariusz SBU z Andromedy) we Włoszech. „Politycznie jesteśmy jednoznacznie po stronie Ukrainy i to się nie zmieni. Dla mnie ważne jest jednak to, że Niemcy są państwem prawa, a przestępstwa będące w naszej jurysdykcji są w pełni ścigane" – podkreśliła.

SKĄD TA ZMIANA?

I ostatnie, najważniejsze dla nas pytanie: co się stało, że nasze państwo, ewidentnie dotąd pozorujące pościg za sprawcami sabotażu w Polsce, zmieniło zdanie? Dlaczego nie jest już tak, jak było?

A było tak: w lutym 2024 r. Dania umorzyła śledztwo, ogłaszając, że nie ma dowodów, by komukolwiek postawić zarzuty; Szwecja stwierdziła, że nie ma jurysdykcji do dalszego prowadzenia sprawy, a polska Prokuratura Krajowa prowadziła ją tak, by do niczego nie doprowadzić.

Czy najbliższa prawdy jest najprostsza opowieść o premierze, który nie wytrzymał presji i kazał zrealizować życzenie swoich politycznych patronów z Berlina? A może wciąż wiemy za mało, by wykluczyć jakąś większą, ciekawszą układankę? A jeśli wszyscy się mylą, rację zaś ma wyjątkowo bezczelny ambasador Niemiec w Polsce Miguel Berger, wypisujący na platformie X, że „rządy prawa oznaczają, iż przepisy obowiązują wszystkich – niezależnie od tego, czy ktoś osobiście zgadza się, czy nie z przestępstwem popełnionym w państwie członkowskim Unii Europejskiej".

Bez przesady. Pozostaje nam cierpliwie czekać aż to, co dziś ukryte w ciemnych szufladach tajnych służb, wydostanie się na światło dzienne.

eprasa.pl 0506e848ed



Czy ktoś próbuje nam ukraść Konkurs Chopinowski?

Są w kulturze wydarzenia święte dla Polaków. Z tego powodu trudno poddawać je krytyce, nawet gdy sprawa tego wymaga. Należy do nich Międzynarodowy Konkurs Pianistyczny im. Fryderyka Chopina. Do Warszawy przyjeżdżają zakochani w Chopinie pianiści i melomani z najdalszych zakątków świata, a Filharmonia Narodowa jest najczęściej oglądaną sceną na globie. To jedyna tak spektakularna okazja do promocji polskości. Problem jednak w tym, że jest jej coraz mniej



MARZENA NYKIEL

Zacznijmy od tego, że Chopin nie był kosmopolitą. Przeciwnie. Podkreślał swoją polskość i stanowczo przypominał o niej innym. Usunięta z map świata Polska pulsowała w jego sercu i muzyce, choć niektórzy próbowali brać go za Francuza. W liście do Józefa Elsnera z 29 stycznia 1831 r. jednoznacznie odrzuca konformistyczne podszepty. Odwołując się do wieści o wybuchu powstania listopadowego, podkreśla, jak bliskie są mu losy ojczyzny:

„Od dnia [...], w którym się dowiedziałem o wypadkach 29 listopada aż do tej chwili nie doczekałem się niczego, prócz niepokojącej obawy i tęsknoty; i Malfatti na próżno się stara mnie przekonać, że każdy artysta jest kosmopolitą. Choćby i tak było, to jako artysta jestem jeszcze w kolebce, a jako Polak trzeci krzyżyk zacząłem; mam więc nadzieję, że znając mnie, za złe mi Pan nie weźmiesz, iż dawniejsze uczucia biorą przewagę; żem dotychczas o układzie koncertu nie myślał".

Nie ma na świecie bardziej rozpoznawalnego polskiego artysty niż Fryderyk Chopin. Kochają go melomani na całym globie, a zachwyceni jego muzyką azjatyccy pianiści marzą o wzięciu udziału w konkursie jego imienia. Niektórzy regularnie odwiedzają nasz kraj, a nawet uczą się polskiego, by jeszcze lepiej zrozumieć duszę kompozytora. Chopin to nasza marka. Od blisko 100 lat co pół dekady odnawiana niezwykłą kulminacją w postaci Konkursu Chopinowskiego. To powinno być centralne wydarzenie kulturalne. Nie ma przecież równie prestiżowego momentu promocji. Dlaczego więc powoli zostaje oddawane w obce ręce?

Fot. Krzysztof Sążpak/NFC

eprasa.pl 0506e848ed



CUDZOZIEMIEC NA CZELE JURY I GARSTKA POLAKÓW

Idea konkursu zrodziła się w 1925 r. z inicjatywy prof. Jerzego Żurawlewa, ucznia pianisty Aleksandra Michałowskiego. Celem było odnowienie grona spadkobierców tradycji Fryderyka Chopina, odbudowa grupy znawców i wielbicieli jego muzyki. Pomysł wcielono w życie dwa lata później.

Pierwszy Konkurs Pianistyczny im. Fryderyka Chopina odbył się w Filharmonii Narodowej w 1927 r. Na 14 jurorów tylko jeden był cudzoziemcem. W późniejszych edycjach grono jurorskie rosło i składało się z większej liczby obcokrajowców, ale obowiązywała przewaga Polaków. W 2021 r. na 17 jurorów Polaków było 7. W obecnej edycji mamy rewolucję. Polaków w składzie jury jest jedynie 4 – tyle samo co Amerykanów. Przy czym po raz pierwszy w historii przewodniczącym jury nie jest Polak. Funkcję tę pełni Garrick Ohlsson ze Stanów Zjednoczonych. Mamy więc 4 jurorów z Polski (Krzysztof Jabłoński, Piotr Paleczny, Ewa Pobłocka, Wojciech Świtała), 4 z USA (Garrick Ohlsson, Kevin Kenner, Robert McDonald, John Rink), 1 z Rosji (Julianna Awdiejewa), 1 z Chin (Chen Sa), 2 z Japonii (Akiko Ebi, Momo Kodama), 1 z Francji (Michel Béroff) 1 z Argentyny (Nelson Goerner), 1 z Południowej Afryki (John Allison) oraz 1 z Wietnamu/Kanady (Đ ng Thái S n). Honorowym jurorem jest też Lidia Grychtołówna, ale funkcja ta nie ma waloru decyzyjnego.

DLACZEGO NIE KRYSTIAN ZIMERMAN?

Sytuacja budzi wiele pytań. Podobno kluczem w ustalaniu takiego składu jurorskiego był ich zwycięski udział w poprzednich edycjach konkursu. Dlaczego więc przewodniczącym jury nie został najsławniejszy współczesny polski chopinista Krystian Zimerman? Tym bardziej że wybiła właśnie 50. rocznica jego chopinowskiego triumfu. Był trzecim Polakiem w historii, który zdobył ten prestiżowy laur. Jest także jednym z najmłodszych zwycięzców – miał zaledwie 18 lat. W IX edycji poza nagrodą główną otrzymał również wszystkie nagrody specjalne. Jak to możliwe, że tak zasłużona postać, ceniona dziś na całym świecie, została pominięta?

– Uważam, że to koszmarny despekt wobec Krystiana Zimermana i niewykorzystanie szansy. To wielki pianista i ogromny autorytet, a także mistrz sztuki życia i sztuki pracy nad sobą. Obserwowałem jego pracę. Po wygranej powiedział, że Konkurs Chopinowski to dopiero początek, że on dopiero teraz musi się nauczyć pracować nad Chopinem – mówi portalowi wPolityce.pl prof. Marek Dyżewski, pianista, chopinista, komentator konkursów chopinowskich i były rektor Akademii Muzycznej we Wrocławiu. – Marzę, by ten konkurs firmował ktoś tak wybitny jak Krystian Zimerman. Nie mam nic przeciwko Garrickowi Ohlssonowi. Tylko jest pewna hierarchia pianistów, których konkurs, mając niewiarygodną siłę promocyjną, wyniósł na estrady najwyższego prestiżu – dodaje prof. Dyżewski. Dlaczego więc Narodowy Instytut Fryderyka Chopina zdecydował się oddać przewodniczenie w ręce Amerykanina? Pytań jest znacznie więcej.

DLACZEGO DEUTSCHE GRAMMOPHON?

Zaskakująca jest także inna aktywność. Konkurs Chopinowski to nie tylko prestiż, lecz także konkretna promocja, która przekłada się na określony zysk. Oczywiście sami pianiści walczą o wygraną, która otwiera im drogę na najbardziej prestiżowe sceny świata, do współpracy z najlepszymi orkiestrami i najwybitniejszymi dyrygentami. Otrzymują także nagrody pieniężne. I miejsce – 60 tys. euro, II miejsce – 40 tys. euro, III– 35 tys. euro, IV – 30 tys. euro, V – 25 tys. euro, VI miejsce – 20 tys. euro. Są też wyróżnienia i nagrody specjalne. Prestiżowe jest również wydanie płyty. Przy takim zainteresowaniu konkursem krążek rozchodzi się błyskawicznie.

Dlaczego więc prawo do wydawania nagrań zwycięzców Konkursu Chopinowskiego ma Deutsche Grammophon? Niemiecka wytwórnia od lat współpracuje z Instytutem Fryderyka Chopina, organizatorem konkursu, i jest oficjalnym wydawcą nagrań z różnych etapów festiwalu, w tym płyty zwycięzców. Można by tu snuć rozważania o polskiej marce, polskim interesie, oddawaniu pola. Ale to wymusiłoby kolejne pytania, m.in. o skandaliczną sprzedaż Polskich Nagrań.

BRAK POLSKICH SYMBOLI

Od pewnego czasu widać konsekwentne odzieranie Konkursu Chopinowskiego z polskości. Próżno szukać polskiej symboliki w oprawie. Nie ma jej także w absolutnie żadnej formie na najbardziej oglądalnej dziś scenie świata! I choć codzienne występy artystów z 20 krajów śledzą miliony widzów, nie dostrzegą ani polskiej flagi, ani popiersia Fryderyka Chopina, które swego czasu było obecne na scenie. Co więcej, polska flaga nie jest w żaden sposób wyeksponowana nawet w gmachu filharmonii. Jeśli się dobrze przyjrzeć, można się jej dopatrzyć wśród innych, ale tylko pod warunkiem, że nie zwinie jej wiatr.

Zgrzytem jest także koncert inauguracyjny, na którym nie wybrzmiał polski hymn narodowy. Gdy kilka dni temu słusznie zwrócił na to uwagę Piotr

Fot. Stach Antkowiak/REPORTER

eprasa.pl 0506e848ed

Iwicki, muzyk i były szef Agencji Muzycznej Polskiego Radia, na Facebooku rozległ się niemiły pomruk. A to przecież spostrzeżenie wspólne ogromnej liczby ludzi.

„Odbyłem dzisiaj długą rozmowę z kimś (nazwijmy go) Ważnym. I ten ktoś (nazwany na potrzeby tego pisania Ważnym) zauważył, że na tak zacnym konkursie orkiestra winna rozpoczynać wszystko hymnem. Dla podkreślenia wagi wydarzenia (jak zauważył Ważny). Czy zatem wstydzimy się jednego z dwóch najpiękniejszych hymnów świata? Pytał o to również Ważny. Przytyk drugi: na scenie nie ma żadnego elementu w barwach narodowych (to akurat moje, ale Ważny przychyla się). A przecież może to być motyw graficzny, kwiaty, może być flaga. Nawet dyskretnie, ale przy tak masowej relacji w mediach i multimediach brak tego elementu to faul. Żółta kartka (choć Ważny chciał dać czerwoną, ubłagałem). No i wreszcie koncert inauguracyjny. Owszem, polonez na starcie – chopinowski, ale potem, kompletnie program »od czapy«. I znowu (jak zauważył Ważny), wydarzenie śledzą melomani na całym świecie i z Warszawy pewnie w drodze promocji dostają kompozytorów niemieckich i francuskich" – wyliczał Piotr Iwicki.

Przypomnijmy muzyczną, brawurową obronę polskości na forum ONZ w 1945 r., której dokonał wybitny polski pianista Artur Rubinstein. Mimo że Polska była największą ofiarą niemieckiego ludobójstwa i walczyła na wszystkich frontach, nie dopuszczono nas do udziału w obradach konferencji założycielskiej ONZ. Oburzony tym Rubinstein przerwał swój koncert i odegrał hymn Polski, wzywając wszystkich do powstania: „Tutaj, w tej sali, chcecie urządzić szczęśliwą przyszłość świata. Brakuje mi chorągwi Polski, za którą walczyliście. Ja tego nie mogę tolerować. Ja wam zagram hymn polski. I proszę wstać!".

DUMNA HISTORIA FILHARMONII I BAJZEL TRZASKOWSKIEGO

Konkurs Chopinowski od blisko 100 lat odbywa się w Filharmonii Narodowej. To dla Polaków miejsce szczególne. Wybudowane w 14 miesięcy z woli narodu, w Polsce wymazanej z map świata, w kraju rozszarpanym przez zaborców, w Warszawie okupowanej przez Rosję. Uroczysta inauguracja odbyła się 5 listopada 1901 r. Orkiestrą dyrygował Emil Młynarski, a jako solista wystąpił Ignacy Jan Paderewski, który zagrał własny koncert fortepianowy z towarzyszeniem orkiestry oraz wiele utworów Fryderyka Chopina. Przyszły premier i ojciec polskiej niepodległości był także jednym z fundatorów gmachu. Nie było wtedy ani państwa polskiego, ani polskiego ministerstwa kultury. A jednak kwitła kultura, powstawały wielkie dzieła, a Polacy nie ustawali w przekazywaniu polskości.

> Po raz pierwszy w historii przewodniczącym jury jest obcokrajowiec, a Polacy nie stanowią w składzie jurorskim narodowej przewagi. W oprawie konkursowej nie ma ani śladu polskich symboli narodowych, a prawa do wydań płytowych laureatów ma niemiecka wytwórnia

Mając to wszystko w pamięci, aż wstyd patrzeć, jak dziś wyglądają okolice Filharmonii Narodowej. Trwające od lat remonty, których efektów nie widać od miesięcy, sprawiają, że melomani z całego świata muszą się przeprawiać przez wielki plac budowy. Warszawa wygląda, jakby wciąż nie zdołała się odbudować po wojnie. Zerwany asfalt, dziurawe jezdnie, porozrzucane barierki, rozkopane ulice i jeden wielki bałagan.

Dlaczego władze stolicy nie przygotowały miasta na to prestiżowe międzynarodowe wydarzenie? Do tego wielki remont oczka wodnego w Łazienkach Królewskich i zasłonięcie pomnika Chopina brezentem. Po kilku dniach protestów monument odsłonięto, ale i tak jest otoczony ogrodzeniem placu budowy. Jak dyrektor Łazienek Marianna Otmianowska mogła dopuścić się tak bezmyślnej decyzji o rozpoczęciu robót właśnie w tym czasie? Przecież to jedno z głównych miejsc, które chcą zobaczyć wielbiciele polskiego kompozytora – oprócz bazyliki św. Krzyża, gdzie złożone jest jego serce, i Żelazowej Woli, w której się urodził.

Tak ordynarne nieprzygotowanie miasta na chopinowskie święto muzyczne to nie tylko blamaż. To niedopełnienie obowiązków, które powinno się zakończyć dymisją. Warszawski ratusz jest współorganizatorem Konkursu Chopinowskiego. Na posprzątanie tego bałaganu Rafał Trzaskowski miał cztery lata. Głosy rozczarowania płyną z różnych stron. Ktoś zaprosił gości z zagranicy, ktoś ściągnął rodzinę na pianistyczną ucztę, ktoś inny chciał zobaczyć tę piękną Warszawę, jaką zna ze zdjęć. A może chodziło właśnie o to, by przerwać w świecie opinię Polski przyjaznej, zielonej, czystej, którą ludzie z różnych krajów zachwycają się od lat? Może ten cały rozgardiasz ma wywołać wrażenie, że jesteśmy nieudolni organizacyjnie i trzeba nas w tym aktywniej wesprzeć? Rafał Trzaskowski ignoruje sprawę i zdaje się nie rozumieć, że jeśli ktoś zderzy się z takim odrażającym bałaganem, nie będzie miał ochoty przyjechać ponownie. Marianna Otmianowska robi wszystko, by nie kojarzono jej z katastrofą w Łazienkach. Nikt nie bierze za nic odpowiedzialności. A odpowiedzialność jest. Skoro organizacja Konkursu Chopinowskiego kosztowała 19 mln zł, należałoby zrobić wszystko, by wykorzystać to wydarzenie do promocji Polski na wszelkich możliwych polach.

Zbierając to wszystko w całość, nasuwają się naprawdę niewesołe wnioski. Postępująca eliminacja Polaków z grona jurorskiego, całkowite usunięcie polskich symboli narodowych z oprawy konkursowej, oddawanie pola niemieckiej wytwórni fonograficznej i nieprzygotowanie miasta to tylko wierzchołek góry lodowej. Pytań jest znacznie więcej. Niezwykle polskie wydarzenie zaczyna się przeradzać w kosmopolityczną imprezę świata zewnętrznego. Czyżby ktoś próbował nam ukraść Konkurs Chopinowski?

eprasa.pl 0506e848ed

To koniec polskiej szkoły!

Niech MEN nam nie przeszkadza i nie podważa naszego autorytetu kolejnymi bezsensownymi zarządzeniami. Dajcie nam po prostu w spokoju pracować!



Fot. Andrzej Wiktor

Z Agnieszką Pawlik-Regulską, nauczycielką języka polskiego, prezes Stowarzyszenia „Nauczyciele dla Wolności", rozmawia Dorota Łosiewicz

MEN poprosiło Instytut Badań Edukacyjnych o ewaluację skutków rozporządzenia, na mocy którego prace domowe stały się nieobowiązkowe i nieoceniane. W tej sprawie powołano dwa zespoły. Jeden miał ocenić skutki rozporządzenia, a drugi wypracować nowe rekomendacje. Prace domowe wrócą?

Agnieszka Pawlik-Regulska: To jest jeden wielki cyrk! Panie minister Nowacka i Lubnauer twierdzą, że powrotu do starego systemu prac domowych nie ma, ale zespoły pracują (i na pewno nie za darmo). I znów podczas roku szkolnego MEN zmieni zasady gry? Raz mówią, że nie wolno nam zadawać, potem, że wolno, ale bez ocen, teraz znów coś ma się zmienić? To jest całkowity brak szacunku do uczniów, nauczycieli i prawa. W prawie oświatowym zapisano, że każdy nauczyciel na początku roku szkolnego musi przedstawić przedmiotowy system oceniania. I to wtedy muszę powiedzieć uczniom i rodzicom, czy będę sprawdzać prace domowe, czy nie. Pani minister nigdy nie pracowała w szkole, większość pań wiceminister też nie i one po prostu nie mają zielonego pojęcia, jak wygląda praca nauczyciela.

A jednak chcą, by IBE wypracował rekomendacje, jak wesprzeć nauczycieli w uczeniu.

Wsparcie nauczycieli to sprawa banalnie prosta: niech MEN nam nie przeszkadza i nie podważa naszego autorytetu kolejnymi bezsensownymi zarządzeniami. Dajcie nam po prostu w spokoju pracować!

W informacjach, które IBE zbierał od nauczycieli, pojawił się motyw spadku motywacji i samodzielności wśród uczniów. Coś się więc musi zmienić.

Jeśli nie wdrożymy dzieci do systematycznej pracy w domu – a taką funkcję spełniały obowiązkowe prace domowe, jeśli uczniowie nie będą zobowiązani do tego, żeby coś zrobić w domu ze świadomością, że efekt tej pracy zostanie oceniony, nie pojawi się motywacja i samodzielność. Dzieci potrzebują jasnych, przewidywalnych reguł, a wychowanie na początkowym etapie to wdrażanie do pracy, a nie niewymaganie niczego w sposób codzienny, systematyczny. MEN zachowuje się jak głupi Jasio, który popsuje, ale nie widzi, że wystarczy naprawić to, co się zepsuło, tylko szuka jakichś nowych zbawiennych rozwiązań. Oczywiście systemowi polskiej oświaty daleko do ideału, ale doskonale widać, że podejmowane przez obecną władzę działania nie prowadzą do niczego dobrego, wprowadzają tylko coraz większy chaos i niszczą polską szkołę.

Tymczasem IBE opublikował projekt podstaw programowych na lata 2026/2027 i wbrew wcześniejszym zapewnieniom z klas 4–6 zniknęły lektury obowiązkowe.

30 lipca minister Barbara Nowacka wyraźnie mówiła, że nie będzie zmian w lekturach, tak samo brzmiał opublikowany na platformie X komunikat MEN. Tymczasem zmiany są i burza, którą wywołała wówczas publikacja „Gazety Wyborczej" bazująca na wypowiedzi jednej z ekspertek IBE, była adekwatna. Bo Instytut opublikował projekty podstaw

eprasa.pl 0506e848ed

przygotowane przez swoje zespoły, te projekty będą teraz analizowane przez MEN, a następnie w formie rozporządzenia zostaną poddane konsultacjom. Jestem nauczycielką języka polskiego, więc skoncentrowałam się na tym przedmiocie. Niepokojące jest to, że w klasach 4–6 zupełnie znikają lektury obowiązkowe. Dzieci mają przeczytać cztery lektury wybierane wspólnie przez nauczyciela i uczniów. Na samą myśl o tym drżę, nie tylko jako nauczyciel, lecz także jako rodzic. Bo nie wiem, czy chciałabym, żeby decyzję o tym, co przeczyta moje dziecko, podejmował wyłącznie nauczyciel z dziećmi. Te wybory mogą być bardzo różne. Do tej pory w ten sposób można było wybrać jedną lekturę, ale poza tym istniał kanon, który młody człowiek powinien znać. To pozwalało budować kod kulturowy.

A co się zmienia, jeżeli chodzi o język polski w klasach 7–8?

Do tej pory było dziewięć obowiązkowych lektur przez dwa lata. Teraz zostają tylko trzy: „Balladyna", „Dziady" i „Kamienie na szaniec". Wyrzucono „Zemstę", „Opowieść wigilijną", „Małego Księcia", „Quo vadis" czy „Latarnika". Te zmiany są zatrważające, ale jestem pewna, że wiążą się one z nowelizacją ustawy Prawo oświatowe, którą jest projekt UD220. Tam pojawia się zapis, że podstawy programowe mają nie mieć treści edukacyjnych. Zamiast tego mają być obowiązkowe doświadczenia edukacyjne. To np. obowiązkowe wyjście do teatru, zrobienie spektaklu, słuchowiska lub nagrania, zajęcia projektowe. Do tej pory każda szkoła organizowała wyjścia z dziećmi do teatru, to było w minimum kulturalnym albo w programie profilaktyczno-wychowawczym. I każdy wychowawca wiedział, że trzeba zabrać dzieciaki do teatru. Mało tego, w klasach 4–6 były także wycieczki do Zamku Królewskiego, do Wilanowa. Szkoły różnie je organizowały, ale to nigdy nie było w podstawie programowej.

Czyli w najlepsze trwa kastrowanie szkoły z wiedzy?

Niestety tak. Przecież my, nauczyciele, sięgaliśmy po różne doświadczenia. Przy okazji omawiania „Balladyny" dzieciaki, moi uczniowie, nagrywają np. słuchowisko, robią komiksy lub storyboard, korzystamy z nowoczesnych technologii. Jednak do tej pory decydował o tym polonista, nie było to zapisane w podstawie programowej. Obecnie podstawa programowa jest aktem precyzującym obowiązkowe cele kształcenia i treści nauczania – a więc filarem edukacji publicznej. W nowelizacji UD220 podstawa programowa odchodzi od określenia treści nauczania na rzecz ogólnych „oczekiwanych efektów uczenia się" i „doświadczeń edukacyjnych". Oznacza to *de facto* pozbawienie podstawy programowej funkcji gwarancyjnej i kulturotwórczej, co może skutkować fragmentaryzacją programu nauczania i osłabieniem jego spójności. Dlatego ta nowelizacja jest tak niebezpieczna. Ona spowoduje zupełny rozkład polskiej szkoły, która ma być wyprana nie tylko z wartości, lecz także z wiedzy! Jeśli Sejm przyjmie ten dokument, to po prostu będzie koniec polskiej szkoły! W tej nowelizacji dokumentem kierunkowym jest Profil absolwenta i absolwentki, który nie jest nakierowany na wiedzę, kształtowanie cnót czy wartości, ale na kompetencje miękkie, społeczne i sprawczość. Chodzi po prostu o kształtowanie młodego człowieka, by był przydatny na rynku pracy, umiał zmieniać swoje kwalifikacje, ale nie był wyposażony w wiedzę. Ów profil ma być dokumentem kierunkowym, czyli stać ponad ustawą, a jest wyłącznie dokumentem koncepcyjnym, nie ma rangi dokumentu prawnego. To zaburzenie hierarchii aktów prawnych! Nie pierwsze zresztą w trakcie kadencji tego rządu.

> W klasach 4–6 znikają lektury obowiązkowe. Dzieci mają przeczytać cztery lektury wybierane wspólnie przez nauczyciela i uczniów. Na samą myśl o tym drżę

A jak mają się nowe podstawy programowe do wartości?

Jest wielka próżnia aksjologiczna. Istnieje dział „Kształtowanie tożsamości" i zapisano w nim, że młody człowiek ma określać siebie wobec wartości uniwersalnych. Niestety nie są one podane. Czyli uczeń sam ma określić te wartości, żeby się do nich ustosunkować. Nie na tym polega szkoła. W Prawie oświatowym zapisano, że szkoła ma wspierać ucznia w rozwoju intelektualnym, psychicznym, fizycznym, społecznym, estetycznym, moralnym i duchowym. Te funkcje zostaną zmienione. Za modelem szkoły, który tworzy nam minister Nowacka, stoi noemarksistowska wizja szkoły i społeczeństwa. Kłania nam się tu pedagogika krytyczna, czyli nurt, który kwestionuje tradycyjne założenia edukacji. To nurt oderwany od wiedzy, wymagań. W tej nowej koncepcji szkoły kładzie się nacisk na dobrostan. Szkoła ma nie być opresyjna, ma być pozbawiona ocen, za chwilę znikną oceny numeryczne, zostanie tylko ocenianie kształtujące, czyli opis postępów ucznia. Bardzo niebezpieczne jest wprowadzenie już teraz do szkół oceniania funkcjonalnego przejętego ze szkół specjalnych, gdzie analizuje się nie wiedzę czy umiejętności intelektualne uczniów, ale sposób jego funkcjonowania na różnych płaszczyznach. Nauczyciele i rodzice wypełniają specjalnie przygotowane kwestionariusze, a wyniki z obserwacji mają lądować w Centralnym Systemie Informatycznym. W ten sposób państwo chce przecież inwigilować rodziny! Ocena funkcjonalna już jest w szkołach, wkrótce takim ocenianiem będą objęci zapewne wszyscy uczniowie. Za chwilę nie będzie też pewnie oceny z zachowania, co pani minister już sygnalizowała. Dzieci same będą oceniać swoje zachowanie. Uczeń ma się dobrze czuć w szkole i tyle. Brak prac domowych doskonale wpisuje się w ten dobrostan, bo jest mniejszy stres, ale nie kształtuje się umiejętności pracy w domu, wytrwałości, systematyczności. Za to dzieci siedzą z nosami w smartfonach.

eprasa.pl 0506e848ed



DARIUSZ MATUSZAK



Wycieczka Sterczewskiego

Na Zachodzie nie brakuje hodowanych od dekad pożytecznych idiotów i – jak się okazuje – także u nas doszło do ich wykwitu

31 sierpnia z Barcelony wypłynęła flotylla kilkudziesięciu jednostek i rozpoczęła wyprawę do położonych na przeciwległym krańcu Morza Śródziemnego brzegów Strefy Gazy. Trudno o dłuższy szlak – może z Malagi. Trasa piękna, pogoda wspaniała, więc zaokrętował się także poseł KO Franciszek Sterczewski. Po drodze, nieopodal Tunezji, armada miała zostać zaatakowana dronami. Poseł przeżył i przez kilka dni dochodził do siebie na Krecie. 1 października flotylla Sumud była kilkadziesiąt mil od wybrzeża Gazy i tam zakończyła rejs, bo przejęli ją Izraelczycy. Rejsowiczów zatrzymano i odstawiono do więzienia na pustyni Negew. Wśród nich dzielnego Franka, Gretę Thunberg, kilkanaścioro posłów z różnych krajów i Brukseli. Regaty były bardzo międzynarodowe. Po kilku dniach towarzystwo odstawiono do Grecji i Turcji, a potem wróciło ono do swych krajów. Przygoda się jednak nie skończyła, bo są komitety powitalne, okrzyki i uściski, kwiaty, błyski świateł i oka kamer. Bohaterowie pławią się w sławie, a Sterczewski na lotnisku Okęcie zrównuje Izrael z Rosją, premiera Netanjahu z Putinem i nie ma wątpliwości, że te brednie będą rezonować.

HUCPA, ZABAWA, LIPA

Każde pokolenie ma swych pożytecznych idiotów, więc także rejsowicze wykonali swoje zadanie – świat zapłakał nad Gazą, terrorystami Hamasu i zachwycił się odwagą uczestników armady. Na znak poparcia w całej Europie odbywały się niezliczone demonstracje, w samej Polsce doliczono się ich 20. Może znów popłyną miliardy dla biednego ludu, a wzruszeni Holendrzy kolejny raz zafundują Gazie wodociągi. Może Hamas znów je rozmontuje, bo rury przydadzą się do budowy rakiet. I tak od 70 lat. Cel wypełniony, a w całej historii, by miała piękne zwieńczenie, brakuje jeszcze tylko trupa. O tym jednak za chwilę.

Szydzę, bo całą akcję uważam za hucpę, zabawę, lipę. Nie było flotylli z charytatywną pomocą, bo przez miesiąc nikt nie pokazał owych darów, np. żywności czy lekarstw. Zamiast tego zdjęcia romantycznych wschodów słońca, nagrania z imprez, tańce i śpiewy. Piękny rejs, wakacje na morzu. Fajne jest życie postępowego aktywisty, obrońcy pokoju i czego tam jeszcze, o czym zaświadczyć może nawet były kanclerz Niemiec Scholz, który balował na niejednej imprezie organizowanej przez Sowietów. Ich niby już nie ma, ale są lewackie organizacje finansowane przez różne państwa, więc można się załapać na darmowe wycieczki. Jan Maria Rokita w „Sieci" w tekście „Strzelanina na morzu" pisze, jak to Unia finansuje przemytników ludzi przez Morze Śródziemne, ich wycieczki i łodzie, a także Libijczyków, którzy strzelają do tych łodzi z nielegalnymi imigrantami. Rejsowicze twierdzą, że zebrali pieniądze na wyprawę od 240 tys. darczyńców. Sterczewski może wykazać, że nie bujał się przez miesiąc za darmochę na falach Morza Śródziemnego. Wystarczy, że przedstawi rachunki: ile zapłacił za dary, paliwo, zaprowiantowanie, opłaty portowe itp. Bo jego rejsu chyba nie opłacono z pieniędzy na pomoc Palestyńczykom.

WZMOŻENIE KONFEDERATÓW

Na Zachodzie nie brakuje hodowanych od dekad pożytecznych/szkodliwych

eprasa.pl 0506e848ed

idiotów i – jak się okazuje – także u nas doszło do ich wykwitu. W Polsce mamy jednak do czynienia ze zjawiskiem wyjątkowym, endemicznym. O ile na Zachodzie Palestynę wspierają głównie organizacje lewackie, o tyle u nas specjalizuje się w tym także Konfederacja (mniejsza o to, który jej odłam). W skrajnej wersji jej politycy stawiają znak równości pomiędzy Izraelem a Hamasem. Nie będziemy roztrząsać konfliktu na Bliskim Wschodzie, rozważać, kto bardziej winny. Wskażemy na inne rzeczy. Żaden inny konflikt na świecie nie budzi takich emocji jak ten pomiędzy Izraelem a Palestyną. Tragedie mogą być większe, ofiary liczniejsze – jak w Jemenie, Sudanie, Erytrei, można tysiącami mordować chrześcijan w Sahelu, mogą cierpieć miliony Kurdów, Szanów w Mjanmie, a nikt nie uroni łzy. A zwłaszcza z Konfederacji. Ktoś pamięta jakąś reakcję, jakiś projekt uchwały potępiającej zbrodnie na kształt tej, którą teraz zaproponował Sejmowi Sławomir Mentzen? Wystąpienia, takie jak posła Grzegorza Płaczka, który w Sejmie mówił o ludobójstwie w Gazie? Mentzen doznał takiego wzmożenia, że pisał o porwaniu Sterczewskiego przez Izraelczyków: „Chciałbym żyć w kraju, który odbija swoich nielegalnie porwanych parlamentarzystów, niezależnie od tego, z jakiej opcji politycznej pochodzą. A jeśli nie jest w stanie ich odbić, to chociaż odpowiada symetrycznie, żeby mieć zakładników na wymianę. […] Chciałbym też, żeby nasz szef MSZ nie drżał przed Izraelem i nie wybielał ich zbrodni wojennych". Poseł pominął innych Polaków porwanych ze Sterczewskim. Może uznał, że o zwykłych byle Polaków nie trzeba się starać.

Nie, panie Mentzen – Sterczewski nie został porwany, a zatrzymany, gdy chciał się wbić z wycieczką do objętego wojną obcego państwa. Porwani zostali 7 października 2023 r. w kibucu Nir Oz, a potem zamordowani przez Hamas Polak Gad Haggai i jego żona Judith. Porwana i zamordowana w Be'eri została Polka Ofra Keidar. Porwany został Polak, warszawiak Aleks Danzyg, którego terroryści wywieźli do Gazy, a potem zabili. Jego ciało wydobyto po miesiącach z tunelu w Chan Junus. Niech pan przypomni, panie Mentzen, jak wtedy pan albo pańscy koledzy domagaliście się akcji wymierzonej w Palestyńczyków i porwania kogoś na wymianę.

Oczywiście to nie o palestyńskie ofiary chodzi w tej „moralnej zabawie". Gdyby Palestyńczyków bombardowali jacyś Rumuni, Saudzi czy Amalekici, którzy wojowali z Mojżeszem na Synaju, to nikt z Konfederacji nie zająknąłby się o ludobójstwie. Chodzi o Izraelczyków, a właściwie – o Żydów. To jest powód tego moralnego wzdęcia. Jak to nakłuć, usłyszy się syk, że Żydzi ufundowali ISIS. Bo Konfederacja jest antysemicka, jak lewica na Zachodzie. Może sobie podać rękę z Niną Ptak, która stojąc obok Sterczewskiego, bredziła o Izraelu jako syjonistycznym tworze.

> O ile na Zachodzie Palestynę wspierają głównie organizacje lewackie, o tyle u nas specjalizuje się w tym także Konfederacja. W wersji skrajnej jej politycy stawiają znak równości pomiędzy Izraelem a Hamasem

ANTYIZRAELSKI AMOK

Panie, świeć nad duszami ofiar, ale teraz zgodnie z obietnicą napiszemy o trupie, np. Franka Sterczewskiego. Może dzięki temu, że został zatrzymany przez Izraelczyków, odziany w więzienne łachy i bezpiecznie odstawiony, nikt nie musi go opłakiwać. Może uratowano mu życie. Jakaż by to była akcja Hamasu, gdyby rozwalili rakietami kilka łodzi. Najlepiej z polskim posłem, byłą burmistrz Barcelony, włoskim senatorem Croattim, europosłankami i infantylną Gretą. Oczywiście byłby wrzask, że zbrodni dokonał Izrael. Sam Franek ma kumpli, którzy by o tym opowiadali, i nic w ogarniętej amokiem miłości do muzułmanów Europie Zachodniej nie przekonałoby, że to Hamas. Uwierzono by także w Polsce – np. ci, którzy z TVN płakali za Ahmedem, który w lutym płynął przez Bug na granicy. Ale by się działo. Co tam jakieś nieśmiałe demolowanie Barcelony, Rzymu, Amsterdamu, zamieszki w Berlinie, nieudolne ataki na siedzibę MSZ w Warszawie, jak w czasie ostatnich propalestyńskich demonstracji. Ciekawe, ile miast by zapłonęło z oburzenia na izraelską zbrodnię. Komuś się wydaje, że islamscy terroryści nie byliby zdolni do czegoś takiego? Ich zamach w Madrycie w 2004 r. doprowadził do zmiany władz Hiszpanii i wycofania jej z koalicji walczącej w Iraku.

Kiedy flotylla bujała się po lazurowych wodach, w Egipcie trwały już rozmowy o zaproponowanym przez Trumpa planie pokojowym. Jeśli ktoś chciałby doprowadzić do ich zerwania, to najlepszym sposobem byłby zamach na flotyllę Sumud. Kiedy Franek prężył się na Okęciu, nadeszły wieści o pierwszym wstępnym porozumieniu Izraela z Hamasem.

Nie dziwi reakcja Razem, lewicowych i lewackich organizacji, bo one mają taką samą postawę jak towarzysze z Zachodu. Skoro tam jest sojusz lewicy z islamem, to będzie i u nas. Tyle że u nas przyłącza się też do tego Konfederacja. Róbta tak dalej w tej Konfederacji, a tak jak na Zachodzie doczekamy się milionowych demonstracji, uniwersytetów z palestyńskimi bojówkami, zamachów i ubogacenia, które ze skrajnym islamem, z ekstremistami jak Hamas, przywędrowało do Europy.

Konfederacja jakby się pławiła w rojeniach, że jak w końcu Arabowie, którzy zasiedlają kawał świata – 10 mln km², od marokańskich wybrzeży Atlantyku po Zatokę Perską i Aden – utopią Izraelczyków w morzu, jak przewiduje palestyńska doktryna, wydrą im ten zwany Izraelem skrawek ziemi wielkości województwa warmińsko-mazurskiego, to na Bliskim Wschodzie zapanuje pokój.

eprasa.pl 0506e848ed



Historyczny triumf Netanjahu

„Państwo żydowskie znajduje się w najlepszym położeniu strategicznym od czasu swojego powstania". „Nigdy w historii Izrael nie był tak silny jak dziś" – piszą zachodnie media. Trudno się nie zgodzić z tymi opiniami



MAREK BUDZISZ

Przed rozpoczęciem rozmów między delegacjami Hamasu i Izraela w egipskim kurorcie Szarm el-Szejk Donald Trump dał obu stronom 72 godziny na osiągnięcie konsensusu. Negocjatorzy zmieścili się w tym czasie i zawarli pierwsze porozumienie w kwestii zawieszenia broni oraz wymiany zakładników i aresztowanych.

Po tych informacjach światowe media znalazły się w stanie euforii. Zaczęto pisać o „historycznej szansie", przełomie czy wręcz o zakończeniu wojny. Wydaje się, że to reakcje przesadzone, bo będziemy mieć do czynienia z długim i trudnym procesem, ale z pewnością pierwszy krok został wykonany. Zadowolenia z siebie nie krył Donald Trump. „To WIELKI dzień dla świata arabskiego i muzułmańskiego, Izraela, wszystkich otaczających go państw i Stanów Zjednoczonych Ameryki" – napisał w sieciach społecznościowych. Zadowolony, choć nie tak euforycznie nastrojony, jest też premier Izraela Binjamin Netanjahu, który stwierdził, że „to wielki dzień dla Izraela" i zapowiedział podjęcie decyzji o zwolnieniu palestyńskich więźniów. Chodzi o wypuszczenie 250 osób odbywających kary dożywotniego więzienia za terroryzm i dodatkowo zwolnienie 1,7 tys. zatrzymanych w czasie trwających walk. Do wymiany zakładników na przebywających w więzieniach Palestyńczyków miało dojść – w świetle pierwszych deklaracji – w miniony weekend.

Wszyscy też oczekują podróży Trumpa do Izraela i innych państw bliskowschodnich. Nieoficjalnie mówiło się w Waszyngtonie, iż powodem tego pośpiechu jest przyznawana w tym miesiącu Pokojowa Nagroda Nobla, na którą liczy amerykański prezydent. Niezależnie jednak od zaangażowania Waszyngtonu w rozmowy – bo Trump wysłał do Egiptu dwóch najbardziej zaufanych współpracowników, zięcia Jareda Kushnera, jednego z twórców tzw. Abraham Accord i współautora 20-punktowego planu pokojowego, oraz specjalnego wysłannika Stevena Witkoffa – osiągnięcie finalnego porozumienia nie będzie kwestią prostą.

WOLNOŚĆ DLA ZAKŁADNIKÓW I ARESZTANTÓW

Warunkiem kontynuowania negocjacji jest uwolnienie przez Hamas 20 osób

Fot. Joyce N. Boghosian/Official White House

eprasa.pl 0506e848ed

uprowadzonych w październiku 2023 r. i wydanie ciał tych, który nie żyją. Z niemal 250 osób, których ta terrorystyczna organizacja porwała przed dwoma laty, przy życiu pozostała tylko garstka, ale zdaniem obserwatorów ich uwolnienie i wydanie szczątków tych, którzy zginęli, nie będzie łatwe z co najmniej dwóch powodów. To dlatego Hamas miał zażądać 10 dni – zdaniem negocjatorów reprezentujących tę organizację tyle czasu będzie potrzebne, aby zidentyfikować miejsca, w których byli przetrzymywani nieżyjący zakładnicy.

Reprezentanci Izraela powątpiewają, czy w ogóle będzie to możliwe i uważają, że wywiązanie się z tego punktu porozumienia pochłonie zapewne znacznie więcej czasu. Jeśli spełnienie tego warunku będzie się przeciągało, to cały proces może się okazać trudniejszy, niż do tej pory sądzono, bo spełnienie kolejnych punktów „planu Trumpa", w tym wycofywanie izraelskich oddziałów ze Strefy Gazy i zastępowanie ich międzynarodowymi siłami rozjemczymi, też nie będzie łatwą operacją. W czasie tych 10 dni może mieć miejsce zarówno eskalacja działań, jak i mogą wystąpić nowe, dziś trudne do przewidzenia okoliczności.

Spełnienie wstępnych warunków umożliwiających zawieszenie broni zależy nie tylko od przywództwa politycznego Hamasu, które rezyduje w Katarze, lecz przede wszystkim od decyzji „komendantów" oddziałów w Strefie Gazy. Ci ostatni mogą nie chcieć pozbyć się ostatniego „narzędzia presji" na Izrael, jakie pozostało im w rękach, w postaci gróźb zgładzenia zakładników. Drugi powód jest prozaiczny – żyjący członkowie Hamasu, który został zdziesiątkowany „punktowymi" atakami sił zbrojnych Izraela, niekoniecznie wiedzą, gdzie znajdują się ciała tych zakładników, którzy nie przeżyli przetrzymywania w podziemnych lochach.

HAMAS MA ODDAĆ BROŃ I WŁADZĘ

O ile zawieszenie broni i porozumienie o zwolnieniu porwanych przed dwoma laty i przebywających w izraelskich więzieniach można uznać za znaczący krok naprzód i sukces negocjatorów, o tyle realizacja kolejnych punktów „planu Trumpa" nie będzie już tak prosta. Mowa w nich o rozbrojeniu Hamasu i oddaniu władzy w Strefie Gazy międzynarodowej „komisji technokratów", w skład której mieliby wchodzić zarówno przedstawiciele Palestyńczyków, jak i politycy z innych krajów arabskich, a nawet były premier Wielkiej Brytanii Tony Blair.

Dowódcy polowi Hamasu nie chcą całkowitego rozbrojenia i dążą do utrzymania wpływów w enklawie zamieszkałej przez Palestyńczyków. Z kolei rząd Netanjahu uważa oddanie władzy przez tę organizację za warunek konieczny do podjęcia jakiejkolwiek decyzji o wycofaniu własnych oddziałów na jedną z trzech linii ewakuacji. Negocjatorzy reprezentujący zarówno Izrael, jak i Hamas najprawdopodobniej nie ułatwią osiągnięcia kompromisu w kwestiach bardziej złożonych niż zwolnienie aresztowanych i zakładników.

> Izrael chce przekształcenia Strefy Gazy w enklawę wolną od wpływów Hamasu i radykalnych organizacji islamistycznych oraz przekazania zarządu nad terenami palestyńskimi międzynarodowemu komitetowi „technokratów"

Izrael reprezentuje Ron Dermer, nazywany „mózgiem Bibiego", najbliższy współpracownik i zaufany Netanjahu. Ten pochodzący z Florydy 54-latek przyjął obywatelstwo Izraela w 2005 r. i pełni w obecnym rządzie funkcję ministra ds. strategicznych. Uchodzi on nie tylko za twardego negocjatora, lecz także jest zwolennikiem wojskowego pokonania przeciwników. Bardzo rzadko wypowiada się w mediach, ale w jednym ze swych nielicznych wystąpień powiedział, iż „państwo palestyńskie powstanie over my dead body", co sytuuje go na prawym skrzydle izraelskiego spektrum poglądów w tej kwestii.

Netanjahu jest zresztą w trudnej sytuacji politycznej. Liderzy współrządzących z Likudem radykalnych partii wyznaniowych – Becalel Smotricz oraz Itamar Ben-Gwir stanowczo odrzucają, nawet w odległej perspektywie, utworzenie państwa palestyńskiego, o czym mowa w „planie Trumpa", i grożą natychmiastowym wyjściem z koalicji. Co prawda Ja'ir Lapid, jeden z liderów opozycji w Izraelu, który jeszcze w lutym proponował, aby nadzór nad Strefą Gazy przekazać na 8 do nawet 15 lat Egiptowi, zadeklarował poparcie dla mniejszościowego rządu Netanjahu, ale za cenę wyznaczenia daty przedterminowych wyborów. Obecny premier Izraela, który ma zresztą niezakończone trzy sprawy korupcyjne, wolałby uniknąć tego scenariusza, bo w sondażach opinii publicznej daje się odczuć zmęczenie izraelskiego społeczeństwa wojną.

Nastroje w Izraelu są czytelne. Z badań Instytutu Bezpieczeństwa Narodowego, których wyniki opublikował dziennik „The Times", widać, że w przypadku 63 proc. ankietowanych dwa lata wojny wpłynęły na spadek ich zaufania do rządu, a 64 proc. chce możliwe szybkiego zakończenia konfliktu (w styczniu br. było to 49 proc.). Na politykę izraelskiego rządu wpływa również to, że 51 proc. obywateli obawia się ataku podobnego jak dwa lata temu, a po dwóch latach walki zaufanie do sił zbrojnych IDF w przypadku 31 proc. ankietowanych jest mniejsze, niż było. 48 proc. twierdzi, że się ono nie zmieniło, a jedynie 18 proc., iż wzrosło. Izraelczycy czują się mniej bezpiecznie niż przed agresją Hamasu i chcieliby zakończenia wojny oraz rozpoczęcia procesu pokojowego.

Negocjator Hamasu Chalil al-Hajja, na stale rezydujący w Katarze, na

eprasa.pl 0506e848ed

którego zresztą Izrael przeprowadził niedawno nieudany atak, uchodzi za nieformalnego „ministra spraw zagranicznych" tej organizacji. Jest politykiem najbliższym „wojskowemu skrzydłu" Hamasu. W Izraelu uważa się również, że był najbliższym współpracownikiem zabitego przez Izrael przywódcy tej organizacji, a jego nieżyjący synowie dowodzili Brygadami al-Kassam, stanowiącymi jądro wojskowych zdolności Hamasu. Co więcej, Guy Aviad, ekspert izraelskiego wywiadu, powiedział mediom: „Zakładam, że Chalil al-Hajja był zaangażowany w plany ataku 7 października 2023 r.", co też z pewnością nie ułatwi negocjacji.

W środowisku izraelskich ekspertów powątpiewa się, czy realny jest punkt „planu Trumpa" mówiący o oddaniu przez Hamas broni, a z perspektywy Tel Awiwu bez spełnienia tego warunku wycofanie sił wojskowych ze Strefy Gazy nie ma sensu.

Jak informuje dziennik „The New York Times", powołując się na anonimowych mediatorów w państwach arabskich, Hamas może zgodzić się „na częściowe rozbrojenie", o ile „prezydent Trump zagwarantuje", iż Izrael nie wznowi operacji wojskowych. W prawdopodobieństwo takiego scenariusza wątpi się w Izraelu. „Hamas może być skłonny oddać część broni, ale nie zrezygnuje z niej całkowicie" – powiedział mediom Adi Rotem, emerytowany oficer izraelskiego wywiadu, który do grudnia 2024 r. służył w izraelskim zespole negocjacyjnym ds. wojny w Strefie Gazy. „Broń jest fundamentalnym elementem DNA Hamasu" – dodał. Jeśli Hamas nie złoży broni, to Izrael nie wycofa swoich sił ze Strefy Gazy i proces pokojowy ulegnie wstrzymaniu, a mogą nawet zostać wznowione walki.

NIE MĄ ZGODY NA PAŃSTWO PALESTYŃSKIE

Jonas Roth, komentator szwajcarskiej „Neue Zürcher Zeitung", napisał, że „plan pokojowy prezydenta USA daje Netanjahu szansę na ogłoszenie zwycięstwa Izraela w Strefie Gazy". A także iż „państwo żydowskie znajduje się w najlepszym położeniu strategicznym od czasu swojego powstania". Trudno się nie zgodzić z tym poglądem.

W ciągu dwóch lat siły izraelskie rozbiły wojskowo Hamas, obezwładniły i zdziesiątkowały dowództwo Hezbollahu i w brawurowy sposób zaatakowały irańskie instalacje nuklearne. Wspierający antyizraelskich terrorystów rząd Asada w Syrii upadł, chwieje się też reżim ajatollahów w Iranie. Osłabieni zostali jemeńscy Huti, a bezsilny przez lata rząd Libanu chce rozbrojenia proirańskich bojówek. Jednak cena tego sukcesu też jest niemała. Izrael znalazł się w politycznej izolacji, Francja, Wielka Brytania i Australia formalnie uznały państwo palestyńskie, a wojna kosztowała już – jak się szacuje – 89 mld dol.

Dające się odczuć zmęczenie wojną nie oznacza jednak zgody na utworzenie państwa Palestyńczyków ani wiary w jego pokojowe współistnienie z Izraelem. Bez tego trudno będzie osiągnąć trwałe rozwiązania, a nie jedynie chybotliwe zawieszenie broni. Z przeprowadzonych pod koniec lata tego roku badań opinii publicznej w Izraelu wynika, że tylko 16 proc. obywateli tego kraju o korzeniach żydowskich wierzy w pokojową koegzystencję z państwem palestyńskim. Zaskakujące są też nastroje, jeśli chodzi o doniesienia o głodzie panującym w Strefie Gazy i liczbie ofiar wśród ludności cywilnej. Te ostatnie dane, podawane przez kontrolowany przez Hamas „resort zdrowia", mówiące o ponad 50 tys. ofiar cywilnych, w tym 20 tys. dzieci, są kwestionowane przez agendy ONZ, ale nawet gdyby okazały się prawdziwe, to raczej nie wpłynęłyby na zmianę nastrojów żydowskiej opinii publicznej Izraela. Ta grupa obywateli pytana o stosunek do głodu w Strefie Gazy w 55,6 proc. stwierdziła, że „wcale ich to nie martwi", a zatroskanych sytuacją było jedynie 6,7 proc. ankietowanych.

Wojownicza postawa Netanjahu ma zatem mocne poparcie społeczne – mimo zmęczenia wojną – oraz jest zakorzeniona w powszechnym przekonaniu o niemożliwości pokojowego współistnienia z ewentualnym państwem palestyńskim. O co więc toczy się gra i do czego mają prowadzić negocjacje w Szarm el-Szejk?

W gruncie rzeczy Izrael chce pokonania wroga i przekształcenia Strefy Gazy w enklawę wolną od wpływów Hamasu oraz radykalnych organizacji islamistycznych. Dlatego zdecydował się poprzeć „plan Trumpa", bo mówi on o wysłaniu sił pokojowych, w których znalazłyby się kontyngenty z państw arabskich i niewykluczone, że również ze Stanów Zjednoczonych. Miałoby temu towarzyszyć rozbrojenie Hamasu, trwałe odsunięcie tej organizacji od władzy i przekazanie zarządu nad terenami palestyńskimi międzynarodowemu komitetowi „technokratów".

Liderzy Hamasu i do pewnego stopnia Amerykanie grają trochę na czas. Ci pierwsi nie chcąc akceptować swej porażki wojskowej, bo temu równałoby się rozbrojenie, chcą negocjować warunki zawieszenia broni, tak aby utrzymać resztki zdolności i wpływów. Administracja Trumpa jest z kolei zainteresowana zakończeniem intensywnej fazy konfliktu i rozpoczęciem negocjacji politycznych, które być może umożliwią wyrugowanie radykałów i porozumienie konserwatywnych monarchii Zatoki Perskiej z Izraelem.

Jake Simons, komentator brytyjskiego dziennika „The Telegraph", napisał, że „nigdy w historii Izrael nie był tak silny jak dziś". W istocie z wojskowego punktu widzenia można mówić, iż odniósł sukces we wszystkich wojnach i pokonał, osłabiając znacząco, wszystkich swoich rywali. To może jednak oznaczać koalicję „wszystkich przeciw jednemu" – w tym przypadku państw muzułmańskich regionu, zaniepokojonych wzrostem pozycji Izraela. Sojusz wojskowy Pakistanu i Arabii Saudyjskiej może być zapowiedzią takich zmian. Z tego punktu widzenia czas niekoniecznie musi pracować na korzyść Izraela i zakończenie wojny też leży w jego interesie. Wydaje się, że Netanjahu prowadzi obecnie najtrudniejszą batalię w swoim życiu. Triumf militarny musi przekuć w sukces polityczny i jednocześnie pokonać wewnętrzną opozycję. Nie będzie to proste, ale pierwszy krok na tej drodze został zrobiony.

eprasa.pl 0506e848ed

Wielka armada Grety Thunberg

Dla wszystkich uczestników eskapady przez Morze Śródziemne było jasne, że z pewnością nie dostaną się do zablokowanej Strefy Gazy i zostaną aresztowani. Na to właśnie liczyli



JAN ROKITA

Liczna morska eskapada do Strefy Gazy właśnie skończyła się happy endem dla jej uczestników, którzy dumni powracają do Europy, aby organizować triumfalne konferencje prasowe. Taki finał wyprawy był zresztą od samego początku zamierzony przez jej dowódców ze słynną Gretą Thunberg na czele, która jakiś czas temu doszła do praktycznego wniosku, iż wzniecanie antyżydowskich kampanii przyniesie jej więcej sławy i sukcesów, niźli ustawiczne przyklejanie się do autostrad z powodu nadmiaru dwutlenku węgla w ziemskiej atmosferze. W końcu przecież wszyscy spośród blisko 500 lewicowych skrajniowców, którzy wzięli udział w tej eskapadzie, jakby zaciekle nie piętnowali faszystowskiego państwa żydowskiego, to jednak głęboko wierzyli, iż Izrael to jedyny po tamtej stronie Morza Śródziemnego kraj liberalnej demokracji. Czyli wymarzony cel dla protestacyjnej „wielkiej armady" Grety Thunberg.

Bo przecież tylko dlatego – mimo toczącej się wojny – mogli bezpiecznie rzucić wyzwanie izraelskim przepisom bezpieczeństwa i sprowokować upragnione aresztowanie, z góry wiedząc, że i tak chwilę potem wrócą do Europy jakimś specjalnym samolotem podstawionym przez rząd Grecji czy Turcji, oczywiście w porozumieniu z rządem Izraela. A na Starym Kontynencie stali się bohaterami, prześladowanymi przez ludobójczy reżim Benjamina Netanjahu.

> Stawiam dolary przeciw orzechom, że ani Greta, ani nikt z jej towarzyszy nie zaryzykowałby eskapady przez Morze Czarne na okupowany Krym po to, by zaprotestować przeciw moskiewskim zbrodniom na Ukrainie

Stawiam dolary przeciw orzechom, że ani Greta, ani nikt z jej towarzyszy nie zaryzykowałby podobnej eskapady – powiedzmy – przez Morze Czarne na okupowany Krym, by zaprotestować przeciw moskiewskim zbrodniom na Ukrainie. Bo któż spośród lewicowych europejskich skrajniowców chciałby potem bez żadnej sławy konać powoli w jakimś putinowskim łagrze?

PIERWSZA PRÓBA

Trzeba przyznać, że Greta Thunberg nieprzypadkowo stała się dawno temu najsłynniejszą dziewczynką świata. A to, jak wiadomo, z tego powodu, że wpadła na genialny pomysł, na który przed nią nie wpadł w Europie żaden spośród milionów uczniów, szczerze nienawidzących szkoły, nauczycieli oraz szkolnego obowiązku uczenia się. Obwieściła po prostu, że raz na zawsze rzuca szkołę i nie będzie się już więcej uczyć – na znak protestu przeciw dorosłym, którzy wypuszczają do atmosfery dwutlenek węgla.

Od tamtego czasu minęło sporo lat, a panna Thunberg jest dziś dorosłą kobietą – jak się okazuje, z wrodzonym talentem do organizowania wokół siebie wielu ludzi, wielkich akcji i wielkich pieniędzy. Bo trzeba przyznać, że potrzeba sporego talentu politycznego i pieniędzy, aby wysłać przez całe Morze Śródziemne – z Barcelony aż do Izraela – międzynarodowy konwój 42 statków różnej wielkości z blisko 500 aktywistami na ich pokładach tylko po to, aby z taką flotyllą nadziać się na morską blokadę Strefy Gazy i wymusić jakąś ostrą reakcję ze strony rządu w Jerozolimie.

Wszyscy z góry wiedzieli, jaka to będzie reakcja, bo Thunberg już parę

eprasa.pl 0506e848ed

miesięcy temu – wtedy na pokładzie pojedynczego jachtu – sprawdziła to w praktyce. W czerwcu 2025 r. jej jacht Madleen zbliżający się do izraelskiego wybrzeża został przejęty przez izraelską armię, a sama Greta dobrowolnie odleciała najbliższym samolotem do Francji. Twardsi i żądni mocniejszych przygód okazali się wtedy niektórzy towarzysze podróży Thunberg, np. francuska lewicowa eurodeputowana Rima Hassan, która odmówiła opuszczenia Izraela i musiała zostać przymusowo deportowana.

Media w Izraelu pokpiwały sobie wtedy z tamtego rejsu, nazywając ów niewielki stateczek selfie yacht, a to z tego powodu, iż każdy z uczestników zrobił ładny filmik o samym sobie i o swojej wakacyjnej przygodzie, który potem mógł rozpowszechnić na YouTubie. W każdym razie dla wszystkich uczestników obecnej eskapady było jasne, że z pewnością nie dostaną się do zablokowanej Strefy Gazy.

Warto pamiętać, że morska i lądowa blokada Strefy Gazy nie jest związana z toczącą się od dwóch lat wojną. Izrael zaprowadził ją w latach 2005–2007 po przymusowej wyprowadzce ostatnich domostw żydowskich z obszaru Strefy po to, aby z jednej strony mieć kontrolę nad przemytem broni organizowanym przez Hamas i jego popleczników, z drugiej zaś – by zachować możliwość wywierania presji ekonomicznej na Gazę, jeśliby Hamas próbował wywołać kolejną palestyńską intifadę i wznowić zamachy terrorystyczne na Żydów.

Co ciekawe, w tym czasie Strefa Gazy została także objęta blokadą ze strony Egiptu, która rozluźniła się tylko na krótko w latach 2012–2013, po zwycięstwie Arabskiej Wiosny w Kairze, i powróciła po zamachu stanu przeprowadzonym przez gen. Sisiego.

Dzięki takiej podwójnej blokadzie rząd Izraela zyskał kontrolę nad gospodarką Strefy Gazy, bo to od Jerozolimy zależało, czy możliwy będzie dopływ pieniędzy do Strefy, jakie cła będą obowiązywać i jak będzie wyglądać graniczny ruch pracowników. Jak dziś już wiemy, cała ta kontrola nie zapobiegła sprawnym przygotowaniom Palestyńczyków do napadu na Izrael, który przeprowadzono dwa lata temu, 7 października 2023 r. A od tamtego czasu izraelsko-egipska blokada stworzyła ów tragiczny wojenny kocioł, w którym znalazły się 2 mln mieszkańców Strefy Gazy, niemających w zasadzie żadnej możliwości ucieczki przed wojną.

Nierozwiązywalny w praktyce konflikt żydowsko-palestyński jest tu oczywiście istotą problemu, ale pewne znaczenie mają także rozstrzygnięcia prawa międzynarodowego. Niestety gdy idzie o blokadę Strefy Gazy, wyroki prawa zostały całkowicie podporządkowane polityce. I kiedy jeszcze w 2010 r. specjalny komitet ONZ pod wodzą byłego nowozelandzkiego premiera sir Geoffreya Palmera (zresztą, co nie bez znaczenia, przywódcy tamtejszej lewicy) uznał, że blokada jest legalna, bo zapewnia bezpieczeństwo Izraela, zdominowana przez przyjaciół Palestyńczyków komisja Rady Praw Człowieka ONZ natychmiast orzekła coś dokładnie odwrotnego. Ów stan sporu prawno-międzynarodowego dał rządowi Izraela podstawy, aby nie tylko bronić samej zasady blokady, lecz także wrogo reagować na jej powtarzające się, prowokacyjne próby przełamania.

W ARESZCIE

Nic więc dziwnego, że kiedy we wrześniu 2025 r. „wielka armada" Grety Thunberg wypłynęła z Barcelony, nie tylko z Jerozolimy, lecz także z wielu stolic europejskich płynęły do uczestników nawoływania, by zawrócili i nie prowokowali morskich incydentów z izraelską armią, nie wróżących mieszkańcom Strefy niczego dobrego.

Z polskiej perspektywy to o tyle istotne, że w licznej flotylli po raz pierwszy jakimś zaskakującym obrotem rzeczy znalazło się aż dziewięć stateczków płynących pod polską, biało-czerwoną banderą, a na pokładzie jednego z nich było kilkoro polskich obywateli, wśród nich poznański poseł PO i znany polityczny happener Franciszek Sterczewski. Bardzo stanowcze były ostrzeżenia kierowane ze strony polskiego MSZ, a minister Sikorski perswazyjnie postraszył, iż jeśli polscy uczestnicy znajdą się w więzieniu, to „nie mamy zakładników na wymianę". Ale członkowie eskapady mogli nie brać serio przestróg Sikorskiego, wiedzieli bowiem doskonale, że Izrael to nie Rosja, Iran czy Jemen, więc niebezpieczeństwo rzeczywistego zostania „zakładnikami" im nie grozi.

No i stało się to, co musiało się stać i czego chciała tym razem również Greta. W nocy 1 października większość statków została przejęta na morzu przez izraelską armię, a po wysadzeniu pasażerów w porcie Aszdod ci spośród nich, którzy odmówili dobrowolnego opuszczenia Izraela, zostali osadzeni w areszcie deportacyjnym w więzieniu Ketziot przeznaczonym dla aresztowanych Arabów. Tym razem wśród odmawiających powrotu była także Greta, więc i na nią – podobnie jak na innych aresztantów – posypały się upokorzenia i szykany.



eprasa.pl 0506e848ed

Podobno żołnierze przymuszali ją do niesienia izraelskiej flagi, po czym ją fotografowali, a w więziennej celi pluskwy i niedostatek wody wywołały wysypkę na skórze. Wojskowi kpili sobie z aresztantów, popychali ich, odebrali im palestyńskie symbole, a ktoś sfotografował nawet izraelskiego ministra bezpieczeństwa Ben-Gwira, który pojawił się w Aszdodzie, aby wyszydzać aresztantów.

Izrael twierdzi, że wobec nikogo nie użyto siły, a jedynym aktem przemocy było... ugryzienie przez któregoś z uczestników eskapady żydowskiego lekarza więziennego. Takie anegdotyczne ujęcie sprawy przez władze izraelskie nie wygląda jednak wiarygodnie.

W ciągu ostatnich dni mnożyły się relacje deportowanych lewicowców o popychaniu ich przez żołnierzy, szczuciu psami, a nawet biciu po głowie w trakcie marszu przez port. Ponoć żołdacy kazali którejś z kobiet rozebrać się w więzieniu do naga. I powtarzają się zwłaszcza opowieści o nieustannych szyderstwach ze strony żołnierzy. Wspomniana już europosłanka Rima Hassan opowiada, iż wojskowi uderzyli ją w trakcie siłowego wsadzania do wojskowej furgonetki.

AHOJ, TU FRANEK!

Prawdę mówiąc, te opowieści nie tylko wyglądają wiarygodnie, lecz także nie ma w nich nic dziwnego. Izraelscy żołnierze widzą w uczestnikach wyprawy Grety Thunberg politycznych popleczników terrorystycznego Hamasu, z którym toczą teraz krwawą wojnę. I jest tak nie bez racji, skoro np. owa francuska europosłanka powtarza, iż „Hamas walczy w słusznej sprawie" – ze świadomością, że owa „słuszna sprawa" to nieskrywany przez Hamas zamiar siłowej likwidacji państwa żydowskiego.



Fot. Shutterstock

W samym rządzie izraelskim doszło do rozbieżności zdań co do sposobu potraktowania zatrzymanych uczestników armady. Wspomniany minister Ben-Gwir publicznie skrytykował liberalne podejście premiera Netanjahu, który „pozwala zwolennikom Hamasu na swobodny powrót do ich krajów, co tylko sprawia, że ciągle tu powracają". Polityk opowiadał się za tym, aby przez kilka miesięcy przetrzymać ich w więzieniu deportacyjnym, „tak aby mogli poznać prawdziwe oblicze terrorystów". Ten spór premiera z jego prawicowym ministrem bezpieczeństwa unaocznia, że któregoś dnia lewicowi skrajniowcy, którzy prowadzą z państwem żydowskim swoistą grę, z jednej strony prowokując Izrael do ostrzejszej reakcji, ale z drugiej z góry zakładając jej nierealność, mogą się w końcu przeliczyć.

Tymczasem szczęśliwy poseł Sterczewski, któremu, jak się zdaje, włos nie spadł nawet z głowy, z niefrasobliwością relacjonuje teraz zwolennikom swoją eskapadę: „Ahoj, tu Franek! Melduję, że po sześciu tygodniach podróży, dwóch atakach dronów, przechwyceniu przez siły okupacyjne Izraela i pięciu dniach w areszcie, żyjemy. Mimo że lekko zmęczeni, to jesteśmy cali, zdrowi i nieustannie zdeterminowani do dalszej walki o wolną Palestynę".

Ach! Cóż za urocza wakacyjna przygoda! Nie dziw zatem, że zaledwie jeden dzień minął od tego tweeta polskiego posła, gdy armia izraelska musiała przejąć na Morzu Śródziemnym następną flotyllę obwieszczającą, iż planuje złamać blokadę. Tym razem było to 10 statków pod banderami Francji i Anglii. Zapewne i ci zostaną grzecznie odesłani do Europy, a po powrocie będą się chełpić swoją odwagą i cierpieniami, których doznali w „faszystowskich" aresztach deportacyjnych w Izraelu. Poza Ukrainą czy Białorusią odwaga w dzisiejszej Europie – Bogu dziękować – ciągle może być jeszcze bardzo tania.

eprasa.pl 0506e848ed



Powrót Andreja Babiša

fot. EastNews



GRZEGORZ GÓRNY

Viktor Orbán i Robert Fico zyskali nowego sojusznika w Europie Środkowej. Kogo zyskała Warszawa?

Niedawne wybory do parlamentu w Czechach przyniosły poważne zmiany na tamtejszej scenie politycznej. Porażki doznała pstrokata koalicja rządowa, składająca się z kilku podmiotów, których jedynym spoiwem była chęć odsunięcia od władzy partii ANO Andreja Babiša (premiera tego kraju w latach 2017–2021). Wspomniany sojusz pięciu ugrupowań zdobył łącznie 92 mandaty w 200-osobowej Izbie Poselskiej, tracąc w ten sposób większość parlamentarną.

Były szef rządu, którego bezskutecznie próbowano zmarginalizować, po czterech latach spędzonych w opozycji triumfalnie powrócił do władzy. Za kandydatami Babiša opowiedziało się 34,5 proc. głosujących, co przełożyło się na 80 miejsc w parlamencie. Wspólnie z 15 mandatami partii Wolność i Demokracja Bezpośrednia (SPD) oraz 13 mandatami formacji Kierowcy dla Siebie daje to 108 głosów umożliwiających rządzenie.

ANO – PROJEKT, NIE PARTIA

Zwycięską partię ANO trudno przyporządkować do klasycznego podziału prawica–lewica. Jeszcze niedawno należała ona wraz z ruchem „En Marche!" Emmanuela Macrona do liberalnej międzynarodówki ALDE (Alians Liberałów i Demokratów dla Europy), by przejść stamtąd bezpośrednio do Patriotów dla Europy, gdzie zasiada wspólnie z Fideszem Viktora Orbána i Zjednoczeniem Narodowym Marine Le Pen.

Kilka lat temu program ANO nazywano socjaldemokratycznym lub centrowym, dziś komentatorzy piszą, że ugrupowanie reprezentuje liberalny nacjonalizm, technokratyczny populizm lub nawet konserwatyzm.

Trudność w zdefiniowaniu formacji wynika z tego, że ANO nie jest tradycyjną partią polityczną, lecz raczej czymś w rodzaju projektu biznesowego na podobieństwo ukraińskich ugrupowań założonych i kierowanych przez oligarchów. Ich głównym spoiwem nie jest program ideowy, lecz osoba twórcy i przywódcy – multimilionera łączącego działalność polityczną i gospodarczą. Najczęściej jest on pragmatykiem, dbającym o własne interesy i potrafiącym rozszerzać swe wpływy dzięki licznym kontaktom, koneksjom i zależnościom.

Babiš ma znakomity słuch społeczny, dzięki temu potrafił się wpisać w dominujący spór kulturowy naszej epoki. Politolodzy w Czechach opisują niekiedy ów konflikt jako bunt gospody przeciw salonowi. Wyraźnie widać to na mapie kraju, na której zaznaczono wyniki ostatnich wyborów. Dotychczasowa koalicja rządowa odniosła sukces jedynie w Pradze i Brnie, natomiast ANO zwyciężyło we wszystkich pozostałych regionach. Przeciw Babišowi byli więc „młodzi, wykształceni, z wielkich miast", natomiast zdecydowanie opowiedziała się za nim prowincja.

Analogicznie wygląda zresztą geografia wyborcza we wszystkich krajach Grupy Wyszehradzkiej. Odzwierciedla ona stan wojny kulturowej, która toczy się wewnątrz cywilizacji zachodniej między siłami lewicowo-liberalnymi z ich utopijnymi projektami inżynierii społecznej a środowiskami broniącymi zdrowego rozsądku i sprzeciwiającymi się szaleństwom polityki genderowej, imigracyjnej czy politycznej. W owym sporze postkomunista Babiš opowiada się po tej samej stronie co Trump, Orbán czy Fico.

ODS – PRAWY DO LEWEGO

Głównym przegranym ostatniej elekcji jest zmuszona oddać władzę koalicja rządowa, której największym graczem była Obywatelska Partia Demokratyczna (ODS). To zasłużone ugrupowanie konserwatywno-liberalne, z którego wywodzili się premierzy Czech, tacy jak Václav Klaus, Mirek Topolánek czy Petr Nečas, od 2009 r. należy do grupy Europejskich Konserwatystów i Reformatorów, a więc tej samej rodziny politycznej, co Prawo i Sprawiedliwość oraz Bracia Włosi. Mogłoby się wydawać, że we wspomnianej wojnie kulturowej ODS zajmie podobne stanowisko jak ugrupowania Jarosława Kaczyńskiego i Giorgii Meloni. Wielu komentatorów spodziewało się, że czeska partia pod wodzą Petra Fiali (w czasach komunistycznych aktywnego działacza Kościoła katakumbowego) ukaże

eprasa.pl 0506e848ed

swe bardziej prawicowe i chrześcijańskie oblicze. Stało się jednak inaczej.

To właśnie ODS, będąc u władzy, przedłożyła do ratyfikacji w parlamencie tzw. konwencję stambulską, która wprowadza do krajowego ustawodawstwa agendę genderową. Dokument udało się odrzucić głównie dzięki zdecydowanej postawie ANO, która należała wówczas do liberalnej międzynarodówki ALDE.

Ugrupowanie Fiali nie stanęło też po stronie definicji małżeństwa jako związku jednej kobiety i jednego mężczyzny. Co więcej, wymusiło zmianę kodeksu cywilnego w sposób, który otworzył furtkę nie tylko dla „małżeństw dla wszystkich", lecz także dla macierzyństwa zastępczego. Poza tym partia opowiedziała się za projektami, które upraszczają procedurę rozwodową, zwiększają i zaostrzają kontrolę państwa nad rodziną, ułatwiają wkraczanie ideologii do systemu oświaty czy promują parytety dla kobiet w zarządzaniu prywatnymi przedsiębiorstwami. Bez posłów ODS nie przyjęto by też ustawy dającej związkom partnerskim przywileje zbliżone do małżeństw. Najgłośniejszym echem na arenie międzynarodowej odbiło się jednak głosowanie nad paktem imigracyjnym Unii Europejskiej. Z solidarnego stanowiska Grupy Wyszehradzkiej jako jedyna wyłamała się wówczas Praga, która wsparła program forsowany przez Berlin i Brukselę.

Za rządów Fiali ODS przeszła więc charakterystyczny dla wielu ugrupowań chrześcijańsko-demokratycznych proces ideowej metamorfozy, wnikliwie przeanalizowany przez słowackiego badacza Vladimíra Palki w jego arcyciekawej książce „Lwy nadchodzą". Autor opisywał, jak poszczególne partie chadeckie w Europie tworzyły koalicje rządowe z liberałami i socjalistami. Chcąc utrzymać jedność tak zróżnicowanych aliansów, szły na daleko idące kompromisy. Tak się jednak dziwnie składało, że owe ustępstwa zawsze dokonywały się kosztem chrześcijańskich norm i zasad, które poświęcano na ołtarzu ponadpartyjnej zgody.

> Babiš ma znakomity słuch społeczny, dzięki temu potrafił się wpisać w dominujący spór kulturowy naszej epoki. Politolodzy w Czechach opisują niekiedy ów konflikt jako bunt gospody przeciw salonowi. Przeciw Babišowi byli więc „młodzi, wykształceni, z wielkich miast", natomiast zdecydowanie opowiedziała się za nim prowincja

Podobnie stało się w Czechach. Właściwie nie było ani jednego sporu światopoglądowego, kulturowego czy obyczajowego, w którym ODS stanęłaby zdecydowanie po stronie konserwatywnych wartości, choć stanowiła największą partię obozu rządowego i miała najlepszą pozycję przetargową w negocjacjach. Takich skrupułów nie mieli jej lewicowi i liberalni koalicjanci, którzy nawet w mniejszości potrafili przeforsowywać swoje radykalne postulaty.

Czeski przedsiębiorca Vladimír Mlynář (niegdyś publicysta i polityk), komentując postawę Fiali, powiedział: „Z rozmów z niektórymi przedstawicielami ODS wiem, że doszli oni do wniosku, iż ODS ze swoim prawicowym programem w stylu Klausa nie jest w stanie już przyciągnąć więcej niż 10–15 proc. społeczeństwa. Dlatego stworzyli projekt koalicji Razem i przesunęli się do środka, gdyż chcieli rządzić. Nawiasem mówiąc, jest to uzasadnione, jednak ceną za to było doprowadzenie do znacznego rozmycia ideologicznej bazy oraz fundamentów ODS. Było to konsekwencją chęci rządzenia. Kiedy jednak przestajesz wierzyć w swój program, jest to śliska ścieżka, droga w dół".

Partia Fiali przejęła także retorykę obozu lewicowo-liberalnego. Jak mówił Mlynář: „Doprowadziliśmy to do absurdu w kampanii wyborczej, kiedy koalicja rządowa nazywała wszystkich swoich przeciwników agentami Putina, oszołomami i burzycielami Europy. Kiedy powiedziałem premierowi Fiali w debacie, że 50 proc. społeczeństwa nie może być ekstremistami i że to oczywista bzdura, upierał się, że i tak ma rację". Nic zatem dziwnego, że przesuwając się w stronę amorficznego centrum, ugrupowanie Fiali straciło wiarygodność w oczach wielu konserwatystów, którzy woleli zagłosować na ANO niż na ODS.

V4 – WIELKA NIEWIADOMA

W 2021 r. porażka ANO i zwycięstwo ODS zostały powitane w Warszawie z zadowoleniem. Polacy spodziewali się, że Petr Fiala jako nowy premier zakończy spór o elektrownię Turów, rozdmuchany do międzynarodowych rozmiarów przez ekipę Babiša. Pamiętali też doskonale, że protegowaną tego ostatniego w Brukseli była komisarz UE ds. sprawiedliwości Věra Jourová, słynąca z niesprawiedliwego traktowania polskiego rządu. Te oczekiwania częściowo się sprawdziły. Fiala porozumiał się z Mateuszem Morawieckim i przygraniczny spór został zażegnany. Nie doszło jednak do znaczącego zbliżenia obu stolic ani w UE, ani w V4.

Działalność Grupy Wyszehradzkiej w ciągu ostatnich kilku lat została *de facto* zamrożona, głównie z powodu postawy Budapesztu wobec wojny na Ukrainie. W 2022 r. rządy Polski, Czech i Słowacji zdecydowanie dystansowały się od polityki Węgier. Od tamtego czasu wiele się jednak zmieniło. W Bratysławie do władzy doszedł Robert Fico, a w Pradze Andrej Babiš. Obaj mają w sprawach rosyjsko-ukraińskich poglądy zbliżone do Viktora Orbána. W tej sytuacji to Warszawa pozostaje osamotniona w ramach V4 – i to niezależnie od tego, czy rządzić będzie PO, czy PiS. Najbliższa przyszłość Wyszehradu jawi się jako wielka niewiadoma.

eprasa.pl 0506e848ed

Kościół powinien stać po stronie ubogich

Pierwsza adhortacja apostolska Leona XIV „Dilexi te. O miłości do ubogich" jest kontynuacją nauczania papieża Franciszka



PIOTR SŁABEK

W zasadniczej części adhortacja została napisana przez Franciszka w czasie jego pobytu w szpitalu. W jej ogłoszeniu przeszkodziła śmierć papieża. Pisze o tym na początku dokumentu sam Leon XIV.

„Papież Franciszek w ostatnich miesiącach swojego życia przygotowywał adhortację apostolską poświęconą trosce Kościoła na rzecz ubogich i wraz z ubogimi zatytułowaną »Dilexi te« [...]. Otrzymawszy w spadku ten projekt, cieszę się, że mogę go uczynić swoim – dodając kilka refleksji – i zaproponować go jeszcze na początku mojego pontyfikatu, podzielając pragnienie umiłowanego poprzednika, aby wszyscy chrześcijanie mogli dostrzec silny związek między miłością Chrystusa a jego wezwaniem, abyśmy stawali się bliźnimi ubogich. Także ja uważam za konieczne, by kłaść nacisk na tę drogę uświęcenia" („Dilexi te", 3).

Obaj papieże mają ze sobą wiele wspólnego, zarówno w kwestii poglądów, jak i życiorysu. Leon XIV posiada podwójne obywatelstwo, amerykańskie i peruwiańskie, wiele lat mieszkał i pracował w Peru, był też wiceprzewodniczącym konferencji episkopatu tego kraju.

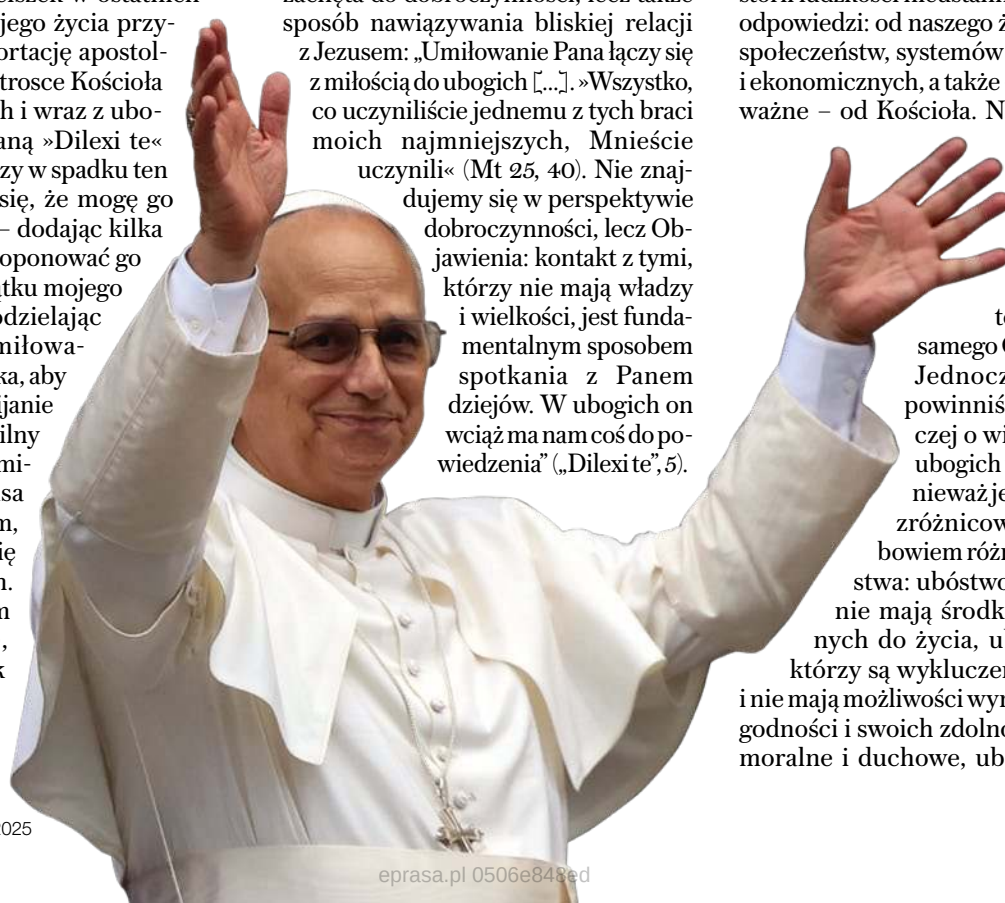
Adhortacja apostolska ma uniwersalny, powszechny charakter i jest skierowana do całego Kościoła. Dokument ten nie ujmuje tematu jedynie z europejskiej, wąskiej perspektywy – uwzględnia ogólnoświatową optykę.

Miłość do ubogich, mająca kluczowe znaczenie dla chrześcijan, to nie tylko zachęta do dobroczynności, lecz także sposób nawiązywania bliskiej relacji z Jezusem: „Umiłowanie Pana łączy się z miłością do ubogich [...]. »Wszystko, co uczyniliście jednemu z tych braci moich najmniejszych, Mnieście uczynili« (Mt 25, 40). Nie znajdujemy się w perspektywie dobroczynności, lecz Objawienia: kontakt z tymi, którzy nie mają władzy i wielkości, jest fundamentalnym sposobem spotkania z Panem dziejów. W ubogich on wciąż ma nam coś do powiedzenia" („Dilexi te", 5).

* * *

Już na samym początku dokumentu Leon XIV przedstawia wagę tego zagadnienia: „Bóg okazuje troskę o potrzeby ubogich [...]. Dlatego wsłuchując się w wołanie ubogiego, jesteśmy wezwani do utożsamienia się z sercem Boga, który troszczy się o potrzeby swoich dzieci, a zwłaszcza najbardziej potrzebujących. Jeśli natomiast pozostalibyśmy obojętni na to wołanie, ubogi wołałby do Pana przeciwko nam, a my obciążylibyśmy się grzechem (por. Pwt 15, 9) i oddalilibyśmy się od samego serca Boga [...].

Los ubogich stanowi krzyk, który w historii ludzkości nieustannie domaga się odpowiedzi: od naszego życia, naszych społeczeństw, systemów politycznych i ekonomicznych, a także – co nie mniej ważne – od Kościoła. Na zranionych twarzach ubogich odnajdujemy cierpienie niewinnych, a zatem cierpienie samego Chrystusa. Jednocześnie może powinniśmy mówić raczej o wielu twarzach ubogich i ubóstwa, ponieważ jest to zjawisko zróżnicowane; istnieją bowiem różne formy ubóstwa: ubóstwo tych, którzy nie mają środków materialnych do życia, ubóstwo tych, którzy są wykluczeni społecznie i nie mają możliwości wyrażenia swojej godności i swoich zdolności, ubóstwo moralne i duchowe, ubóstwo kultu-



Fot. Marco Iacobucci Epp Shutterstock.com

eprasa.pl 0506e848ed

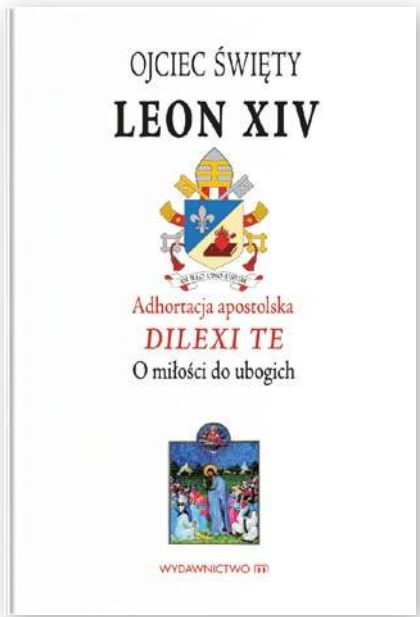
rowe, ubóstwo tych, którzy znajdują się w sytuacji osobistej lub społecznej słabości lub kruchości, ubóstwo tych, którzy nie mają praw, nie mają przestrzeni, nie mają wolności.

Zaangażowanie na rzecz ubogich oraz eliminacji społecznych i strukturalnych przyczyn ubóstwa, choć stało się ono ważne w ostatnich dziesięcioleciach, pozostaje niewystarczające; również dlatego, że społeczeństwa, w których żyjemy, często faworyzują kryteria kierowania życiem i polityką naznaczone licznymi nierównościami, a zatem do starych form ubóstwa, których jesteśmy świadomi i które staramy się zwalczać, dołączają nowe, czasem bardziej subtelne i niebezpieczne [...].

Konkretnemu zaangażowaniu na rzecz ubogich powinna towarzyszyć zmiana mentalności, która może wpłynąć na poziom kulturowy. Iluzja szczęścia, które wynika z dostatniego życia, popycha bowiem wiele osób do postrzegania egzystencji w kategoriach gromadzenia bogactwa i osiągania sukcesu społecznego za wszelką cenę, nawet kosztem innych i wykorzystując niesprawiedliwe ideały społeczne oraz systemy polityczno-ekonomiczne faworyzujące najsilniejszych. W ten sposób w świecie, w którym coraz więcej osób jest biednych, paradoksalnie obserwujemy również rozwój elit bogatych, żyjących w bańce bardzo komfortowych i luksusowych warunków, niemal w innym świecie niż zwykli ludzie.

Oznacza to, że nadal istnieje – czasami dobrze zamaskowana – kultura, która pozbywa się innych, nawet nie zdając sobie z tego sprawy, i z obojętnością toleruje fakt, że miliony ludzi umierają z głodu lub żyją w warunkach niegodnych istoty ludzkiej. Kilka lat temu fotografia martwego dziecka leżącego na plaży nad Morzem Śródziemnym wywołała ogromne poruszenie; niestety poza chwilowym wzruszeniem podobne wydarzenia stają się coraz mniej istotne jako wiadomości marginalne [...].

Faktem jest, że spotykamy dzisiaj wiele form obojętności; »są to jednak oznaki pewnego ogólnego stylu życia, który przejawia się na różne sposoby, być może bardziej wyrafinowane. Ponadto ponieważ wszyscy jesteśmy bardzo skoncentrowani na własnych



potrzebach, dostrzeżenie kogoś cierpiącego denerwuje nas, przeszkadza nam, ponieważ nie chcemy marnować naszego czasu z powodu czyichś problemów. Są to objawy chorego społeczeństwa, ponieważ usiłuje ono budować się na ludzkim cierpieniu. Lepiej nie popaść w to nieszczęście. Spójrzmy na wzór miłosiernego Samarytanina« (Franciszek, Enc. „Fratelli tutti"). Ostatnie słowa przypowieści ewangelicznej – »Idź i ty czyń podobnie!« (Łk 10, 37) – są nakazem, którego brzmienie chrześcijanin powinien codziennie słyszeć w swoim sercu" („Dilexi te", 8, 9, 11).

* * *

Papież polemizuje z krzywdzącymi poglądami na temat przyczyn i źródeł ubóstwa. Podobnie jak św. Jan Chryzostom, którego cytuje – „nie dzielić się własnymi dobrami z ubogimi znaczy okradać ich i pozbawiać życia" – Leon XIV uważa sprawiedliwość w podziale dóbr za podstawową kwestię w życiu społecznym: „Ubodzy nie istnieją przez przypadek lub z powodu ślepego i gorzkiego losu. A już na pewno dla większości z nich ubóstwo nie jest wyborem. Wciąż są jednak tacy, którzy ośmielają się tak twierdzić, wykazując się ślepotą i okrucieństwem. Oczywiście wśród ubogich są też tacy, którzy nie chcą pracować, może dlatego, że ich przodkowie, którzy pracowali przez całe życie, zmarli w biedzie. Ale jest wielu – mężczyzn i kobiet – którzy mimo to pracują od rana do wieczora, być może zbierając makulaturę lub wykonując inne czynności tego rodzaju, choć wiedzą, że ten ich wysiłek służy jedynie przetrwaniu, a nigdy tak naprawdę poprawie ich życia. Nie możemy twierdzić, że większość biednych jest nimi dlatego, że nie zdobyła sobie »zasług«, zgodnie z tą fałszywą wizją merytokracji, według której wydaje się, że zasługi mają jedynie ci, którzy osiągnęli sukces w życiu" („Dilexi te", 14).

Papież przestrzega chrześcijan przed niebezpiecznymi i fałszywymi ideologiami: „Niejednokrotnie także chrześcijanie pozwalają się zarazić światowymi ideologiami lub orientacjami politycznymi i ekonomicznymi, które prowadzą do niesprawiedliwych uogólnień i mylnych wniosków [...]. Nie można zapomnieć o ubogich, jeśli nie chcemy wypaść z żywego nurtu Kościoła, który wypływa z Ewangelii i ożywia każdą epokę historyczną" („Dilexi te", 15).

* * *

Leon XIV zachęca do zdecydowanej walki z przyczynami ubóstwa: „Kościół, aby być w pełni wiernym swojemu powołaniu, musi nie tylko dzielić położenie ubogich, lecz także stanąć po ich stronie i aktywnie angażować się w ich integralny rozwój [...]. Struktury niesprawiedliwości to »grzech społeczny« [...].

Jest zatem konieczne, aby nadal potępiać »dyktaturę gospodarki, która zabija«, i uznać, że »podczas gdy zyski niewielu ludzi rosną w sposób przekraczający oczekiwania, stanowiący większość oddalają się coraz bardziej od dobrobytu tej szczęśliwej mniejszości. Tego rodzaju brak równowagi rodzi się z ideologii broniących absolutnej autonomii rynków i spekulacji finansowych« [...] (Franciszek, adhort. apost. »Evangelii gaudium«). Chociaż nie brakuje różnych teorii próbujących usprawiedliwić obecny stan rzeczy lub wyjaśnić, że racjonalność ekonomiczna wymaga od nas oczekiwania, aż niewidzialne siły rynku wszystko rozwiążą, godność każdej osoby ludzkiej musi być szanowana teraz, a nie jutro, a sytuacja nędzy wielu ludzi, którym odmawia się tej godności, musi być stałym wezwaniem dla naszego sumienia" („Dilexi te", 90, 92).

Fot. Materiały prasowe

eprasa.pl 0506e848ed

Urojenia pani kanclerz

Wypowiedzi Angeli Merkel o Polsce i krajach bałtyckich, które miały rzekomo uniemożliwić dialog z Putinem, ukazują całkowity brak autorefleksji u polityk, którą uważano niegdyś za „wielką przywódczynię" Europy



ALEKSANDRA RYBIŃSKA

„Po prostu nie mogę już tego znieść: tego samozadowolenia, z jakim każde pytanie jest zbywane, tej niedbałości w doborze słów, która zdradza fundamentalny brak zainteresowania rozmówcą oraz konsekwencjami własnej polityki" – pisał w 2021 r. publicysta Jan Fleischauer na łamach tygodnika „Focus". Chodziło mu o „Mutti", matkę narodu, Angelę Merkel, która właśnie odchodziła z polityki. Od tego czasu niewiele się zmieniło. Była kanclerz wędruje po mediach i spotyka się z fanami, którzy płacą po kilkadziesiąt euro, by posłuchać jej wywodów na różne tematy, ale najczęściej o niej samej. Napisała nawet wspomnienia pod tytułem „Wolność" („Freiheit"), w których próżno szukać choćby krzty samokrytyki. Jej polityczny pomnik stoi i Merkel nie zamierza przyłożyć ręki do jego obalenia.

Pomagają jej w tym usłużni dziennikarze, którzy – podobnie jak za czasów, gdy rządziła – unikają zadawania jej trudnych pytań. Gdy podczas swojego pierwszego publicznego wystąpienia po odejściu na emeryturę w czerwcu 2022 r. w Berlinie była pytana o rosyjską agresję na Ukrainę, stanowczo ją potępiła. Jednocześnie uznała, że „nie musi za nic przepraszać". Ani za zablokowanie drogi Ukrainy i Gruzji do NATO, ani za proponowanie Rosji „partnerstwa modernizacyjnego" po tym, jak zaatakowała ona Gruzję, ani za odmowę dostaw broni na Ukrainę, a już na pewno nie za obie nitki gazociągu Nord Stream 2 – pierwszą, której budowę dokończyła, i drugą, której budowę rozpoczęła po aneksji Krymu przez Rosję w 2014 r. „Robiłam, co mogłam" – rzekła. Dla dobra Niemiec, ma się rozumieć. Na sali gromkie oklaski. Nikt nie odważył się podważyć jej słów.



Fot. Drop of Light/Shutterstock.com

eprasa.pl 0506e848ed

CO BY BYŁO, GDYBY

Teraz była kanclerz postanowiła jednak poszukać winnych rosyjskiej agresji. Oczywiście daleko od siebie. Na początku października w wywiadzie dla węgierskiego portalu Partizan po raz kolejny broniła swej politycznej spuścizny, wskazując palcem na Polskę i kraje bałtyckie.

Jak zaznaczyła, z powodu sprzeciwu tych krajów w 2021 r. nie doszło do bezpośrednich rozmów Unii Europejskiej z Putinem. Polityka appeasementu wobec Rosji miała rodzić dalszy appeasement, tymczasem kraje wschodniej flanki odmówiły ugłaskiwania Putina. Według Merkel był to błąd, bo porozumienie mińskie – choć nie było „idealnym rozwiązaniem", a Rosja nigdy dokładnie go nie przestrzegała – to jednak przyniosło „uspokojenie", dzięki czemu między 2015 a 2021 r. Ukraina „mogła zebrać siły, stała się innym krajem i mogła się lepiej bronić". „Wynegocjowanie umowy z Mińska było słuszne" – podkreśliła była kanclerz.

Jej zdaniem po wybuchu pandemii koronawirusa nie istniała żadna możliwość bezpośredniej wymiany poglądów z Putinem, co było „bardzo niekorzystne dla dalszego rozwoju sytuacji". „Czułam, że Putin nie traktuje poważnie porozumienia z Mińska. Dlatego razem z Macronem chciałam nowego formatu, bezpośrednich rozmów. Niektóre kraje nie poparły tego, przede wszystkim kraje bałtyckie, ale i Polska była przeciw, dlatego że [te kraje] obawiały się, iż nie mamy w Unii wspólnej polityki wobec Rosji" – stwierdziła Merkel. „W każdym razie nie doszło do tego, a potem odeszłam z urzędu i agresja Putina się rozpoczęła" – kontynuowała. „Dziś nie możemy wiedzieć, co by się stało, gdyby" – dodała.

Tyle że tak naprawdę nie tylko możemy wiedzieć, ale wiemy. Putin mamiłby Unię pozorowaną chęcią negocjacji, jednocześnie dalej przygotowując atak na Ukrainę. Tak jak dziś usiłuje mamić prezydenta USA Donalda Trumpa pozorowaną gotowością do pokoju. A rosyjski gaz dalej płynąłby do Niemiec, finansując rosyjską machinę wojenną.

100 MLD DLA PUTINA

Trudno nie być oburzonym bezczelnością tych wypowiedzi, w szczególności sugestią, że wszystko było w jak najlepszym porządku, dopóki była kanclerz pozostawała u sterów Europy, a piekło wojenne rozpętało się dopiero wtedy, gdy odeszła z urzędu. Tymczasem to ona była głównym architektem polityki, która umożliwiła rosyjską agresję na Ukrainę.

Niemiecki dziennik „Tageszeitung" (taz) opublikował w minionym tygodniu recenzję wydanej niedawno książki „Nord Stream. Jak Niemcy zapłaciły za wojnę Putina" („Nord Stream: Wie Deutschland Putins Krieg bezahlt") reportera śledczego „Business Insidera" Ulricha Thielego i dziennikarza „Die Zeit" Steffena Dobberta. Autorzy twierdzą, że przeanalizowali kilkadziesiąt tysięcy tajnych dokumentów i przeprowadzili ponad sto rozmów z osobami dysponującymi wiedzą o wewnętrznych procesach decyzyjnych. Według nich od 2014 r. Niemcy zapłaciły Rosji za dostawy gazu ponad 104 mld euro – pieniądze, które posłużyły Kremlowi do przygotowania i przeprowadzenia agresji. Do tego dochodzą płatności za ropę i węgiel – kolejne miliardy, które powędrowały do rosyjskiego budżetu.

> „Zamiast milczeć ta apodyktyczna kobieta, która przez 16 lat utrzymała się u władzy, udziela jednego wywiadu za drugim. I w swym nieustającym wysiłku, by zatuszować swoje historyczne błędy, tylko pogarsza sytuację" – pisze „Münchner Merkur"

Autorzy przypominają, że w 2018 r. ukraińska delegacja ostrzegała niemiecki rząd przed inwazją ze strony Rosji oraz masową migracją z Ukrainy, ale Berlin zlekceważył zagrożenie. Gdy Donald Trump występował w 2018 r. na forum ONZ, gdzie ostrzegał przed uzależnianiem się Niemiec od rosyjskiego gazu, członkowie niemieckiej delegacji z ówczesnym ministrem spraw zagranicznych Heiko Maasem oraz ambasadorem Christophem Heusgenem na czele śmiali się głośno i drwili z prezydenta USA. A Merkel przekonywała m.in. ówczesnego premiera Mateusza Morawieckiego, że Nord Stream to „projekt czysto ekonomiczny", który „nie stanowi zagrożenia dla dywersyfikacji źródeł dostaw gazu".

Tymczasem według Thiela i Dobberta wbrew wieloletniej narracji ośrodków rządowych w Berlinie gazociąg Nord Stream 2 „nie był zwykłym projektem biznesowym". „Użyto go jako broni" – podsumowali. Przyczynił się on nie tylko do wojny na Ukrainie, lecz także głębokiej korupcji w niemieckiej polityce. „Nord Stream 2 był częścią rosyjskiej agresji w Europie. Narzędziem strategicznej korupcji. Niemieckie władze oszukiwały Bundeswehrę i przekazywały tajne dane NATO Gazpromowi. Premierzy landów SPD oddali się na służbę rosyjskiemu podżegaczowi wojennemu" – twierdzą Thiel i Dobbert, którzy podczas prac nad książką próbowali spotkać się z Merkel. Stanowczo odmówiła.

UPRZEDZENIA POZNAWCZE I POLITYCZNE

Przez ostatnie lata była kanclerz wielokrotnie powtarzała tezę, że za pomocą procesu mińskiego i zbliżenia z Kremlem „kupiła Ukrainie czas". Na modernizację i rozwój gospodarczy. „Nie byłam naiwna i to, że moja dyplomacja nie okazała się skuteczna, nie oznacza, że była błędna" – podkreślała. Jej zdaniem Rosja jest zbyt blisko Niemiec, by nie utrzymywać z nią relacji. Wielokrotnie sugerowała też konieczność zbudowania „paneuropejskiej architektury bezpieczeństwa obejmującej Rosję".

eprasa.pl 0506e848ed

Brak wstydu to przydatna cecha u polityk, która utrzymała się przy władzy przez 16 lat i odeszła z własnej woli. Oczywiście była za to krytykowana także w Niemczech, ale cicho i niemrawie. „Robiła, co mogła" – usłużnie powtarzały gazety. Jednak tym razem chyba coś pękło. Sugestie Merkel, że winne wojnie na Ukrainie są Polska i kraje bałtyckie, wywołały falę oburzenia. Także za Odrą. Niektóre gazety bronią byłej kanclerz, twierdząc, że „powiedziała jedynie, że Polska i kraje bałtyckie nie poparły zaproponowanego przez nią formatu", ale inne wprost w nią uderzają. „Uzależnienie Niemiec od rosyjskiej energii forsowane przez Merkel okazało się błędem o znaczeniu historycznym i podsyciło nieufność wobec Niemiec wśród ich wschodnich sąsiadów, która wciąż daje o sobie znać. Dlaczego Merkel nie chce przyznać się do tego błędu, pozostaje jej tajemnicą" – pisze niemiecki „Handelsblatt".

„Münchner Merkur" zaś ocenia: „To ta sama kanclerz, która najpierw zniszczyła Bundeswehrę, a następnie zachęciła agresora z Kremla do wojny po zaanektowaniu przez niego Krymu, popierając budowę jego gazociągu, obarcza Europę Wschodnią odpowiedzialnością za swoje nieszczęście. […] Zamiast milczeć, ta apodyktyczna kobieta, która przez 16 lat utrzymała się u władzy, udziela jednego wywiadu za drugim. I w swym nieustającym wysiłku, by zatuszować swoje historyczne błędy, tylko pogarsza sytuację. Odwracanie przez nią ról sprawcy i ofiary w wojnie w Ukrainie jest równie bezczelne jak twierdzenie, że jej hasło »Wir schaffen das« [»Damy radę« z przyjęciem dużej liczby uchodźców – red.] nie było dla Niemiec zbyt dużym wyzwaniem" – czytamy.

Tymczasem szef niemieckiej Fundacji Friedricha Naumanna na kraje bałtyckie Julius von Freytag-Loringhoven zarzucił byłej kanclerz „fatalne błędy w ocenie", które do dziś „przyczyniają się do zachodniej ślepoty wobec Rosji". Wyobrażenie, że Putina można było powstrzymać poprzez dialog, pozwala uniknąć bolesnej świadomości, że dziesięciolecia niemieckiej polityki wobec Rosji były błędem poważnym w skutkach.

CENA ZA UROJENIA

Kolejne rozmowy i wysiłki dyplomatyczne miały udobruchać Putina, choć poprzednie już okazały się nieskuteczne, jak podkreślił Mateusz Morawiecki. „Chcieli zaprosić Putina na Radę Europejską. Nie było na to mojej zgody, wykluczyłem porozumienia o charakterze, mogę tak powiedzieć, przypominającym co nieco Monachium 1938 r." – zaznaczył. Minister spraw zagranicznych Estonii Margus Tsahkna odrzucił wypowiedzi Merkel jako „oburzające" i „błędne". W oświadczeniu MSZ w Tallinie stwierdził, że „powodem agresji Rosji jest niezdolność Putina do zaakceptowania upadku Związku Radzieckiego, a także wcześniejsze dążenie państw zachodnich do negocjacji z Putinem i ignorowania jego działań". Były minister spraw zagranicznych i obrony Łotwy Artis Pabriks napisał na platformie X: „Problem z takimi wypowiedziami Merkel polega na tym, że gra ona według scenariusza Kremla". Łotewski europoseł Rihards Kols również ostro skrytykował byłą kanclerz na platformie X: „Angela Merkel obwinia państwa bałtyckie i Polskę za wojnę Putina – to więcej niż absurd, to skandal. […] Być może na miejscu jest poważna autorefleksja, a nie historyczny rewizjonizm. Bo Europa płaci cenę za jej urojenia".

Oczywiście są tacy, którzy uważają – jak były ambasador w USA oraz Izraelu Marek Magierowski – że pani kanclerz nie obarczyła nikogo winą i taka interpretacja jest „manipulacją oraz dezinformacją". Tylko jak inaczej interpretować jej słowa? Jest jasne, że pani kanclerz, broniąc swoich dążeń do stworzenia kolejnego formatu mińskiego oraz obwiniając Polskę i kraje bałtyckie za to, że do niego nie doszło, wyraźnie sugeruje, iż bezpośrednie rozmowy z Putinem mogłyby zatrzymać rosyjską agresję, a tak stała się ona faktem. Nie było rozmów, doszło do agresji. Rozmów nie chciały Polska i kraje bałtyckie. Ergo: to one są winne, że UE nie udało się zapobiec wojnie.

Angela Merkel nie jest znana z bezmyślności – przeciwnie, więc zapewne miała świadomość, że tak to zabrzmi. A gazety, takie jak „Bild", ułożą do tego sensacyjne nagłówki. Po prostu miała to w nosie.

NIECHĘĆ DO WZIĘCIA ODPOWIEDZIALNOŚCI

Jako kanclerz prowadziła politykę otwarcie merkantylistyczną, ukierunkowaną na doraźną korzyść wąskiej grupy niemieckich koncernów. Jednocześnie budowała pozycję Niemiec jako uczciwego maklera między USA a Chinami, głównego zarządzającego Europą. Moskwa służyła przy tym jako lewar dla globalnych ambicji Berlina. Swojemu następcy Olafowi Scholzowi zostawiła kraj na skraju recesji, obawiający się o swój dobrobyt. Za to także nie zamierza przepraszać.

Według byłej opozycjonistki z NRD Very Lengsfeld, która dobrze zna byłą kanclerz, „cechą charakterystyczną Merkel jest niechęć do wzięcia odpowiedzialności". Według niej, będąc w urzędzie kanclerskim, nie kierowała się ona wartościami, tradycjami ani analizą historycznych konieczności, lecz duchem czasu, który dla niej wyrażał się w mediach. Ciągle zlecała badania opinii publicznej (600 sondaży między 2009 a 2013 r.) i szczyciła się tym, że nie wymagała od Niemców więcej, niż oni byli gotowi dać. Niemcy przestraszyli się atomu po Fukushimie? Kazała wyłączyć elektrownie atomowe. Była oportunistką rządzącą po linii najmniejszego oporu. Dlatego wielu Niemców wciąż ją kocha. Według sondażu Forsa dla RTL/NTV z 2024 r. 74 proc. badanych uważa, że lata Merkel były „raczej dobre". Rada Europejska pożegnała panią kanclerz w 2021 r. muzyką fortepianową, a gospodarz, przewodniczący Charles Michel, zadeklarował, że spotkanie europejskich szefów państw i rządów bez Angeli Merkel „to jak Paryż bez wieży Eiffla". Wyglądało wówczas na to, że w Brukseli chcieli jej postawić pomnik.

Ten radosny, melancholijny nastrój zniknął po agresji Rosji na Ukrainę. A z każdym kolejnym wystąpieniem, każdym kolejnym wywiadem Merkel tylko potwierdza rację swoich krytyków. Że była słabym i jednocześnie cynicznym przywódcą, wystawiającym na szwank przyszłość i bezpieczeństwo kontynentu dla, jak się okazało, krótkoterminowych korzyści i własnych widzimisię. Taka jest jej spuścizna i Merkel coraz trudniej będzie jej bronić.

eprasa.pl 0506e848ed



Wędrówka po samoświadomości

Konflikt, który 20 lat temu rozpętał Donald Tusk, osłabił Polskę najprawdopodobniej w sposób trwały – twierdzi prof. Ryszard Legutko. Dowodzi też, że trzeźwość spojrzenia, nonkonformizm i niezbędna doza ironii są silniejsze niż kłamstwa naszych czasów



MACIEJ WALASZCZYK

Proces integracji z Unią Europejską od samego początku był mistyfikacją maskującą dominację wielkich nad słabszymi. Co więcej, pod względem agresywnej automistyfikacji przypomina on system sowiecki, tworzy monstrum biurokratycznego feudalizmu, uzależnień, nieformalnych reguł niemających nic wspólnego z traktatami. Ale zwykli Polacy nie rozumieją tej zakłamanej rzeczywistości – pisze w swojej najnowszej książce prof. Ryszard Legutko.

„Rekapitulacja" jest gorzkim i pesymistycznym rozrachunkiem z pewnymi złudzeniami. Jej autor – także jako filozof i polityk, a zarazem autor przenikliwych prac na temat Sokratesa i liberalizmu – również potrzebował czasu, by zorientować się, że w zachodnich demokracjach autentyczną władzę sprawuje lewica, występująca także w prawicowych kostiumach. Że to lewicowy walec ideologiczny zmienia rzeczywistość, narzuca totalitarny automatyzm umysłowy i robi to bez względu na nastroje społeczne, traktaty, zdrowy rozsądek oraz dobro Europy.

NIE LIBERALIZM, ALE WOLNOŚĆ

To ciekawa, nieco intymna duchowa wędrówka, w jaką autor zabiera czytelnika po budowanej od dzieciństwa samoświadomości. Przywołuje więc te najdawniejsze wspomnienia, barwne czasy studenckie lat 60., pierwsze doświadczenia akademickie i polityczne. M.in. to, że jego pierwszy tekst opublikowany w zachodnim czasopiśmie ukazał się za sprawą Rogera Scrutona w jego „The Sailsbury Reviev".

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 0506e848ed

Sporo tutaj ciekawych wspomnień choćby z praktyk studenckich odbywanych w rozlewni piwa Okocim czy rzucanych mimochodem celnych opinii o „typowym dla Miłosza antypolskim komedianctwie", a także o poznanym na jednej z konferencji guru libertarian Murrayu Rothbardzie. Profesor zapamiętał raczej jego wręcz leninowski dogmatyzm, który łagodziło specyficzne usposobienie: „Mówił akcentem żydowsko-nowojorskim tak silnym, że gdy zamknęło się oczy można było odnieść wrażenie, że to Woody Allen przedrzeźnia samego siebie".

To wspomnienia mężczyzny dojrzałego, który dawno rozpoznał sztuczki nowoczesnych hochsztaplerów. Pełnego elegancji nonkonformisty, poszukującego raczej utraconych sensów niż modnych intelektualnych nowinek. Ale który z coraz większym pesymizmem widzi przyszłość naszego kraju.

Książka jest też intelektualną historią człowieka, który prawdziwą wolność odnalazł w jej filozoficznych i starożytnych fundamentach. Dzięki nim dotarł do źródeł najważniejszych problemów, stawiających w centrum prawdę, a nie historyczną aktualność i poznał wagę odwagi intelektualnej. Filozofia ofiarowała mu też język i pojęcia, stając się przez to jednym jego z głównych krytycznych punktów widzenia na marksizm, liberalizm i postmodernizm. Pozwoliła dojść do przekonania, że modny na przełomie lat 80. i 90. liberalny sposób myślenia już u swych podstaw okazał się destrukcyjny, bo z natury był skierowany przeciwko każdej tradycji, każdej władzy i każdemu autorytetowi. Okazał się też umysłową pułapką prowadzącą do budowy państwa znacznie bardziej represyjnego niż to, które obalił.

OCALIĆ PAŃSTWO I INSTYTUCJE

W latach 90. dla wielu ludzi pierwszym spotkaniem z tekstami krakowskiego filozofa były felietony publikowane na łamach tygodnika „Nowe Państwo", które później mogli znaleźć w zbiorkach wydawanych regularnie przez wydawnictwo Arcana. Jego myśli – kształtowane przez pełen precyzji angielski styl, którym z wielkim pożytkiem fascynował się jako student anglistyki – były jasne, wnikliwie i przystępnie. Rozprawiał o współczesnym pojmowaniu wolności czy tolerancji, którą rozumiał wyłącznie jako akceptację cudzych słabości czy imitacyjnym charakterze krajowej popkultury.

Starsi znali już opublikowane w drugim obiegu „Dylematy kapitalizmu", będące pierwszym, bardzo trzeźwym spojrzeniem na społeczne i kulturowe konsekwencje wolnego rynku. To także klucz do zrozumienia politycznego zaangażowania profesora, który właśnie w Jarosławie Kaczyńskim rozpoznał polityka inteligenta rozumującego kategoriami państwa i instytucji. Bo, jak podkreśla, sednem politycznej filozofii liberalizmu jest stawianie na pierwszym miejscu praw tzw. społeczeństwa obywatelskiego i wolnego rynku przy równoległej atrofii instytucji państwowych. Tymczasem walka o jakąkolwiek podmiotowość i aspiracje Polski domagała się wzmocnienia państwa i przeciwstawienia się zawłaszczającym go grupom interesów.

DOBRE WYCHOWANIE

Historyczny los, tak podobny dla milionów innych Polaków, sprawił, że w wyniku wojennej i powojennej zawieruchy profesor trafił z kresowego Sambora – „innego kraju, z innego świata, z innej epoki" – do Krakowa na osiedle oficerskie, w którym nie było już przedwojennych wojskowych. Ale za sprawą matki otoczonego książkami i dbającej o to, by dziecko pochodzące z klas o niższym statusie zasiliło w przyszłości szeregi inteligencji. „Tacy ludzie jak moja mama uważali, że jakość umysłowa powinna oznaczać, obok patriotyzmu i innych szlachetnych ideałów obywatelskich, także dobre wychowanie, dworność obyczaju i ładny język" – wspomina.

> Profesor zwraca uwagę na to, że sekularyzacja i osłabienie aktywności religijnej po 1989 r. nie sprawiły, że ludzie stali się mądrzejsi i lepsi, lecz odwrotnie – doprowadziły do degradacji zachowań, języka, obyczaju i wrażliwości

Trzeźwość osądu autora od dziecka kształtowała więc literatura, a jej echa nieustannie rezonują obok filozofii. Dzięki temu także jako polityk stał się uważniejszym obserwatorem rzeczywistości, wrażliwym na rosnącą obecność wielu zjawisk degradujących kulturę. Udział i obserwacja studenckich protestów w marcu 1968 r. dały mu wiedzę o specyficznym konserwatyzmie społecznym, często niechętnym naruszaniu *status quo*. Jak się okazuje, to pożądany odruch obronny przed burzycielami porządku, ale bierny wobec tyranii władzy i uwalniający najgorsze instynkty, takie jak donosicielstwo. A także fakt, że ukuta po 1989 r. marcowa mitologia jest pełna przekłamań. Kampania antysyjonistyczna miała – jak wspomina Legutko – formę karykaturalną, a antysemicka nagonka praktycznie nie spotkała się ze społecznym odzewem. Co więcej, w Polsce problem żydowski praktycznie nie istniał i o ile w polskim społeczeństwie przez lata można było odnaleźć wiele sympatii np. dla państwa Izrael, o tyle tam spotykał się niemal wyłącznie z niechęcią, jeśli nie z jawną wrogością wobec Polski.



Ryszard Legutko, „Rekapitulacja", Fronda 2025

eprasa.pl 0506e848ed

Profesor ciekawie wspomina też czas destalinizacji, gdy w środowiskach inteligenckich poluzowanie ideologicznego gorsetu spowodowało wybuch nagromadzonego po wojnie potencjału twórczego, rekompensującego brak niemożliwej do osiągnięcia wolności politycznej. Jednocześnie – jak zauważa – tzw. przełom 1989 r. okazał się pod tym względem jałowy, bo nie przyniósł ani oryginalnej twórczości, ani refleksji intelektualnej, ani głębszego myślenia politycznego. Taki zarzut stawia też akademikom, których konformizm nie tylko utrwalał komunistyczne porządki na uczelniach i blokował lustrację, lecz także powodował brak zdolności do opisu nowej rzeczywistości, którą zastępowały import idei i imitacja. Po 35 latach sytuacja jest jeszcze dramatyczniejsza. Legutko długo i wnikliwie opisuje realia współczesnego uniwersytetu, a raczej tego, co z niego zostało. Według niego nie promuje on śmiałości intelektualnej, ale karierowiczów i imitatorów.

TRADYCYJNA SZKOŁA

Z pewnością filozof zawdzięcza samodzielność sądu wychowaniu i na pewno bardzo tradycyjnej szkole, której zalety dziś jednoznacznie podnosi. Wskazuje na konieczność obowiązkowej „obróbki nastolatka", „polerowania smaku", kształcenia umysłu, by w ten sposób zdobył on dopiero narzędzia intelektualne, dzięki którym będzie zdolny podjąć samodzielne próby podważania tego, co mówią nauczyciele. „Moje pokolenie, a także pokolenia starsze [...] zostały wykształcone metodą Bladaczki [karykatura nauczyciela wykreowana przez Gombrowicza – przyp. red.] i ogólnie dobrze na tym wyszły" – podkreśla. Co więcej, także na owym peerelowskim uniwersytecie studenci ostatniego roku czytali na seminarium magisterskim „Ideę uniwersytetu" kard. Johna Newmana, sprowadzającą jego główny cel do wykształcenia człowieka potrafiącego poruszać się w świecie wiedzy, rozpoznać rzeczy ważne i wyjątkowe oraz odrzucać ślepe doktrynerstwo. Jest to jednak możliwe tylko na fundamencie prawdy i w zaufaniu do ładu świata, który dziś od dziecka jest kwestionowany.

Współcześnie w chaosie znaczeń zwycięża polityczna siła oraz władza decydująca o wyższości jednego sposobu myślenia nad innym, budująca kolektywne plemiona. Profesor potwierdza opinię, że totalitarny charakter masowej demokracji jest wspierany przez demokratyzację edukacji, masowe obdzielanie maturami i dyplomami naukowymi, które nie mają już większej wartości. Zwraca uwagę, że dziś ignorancja i utwierdzanie ludzi w ich głupocie faktycznie współdziałają z formami współczesnego despotyzmu.

„Rekapitulacja" Ryszarda Legutko zawiera również inną obserwację – mimo oficjalnej areligijności peerelowskiej szkoły jako uczeń znajdował się on pod znacznie silniejszym wpływem wychowawczego oddziaływania Kościoła katolickiego niż dzisiejsze pokolenia. Jak przyznaje, formacja katolicka zaoszczędziła także jemu prób apostazji, transgresji, romansowania z „ideologicznymi demonami" i pragnienia „przejścia na drugą stronę". Tymczasem sekularyzacja i osłabienie aktywności religijnej po 1989 r. nie sprawiły, że ludzie stali się mądrzejsi i lepsi, ale odwrotnie – doprowadziły do degradacji zachowań, języka, obyczaju i wrażliwości.

KU KATASTROFIE PAŃSTWA?

Ostatni rozdział tej opowieści traktuje już bezpośrednio o polityce, do której krakowski filozof wkroczył w 2005 r. Czas ten charakteryzuje gorączka politycznej konfrontacji PiS i PO. Jak zauważa, jej strategia zastosowana przez liderów Platformy polegała na maksymalnym pogłębianiu podziałów, wzmacnianiu własnych pozycji i zakrywaniu ich moralistyczną retoryką.

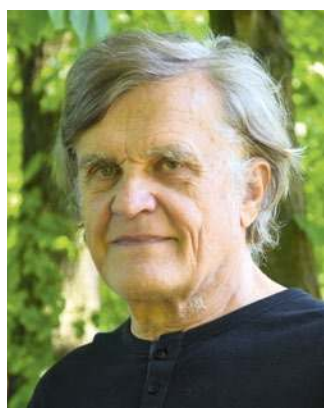
Wpisując się też w szersze zjawisko, polegające już od 1990 r. na obronie „praw właścicielskich dzieci stalinowców" nadanych pierwotnie ich dziadom przez Stalina. Ryszard Legutko mówi wprost, że symbolizują oni wszystko, co od dzieciństwa odrzucał – byli zasadniczo inni i niebezpieczni, a teraz zmodernizowali swe dawne marksistowskie narzędzia, wracając do wrogiego polskiej tradycji projektu budowy „postępowego społeczeństwa", w praktyce pozbawiającego je dążeń do samodzielności. Przyznaje, że zalążki tego konfliktu ujawniały się już w latach 80., jednak sentymentalne podejście do polityki, ów solidarnościowy romantyzm, uniemożliwiało ich realistyczną ocenę i pozbawiało ostrożności. Zdaniem profesora ten dramatyczny konflikt, który 20 lat temu rozpętał Donald Tusk, na pewno zapisze się w historii. Stawia hipotezę, że w jego wyniku Polska została być może osłabiona w sposób trwały.

REKLAMA



eprasa.pl 0506e848ed

Nauka a liberalizm, nauka a społeczeństwo



Panie Redaktorze, 40 lat temu łączył nas wstręt do komuny, gdy kończyłem studia brałem udział w protestach po śmierci Stanisława Pyjasa. (Obaj urodziliśmy się w czerwcu 1952 r.). A teraz zaliczył mnie Pan do wrogów (Bronisław Wildstein, „Nasi oświeceni", tygodnik „Sieci" 2025, nr 38, s. 5). I to bez sprawdzenia, czy faktycznie głoszę poglądy, jakie mi Pan przypisał. Stąd te wyjaśnienia, w nadziei, że przynajmniej w części złagodzi to Pańską ocenę.

Najpierw sceneria wydarzeń. 10 czerwca w Warszawie odbywała się konferencja o filozofii, zwłaszcza społecznej, Hannah Arendt. Andrzej Przyłębski, z którym nadal chciałbym utrzymywać koleżeńskie kontakty, podczas swojego wystąpienia szybko przestał mówić o Arendt, a zamiast tego wygłosił swoje polityczne credo. Najważniejsze było w nim twierdzenie, że tym, co stanowi o wartości naszego życia, jest wierność tradycji narodowej. To właśnie – a nie uwagi o aborcji – wywołało mój sprzeciw. Mówiłem zapewne nie dłużej niż dwie minuty, na więcej nie pozwalał czas wyznaczony przez organizatorów, w pośpiechu mogłem wyrazić się nieściśle, niemniej nie wyobrażam sobie, abym wygłosił twierdzenia, które mi Pan przypisuje.

Nigdy nie sądziłem – wbrew Pańskiej opinii – że „jedynym racjonalnie uzasadnionym stanowiskiem politycznym jest liberalizm". Nauka – co stanowi jeden z warunków jej poznawczych sukcesów – jest aksjologicznie neutralna. Żadnych przekonań wartościujących – a takie leżą u podstaw programów politycznych – naukowo uzasadnić się nie da. Twierdzę natomiast, że nauki rozwijają się najlepiej w systemach liberalno-demokratycznych: tym lepiej dla postępu wiedzy naukowej, im bardziej ludzie są równi i wolni. A także im bardziej są obywatelami świata, a nie swoich małych ojczyzn. Myślę, że nie było przypadkiem, iż „Matematyczne zasady filozofii naturalnej" Izaaka Newtona i „Drugi traktat o rządzie" Johna Locke'a ukazały się w odstępie zaledwie trzech lat.

O aborcji, czemu poświęca Pan cały akapit, nie powiedziałem – o ile dobrze pamiętam – ani słowa. Pytałem natomiast o to, czym jest nasza narodowa tradycja i kto ma o tym decydować. Otóż pochodzę z chłopów i z moimi chłopskimi przodkami się solidaryzuję. Czytałem kiedyś podręcznik gospodarowania, który napisał polski szlachcic dla innych polskich szlachciców, były tam m.in. rady, jak bić buntowniczych chłopów, żeby im bunty z głów wybić, a nie uszkodzić zbytnio, tak aby do roboty się nadawali. Tej części narodowej tradycji nie cenię, a wręcz przeciwnie, czuję do niej wstręt nie mniejszy niż kiedyś do komuny.

To nurty polityczne spod znaku liberalizmu krętymi drogami, które w wielu szczegółach też budzą sprzeciwy, sprawiły, że przeżyłem życie nie jako człowiek drugiej kategorii, którego innemu, ulokowanemu z racji urodzenia na wyższym szczeblu drabiny społecznej, wolno bić, nawet zabić, który nie ma prawa do wyboru religii (jakie niegdyś miała w Rzeczypospolitej szlachta). A rzymski Kościół przez wieki taki stan rzeczy wspierał i sam z niego korzyści czerpał. Żyłem, również za socjalizmu, jako równy wśród równych – i za to jestem wdzięczny tym ludziom, którzy dla mnie taki świat wywalczyli.

Nie mówiłem, co wkłada mi Pan w usta, o religijnym zabobonie. Ani o tym, że naukowcy mają być ateistami! Param



BRONISŁAW WILDSTEIN

Nasi oświeceni

Rzecz zdarzyła się w trakcie konferencji poświęconej myśli Hannah Arendt. W swoim wystąpieniu filozof prof. Andrzej Przyłębski zadeklarował, że Francja, wpisując aborcję do konstytucji, wypisała się z cywilizacji europejskiej. Dygresja ta wywołała gwałtowne reakcje. Prof. Wojciech Sady, znany historyk nauki i filozofii, ogłosił, że po naukowo-technicznej rewolucji, która stanowi konsekwencję oświecenia, jedynym racjonalnie uzasadnionym stanowiskiem politycznym jest liberalizm. Nie jest dla niego alternatywą żaden religijnie motywowany światopogląd. Nie zmienią tego nieświadome masy, a on, profesor filozofii, nie zgadza się, aby narzucały mu one swoje prawa.

Tylko na pozór nie miało to związku z wystąpieniem Przyłębskiego. Sady wygłosił credo ideologii emancypacji. Zgodnie z nią świat dzieli się na dwa obozy: postępu i wstecznictwa. Ten pierwszy ma za sobą autorytet nauki, drugi to zona religijnego zabobonu i zaczadzonych nim ciemnych mas. Ludzie oświeceni i wyemancypowani wyznają liberalizm, dla którego nie ma żadnej sensownej opozycji; jego przeciwnicy to bezrozumny tłum.

Nie istnieje żadna rzecz ani żadne zjawisko, które – zdaniem apostołów owej wizji – nie jest przez nią zdeterminowane. Wydawałoby się, że stosunek do aborcji nie ma nic wspólnego z nauką. Jeśli się do niej odwołujemy, to kolejne odkrycia potęgują tylko wątpliwości co do usuwania ciąży. W momencie poczęcia zostajemy już całościowo genetycznie wyposażeni. Przyjęcie więc, że człowiek zaczyna się później, jest zupełnie arbitralne i nie ma nic wspólnego z nauką.

Nie jesteśmy w stanie ufundować porządku aksjologicznego na naukach ścisłych i przyrodniczych. Żaden postęp w tych dziedzinach nie dostarczy dowodu na wyższość życia nad jego zaprzeczeniem, a ludzi nad insektami. Żadne równania nie wyliczą godności człowieka. Elementarna logika powie nam natomiast, że jeśli założymy, iż aby za takiego być uznanym, musimy prezentować ileś dodatkowych (poza egzystencją) np. intelektualnych cech, to doprowadzimy do negacji wartości człowieczeństwa. O tym, kto zostanie uznany za ludzką osobę, decydowali będą silniejsi, a mamy już historyczne doświadczenia, dokąd to prowadzi.

Zakwestionowanie aborcji Sady wiąże z religią – jego zdaniem zaprzeczeniem racjonalności. Trzeba niewiele wiedzieć o chrześcijaństwie, aby formułować takie sądy. Ale nie trzeba być wyznawcą religii, aby przeciwstawiać się aborcji. Nie sposób uznać jej za sprawę prywatną i jednocześnie odwoływać się do ludzkiej godności. Nawet liberał jest w stanie to zrozumieć, chociaż w dobie ideologicznej rewolucji, która musztruje swoich zwolenników, trudno mu publicznie bronić takiego poglądu.

Świat nie dzieli się na dwa obozy, a ci, którzy uznają wartość nauki, nie muszą być ani ateistami, ani liberałami. Oba te zbiory również nie zawierają się w sobie. Więcej, one funkcjonują w innych porządkach.

Sady jako metodolog i teoretyk nauki wie o tym doskonale. Dlaczego karmi nas zatem ideologiczną propagandą? Nie posądzam go o cynizm, pozostaje więc wyjaśnienie najprostsze: Sady wierzy w to, co mówi. Jego teoretyczna wiedza ma się nijak do jego politycznych wyborów, które wyrastają z idiosynkrazji i dyktujących je towarzyskich afiliacji. To one każą mu dzielić ludzi na swoje, prezentujące pokrewne mniemania środowisko, czyli światłych postępowców, i pozostałych – ciemną masę, która nie powinna mieć praw obywatelskich. Okazuje się zatem, że oświecenie to nie wiedza oraz zdolność rozumowania, to zestaw wyznawanych poglądów. Ci, którzy uznają, że powinni dyktować prawa dla wszystkich, nie są bardziej racjonalni, a tylko prezentują opinie uznawane za takie w ich towarzystwie.

Znany koszykarz Marcin Gortat powiedział niedawno coś podobnego, co Sady. Stwierdził publicznie, że „małe miasteczka, małe miejscowości, wieś" nie mogą decydować o regułach, które mają obowiązywać. „Nie możemy sobie na to pozwolić". Ten sam wywiad udowodnił, że sportowiec nie zna tabliczki mnożenia, nie ma pojęcia o polskiej historii i ogólnie poza sportem nie ma pojęcia o niczym. Zupełnie nie nadwerężą to jego dobrego samopoczucia i wyobrażenia, że przynależy do oświeconej elity, która w przeciwieństwie do wiejskiego i małomiasteczkowego motłochu powinna mieć prawo podejmować polityczne decyzje.

Zdumiewać może tak daleko idące mentalne podobieństwo Gortata i wybitnego historyka nauki oraz filozofii. To jednak tylko kolejny przykład, który pokazuje, że ludzie nie są zwykle integralni i najwyższe nawet kompetencje w określonej dziedzinie (Gortat z pewnością jest świetnym koszykarzem) nie przekładają się na inne, a osoba, która wykazuje się zdolnością myślenia w domenie jednej, nie potrafi przełożyć tego na inne. Jest to istotny argument na rzecz demokracji, której wartość realnie negują – opisane przykłady można mnożyć – zwolennicy jej liberalnego wcielenia.

eprasa.pl 0506e848ed

się, jak Pan zauważył, historią nauki i wiem aż nadto dobrze, jakie były i jakie są obecnie przekonania religijne przedstawicieli różnych dyscyplin naukowych pochodzących z różnych kręgów kulturowych. Temat to bardzo ciekawy, ale tu nie ma miejsca, aby go poruszać. Przy okazji jednak zaznaczę – nie ukrywając, że mi się to nie podobało – iż dzieła Kartezjusza, jednego z ojców filozofii nowożytnej i nowożytnej nauki, pozostawały na katolickim „Indeksie ksiąg zakazanych" jeszcze wtedy, gdy obaj mieliśmy po 14 lat. Można godzić wiedzę naukową z wiarą religijną, natomiast nie można godzić nauki z uznaniem kogokolwiek za (najwyższy) autorytet. O naukowości decyduje debata równych wśród równych.

Mówiłem do Andrzeja Przyłębskiego właśnie w związku z obawami o przyszłość nauk w świecie, w którym ktoś autorytatywnie rozstrzyga o tym, co jest narodową tradycją, a co nie. Wielu ludzi – i to jest poważny problem społeczny – niewiele z naukowego obrazu świata rozumie, a to do nich odwołują się (co pokazują badania socjologiczne) ci, którzy by chcieli na autorytetach budować. Tymczasem, co szczególnie podkreśliłem w trakcie tamtego wystąpienia, wszyscy pełnymi garściami czerpiemy z praktycznych zastosowań wiedzy naukowej. 120 lat temu w okolicach Krakowa, gdzie mieszkam, 58 proc. dzieci umierało, zanim dożyło dorosłości, dziś umiera sto kilkadziesiąt razy mniej. To dzięki postępom medycyny opartym na dokonaniach nauk średnia długość życia ludzkiego wzrosła – licząc w skali całej planety – z 32 lat w 1900 r. do 73 lat obecnie. Po raz pierwszy w znanej nam historii – dzięki naukowej zielonej rewolucji, którą rozpoczęto, gdy mieliśmy po 8 lat – rolnicy wytwarzają obecnie więcej żywności niż potrzebujemy. A 90 proc. ludzi ma w swoich domach prąd elektryczny. Nauka wprawdzie nie wartościuje, ale chyba obaj uznamy wiedzę naukową za coś, co dobrze nam służy.

Z poważaniem ***Wojciech Sady***

Szanowny Panie Profesorze,

Dziękuję za reakcję. Pańskiej wypowiedzi na konferencji nie słyszałem osobiście, a oparłem się na relacji osoby, do której żywię zaufanie. Jeśli niewłaściwie przedstawiłem Pańskie poglądy, to przepraszam. I cieszę się, że w Pana przypadku nie spotykam się z doktrynerstwem oraz politycznym zacietrzewieniem, które, niestety, odnotowuję także wśród poważnych naukowców.

Wyjaśnienie nie jest właściwym miejscem dla podejmowania polemiki, zwłaszcza że generalnie się z Panem zgadzam. Przypomnę jednak, że to nie liberalizm wynalazł wolność, choć usiłuje ją zawłaszczyć. Dlatego akceptując swobody polityczne, nie muszę wcale wyznawać liberalizmu. Ma Pan rację, że Kościół w swojej historii ma niechlubne karty, co nie znaczy, że nie ma również wielkich zasług dla obrony ludzkiej godności i wolności.

Z wyrazami szacunku ***Bronisław Wildstein***

AUTOPROMOCJA

wPolsce 24

NAWROCKI W POLSCE

Premiera w każdy piątek na YouTube,
a w niedzielę w telewizji wPolsce24
o godzinie 18:30



GDZIE NAS OGLĄDAĆ:
52 telewizja naziemna
909 921, 196 polsat box
62 CANAL+
192 netia
32 orange
825 vectra
65 339, 121 PLAY
459 inea
631 TOYA
43 evio

AUTOPROMOCJA



Serial Netfliksa „1670” podbił serca widzów, łącząc satyrę z kostiumową farsą o sarmackiej Polsce. Ale za śmiechem z rubasznych szlachciców kryje się pytanie o fakty: jak wyglądała Rzeczpospolita w drugiej połowie XVII w., kraj po przejściach, pełen kontrastów, ambicji i paradoksów?

Jaka była polska szlachecka.

Serial Netfliksa kontra prawda historyczna



STANISŁAW PŁUŻAŃSKI

Drugi sezon popularnego serialu „1670” znów przyciąga uwagę widzów w Polsce i na świecie, a wraz z nim rośnie zainteresowanie naszą szlachecką tradycją. Poprzez opowieść o Janie Pawle Adamczewskim, jego rodzinie i wsi Adamczycha twórcy serialu przedstawiają barwny świat polskiej szlachty, w którym kłótnie o ustrój państwa, honor i pozycję rodu stają się punktem wyjścia do ironicznej opowieści o narodowych przywarach.

Twórcy z przymrużeniem oka pokazują, jak mogło wyglądać życie w XVII-wiecznej Rzeczypospolitej. Jednak za groteską serialowych postaci kryje się niezwykle ciekawa epoka – czas odbudowy po katastrofach wojennych, rozkwitu barokowej kultury i powolnego schyłku dawnej potęgi. Czy ówczesna Polska rzeczywiście była krainą rubasznych szlachciców i zadymionych karczem, czy raczej miejscem prób przetrwania, dramatycznych przemian i niepokojów? Prawdziwa historia 1670 r. okazuje się dużo bardziej bogata i niejednoznaczna niż filmowa fikcja.

POLSKA MIĘDZY WOJNAMI

1670 r. to w Rzeczypospolitej czas niepewnej równowagi między wyniszczającą przeszłością a nadchodzącym przesileniem. Państwo próbowało podnieść się po serii katastrof, które nawiedziły je w połowie XVII w. Zaledwie 10 lat wcześniej skończyło się jedno z najtragiczniejszych doświadczeń w historii Polski – potop szwedzki, który przetoczył się przez cały kraj. Spalone miasta, złupione klasztory, wyludnione wsie i zniszczona gospodarka doskwierały jeszcze przez pokolenia.

Na wschodzie długo nie cichły skutki powstania kozackiego, rozpoczętego w 1648 r. pod wodzą Bohdana Chmielnickiego. Dziesięcioletni ciąg konfliktów doprowadził do faktycznego oderwania Ukrainy i osłabienia więzi między Koroną a wschodnimi kresami. Do tego doszła wojna z Moskwą, zakończona w 1667 r. rozejmem w Andruszowie, który przyniósł utratę Smoleńska, Kijowa i ogromnych terytoriów na Ukrainie. Rzeczpospolita wy-

Fot. Netflix

eprasa.pl 0506e848ed

szła z tego konfliktu osłabiona, zmęczona i niezdolna do dalszej ekspansji. W dodatku kraj musiał sobie poradzić z najazdami chanatu krymskiego oraz Siedmiogrodu.

W 1665 r. państwo ogarnęła jeszcze wojna domowa znana jako rokosz Lubomirskiego, gdy hetman Jerzy Lubomirski wystąpił przeciwko królowi Janowi Kazimierzowi, broniąc „wolności szlacheckiej" przed planami reform. Bunt zakończył się zwycięstwem hetmana i choć przyniósł formalne pojednanie, to w rzeczywistości pogłębił anarchię i nieufność wobec władzy królewskiej. Jego efektem była abdykacja króla w 1668 r. i opuszczenie przez niego kraju.

NIEPEWNE PANOWANIE

Na tym tle panowanie nowego władcy – wybranego w 1669 r. Michała Korybuta Wiśniowieckiego – jawiło się jako czas kruchy i niepewny. Syn legendarnego wojewody ruskiego Jeremiego Wiśniowieckiego panował zaledwie przez kilka lat, a zdążył zrazić do siebie wielu możnych. Wybór słabego, niepewnego monarchy miał być kompromisem po burzliwych elekcjach, ale ostatecznie nikogo nie usatysfakcjonował.

Rzeczpospolita, formalnie wielka i nadal suwerenna, w rzeczywistości pogrążała się w politycznym paraliżu, a o losach kraju coraz częściej decydowały nie sejmowe uchwały, lecz intrygi rodów magnackich.

Na scenie politycznej dominowały dwa główne stronnictwa: regaliści skupieni wokół króla i jego doradców, szukający sojuszu z Habsburgami, oraz malkontenci – profrancuska opozycja, w której kluczową rolę odgrywał Jan Sobieski, hetman wielki koronny. Sobieski, wówczas jeszcze bardziej żołnierz niż polityk, wyrastał jednak na bohatera narodowego. Jego zwycięstwa nad Kozakami i Tatarami, a także talent wojskowy i charyzma sprawiały, że wielu widziało w nim przyszłego wybawcę Rzeczypospolitej. Wspierała go potężna frakcja magnacka, przeciwstawiająca się królowi i dworowi cesarskiemu, który próbował wciągnąć Polskę w antytureckie sojusze.

Na wschodzie i południu rosło zagrożenie tureckie. Imperium osmańskie coraz śmielej wkraczało w granice Podola i Ukrainy, korzystając z chaosu w regionie. W 1670 r. jeszcze nie było wojny, ale napięcie rosło – polskie oddziały na kresach potykały się z Tatarami, a posłowie w Stambule i Wiedniu prowadzili nerwowe rozmowy. W powietrzu wisiał konflikt, który wkrótce miał się przerodzić w otwartą wojnę i dać Sobieskiemu okazję do okrycia się chwałą w bitwach pod Chocimiem, a potem pod Wiedniem.

W polityce wewnętrznej panowała coraz większa niemoc, a prywatne interesy przeważały nad racją stanu. Sejmy często zrywano, a liberum veto stało się skutecznym narzędziem paraliżowania władzy. Najpotężniejsze rody – Radziwiłłowie, Lubomirscy, Potoccy, Pacowie – prowadziły własną politykę, utrzymywały prywatne armie i mecenasów, od których zależeli nawet królewscy urzędnicy. Hetmani, tacy jak Jan Sobieski w Koronie czy Michał Kazimierz Pac na Litwie, mieli wpływy większe niż sam monarcha.

1670 r. przyniósł dalsze zaostrzenie walk stronnictw. Spór pomiędzy malkontentami a regalistami przeniósł się z dworu na sejmiki przedsejmowe, gdzie szlachta domagała się postawienia hetmana Sobieskiego przed sądem sejmowym. W jego obronie wojsko zawiązało konfederację pod Trembowlą, a wobec groźby buntu armii król musiał ustąpić. Ostatecznie 19 kwietnia 1670 r. malkontenci zerwali sejm walny, co pogłębiło kryzys państwa. Z kolei na sejmikach posejmowych wzięto w obronę króla, domagając się sejmu konnego w pospolitym ruszeniu i ukarania winnych zamętu.

Jednocześnie w tle tych jałowych konfliktów wśród szlachty panowało powszechne przeświadczenie, iż Rzeczpospolita ma najlepszy ustrój na ziemi.

RZECZPOSPOLITA SZLACHECKA

Życie codzienne toczyło się między ruiną a przepychem. Wsie i miasteczka powoli dźwigały się z popiołów po potopie szwedzkim i wojnach z Moskwą, zdziesiątkowana ludność próbowała odbudować gospodarstwa. Bogata szlachta wznosiła coraz bardziej okazałe pałace, których potęgę można podziwiać nawet współcześnie. Na magnackich dworach rozbrzmiewały włoskie arie, a uczty i wjazdy magnatów przybierały niemal teatralny charakter. W tym czasie owe dwory stały się także centrami kultury i mecenatu – sprowadzano artystów z Włoch i Niemiec, powstawały barokowe pałace, rzeźby i ogrody, niemające sobie równych w Europie.

Jednocześnie kryzys miast i rozwój samowystarczalnej gospodarki folwarcznej doprowadziły do marginalizacji mieszczaństwa. O ile Gdańsk, Toruń czy Lwów wciąż utrzymywały się jako bogate ośrodki handlowe, o tyle w większości miast brak współpracy patrycjatu uniemożliwiał zdobycie szerszych przywilejów. W rezultacie







mieszczaństwo w Rzeczypospolitej nie było w stanie wywalczyć realnych wpływów politycznych, a życie publiczne było całkowicie zdominowane przez szlachtę.

To właśnie szlachta stanowiła serce ówczesnej Polski. W XVII w. kultura sarmacka przeżywała rozkwit, nadawała ton obyczajom, modzie i mentalności. Polacy postrzegali siebie jako spadkobierców

eprasa.pl 0506e848ed

starożytnych Sarmatów – narodu wolnego, odważnego i wybranego przez Boga do obrony chrześcijaństwa. Szlachta była konserwatywna i broniła „złotej wolności", która dawała im przywileje i niezależność od monarchy. Poczuciu wyższości nad innymi narodami towarzyszyło zamiłowanie do orientalnych wzorców w ubiorze i stylu dekoracji wnętrz.

Kościół katolicki, umocniony po tryumfie kontrreformacji, nadawał ton kulturze i edukacji. W sztuce dominował barok – bogaty, teatralny, pełen symboli i przepychu, widoczny zarówno w wystroju kościołów czy magnackich pałaców, jak i w literaturze, kazaniach i epitafiach. W sferze kultury i religii Rzeczpospolita wciąż była barwnym, wielonarodowym państwem. W miastach współegzystowali Polacy, Litwini, Rusini, Żydzi, Niemcy i Ormianie. Barokowe bogactwo kościołów i dworów szło w parze z głęboką duchowością i rozkwitem sztuki sakralnej. To właśnie ten kontrast pomiędzy upadkiem politycznym a rozwojem kultury czyni XVII w. tak fascynującym.

Rzeczpospolita 1670 r. była więc państwem o wspaniałej przeszłości i niepewnej przyszłości – krajem pełnym sprzeczności, w którym obok ruin i biedy kwitła sztuka, a obok politycznego chaosu rodziła się legenda przyszłego króla Jana III Sobieskiego.

PRZETASOWANIA W EUROPIE

Poza granicami Rzeczypospolitej również wrzało, a 1670 r. zwiastował kolejne wielkie wojny w Europie. Kontynent wchodził w epokę absolutyzmu, w której coraz więcej monarchów skupiało pełnię władzy w swoich rękach. Na zachodzie Ludwik XIV, Król Słońce, budował potęgę Francji, podporządkowując sobie arystokrację i szykując się do ekspansji terytorialnej. W 1670 r. w Dover zawarł tajne porozumienie z królem Anglii Karolem II Stuartem, zyskując sojusznika w planowanym ataku na Holandię. Po zawarciu podobnych układów ze Szwecją, Münsterem i Kolonią droga do francuskiej ekspansji była otwarta, a już dwa lata później wybuchła wojna zwana holenderską, w której Francja starła się z koalicją hiszpańsko-austriacko-lotaryńską.

W tym samym czasie Anglia przeżywała okres względnej stabilizacji po burzliwych latach republiki i dyktatury Cromwella. Londyn, odbudowany po wielkim pożarze sprzed czterech lat, stawał się jednym z najważniejszych centrów kulturalnych Europy. W polityce zagranicznej Anglicy wzmacniali swoją pozycję kolonialną. W 1670 r. zawarli z Hiszpanią traktat madrycki, który potwierdził ich prawa do Jamajki i Kajmanów oraz zapewnił swobodę handlu w basenie Morza Karaibskiego. Na wschodzie car Aleksy I Michajłowicz umacniał pozycję Moskwy, centralizując władzę i przygotowując grunt pod przyszłe reformy Piotra I. Imperium osmańskie wciąż było potęgą, a jego armie szykowały się do kolejnych wypraw przeciwko Habsburgom i państwom Europy Środkowej. W Rzymie nowo wybrany papież Klemens X próbował łagodzić napięcia między potęgami katolickimi i zmontować koalicję przeciwko Turkom.

W skali globalnej trwała rywalizacja kolonialna między Hiszpanią, Anglią a Holandią. Europejskie floty opływały świat, walcząc o wpływy w obu Amerykach, Afryce i Azji. Nowe surowce i trasy handlowe napędzały gospodarki oraz dawały początek nowym potęgom morskim. Rzeczpospolita, choć wciąż rozległa, zaczynała odstawać politycznie i gospodarczo od zachodnich potęg. Jej system wolnej elekcji i nieustanne kłótnie sejmikowe wydawały się coraz bardziej anachroniczne w porównaniu ze scentralizowanymi monarchiami Europy.

> W 1670 r. Rzeczpospolita była państwem o wspaniałej przeszłości i niepewnej przyszłości – krajem pełnym sprzeczności, w którym obok ruin i biedy kwitła sztuka, a obok politycznego chaosu rodziła się legenda przyszłego króla Jana III Sobieskiego

STEREOTYPY I RZECZYWISTOŚĆ

Obraz XVII-wiecznej Polski w popkulturze często sprowadza się do sarmackiej fantazji: szlachcic w kontuszu z kielichem w dłoni, szabla u boku, uczta, biesiada i bijatyka w karczmie o urażony honor. Tymczasem rzeczywistość tamtych czasów była bardziej złożona. Owszem, szlachta ceniła wolność, tradycję i gest, ale wielu jej przedstawicieli interesowało się nauką, gospodarką czy polityką i szczerze troszczyło o losy Rzeczypospolitej. W miastach rozwijało się życie rzemieślnicze i handlowe, a wielonarodowe społeczności złożone z Polaków, Żydów, Niemców czy Ormian tworzyły bogaty pejzaż kulturowy. Z kolei na wsiach chłopi, przywiązani do ziemi i obowiązków pańszczyźnianych, dźwigali na swoich barkach ciężar odbudowy kraju po wojnach i zarazach.

Nie był to świat wyłącznie „rubaszny" i „wesoły", lecz także surowy, niepewny i pełen dramatów. Obok dworskiego przepychu i barokowego splendoru istniała codzienność pełna biedy, głodu i niepewności jutra. Właśnie w tym kontrastowym połączeniu tkwi prawdziwy urok XVII w. – mieszanka przepychu i upadku, heroizmu i groteski, idealizmu i politycznej bezsilności.

KOGO ŚMIESZY TA SATYRA?

Serial „1670" nie jest rekonstrukcją historii, lecz próbą satyrycznej opowieści o polskości. Na pierwszy rzut oka wyśmiewa dawne czasy i sarmackie przywary, ale w istocie stanowi komentarz do współczesności, ubrany w kostium dawnej Rzeczypospolitej. Jego humor można oceniać różnie. Dla jednych śmianie się z narodowych przywar może być okazywaniem dystansu, tak potrzebnego w dzisiejszych czasach. Inni potraktują piętnowanie zaściankowości jako atak na wartości, które są ważne dla dużej części społeczeństwa.

Jedno jest pewne: serialu „1670" nie należy traktować jako opisu XVII-wiecznej Rzeczypospolitej, ale satyrę na współczesność ubraną w szlacheckie kostiumy.

eprasa.pl 0506e848ed



Zagrał już Chopina i piekarza, który trafił do Teatru TV, a także rozsławionego przez Netfliksa szlachcica. Na Spotify śpiewa, na YouTube reżyseruje. Teraz Filip Zaręba pokaże w kinie, co znaczy „LARP. Miłość, trolle i inne questy”

Zagraj to po swojemu, Filipie

Fot. Dagmara Szewczuk

eprasa.pl 0506e848ed



JOLANTA GAJDA–ZADWORNA



Warto zapamiętać to nazwisko: Zaręba. Filip Zaręba. Ma 24 lata, jeszcze studiuje w Akademii Sztuk Teatralnych w Krakowie, a już może się pochwalić bardzo różnymi artystycznymi doświadczeniami. W tym tygodniu przedstawi się widzom jako odtwórca głównej roli w filmie „LARP. Miłość, trolle i inne questy".

MOC FANTASY

W pełnometrażowym fabularnym debiucie Kordiana Kądzieli (reżysera hitowego serialu „1670") zagrał Sergiusza, fana LARP (ang. live action role-playing), czyli terenowej wersji gier fabularnych. Ich uczestnicy wspólnie tworzą i przeżywają opowieści spod znaku magii i miecza, wcielając się w wybrane przez siebie role.

Ucieczka w świat fantasy pozwala bohaterowi zyskać siłę i pewność siebie, której brakuje mu w codziennym życiu. Jako wojowniczy elf łucznik może się odciąć od szkolnych prześladowców i surowego ojca. Z czasem odkrywa też w sobie moc, by otworzyć się na miłość w realnym świecie.

BYĆ JAK LEGOLAS

„LARP. Miłość, trolle i inne questy" w rozbrajająco pozytywny sposób rozbroił widzów 50. Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni, a wcześniej Międzynarodowego Festiwalu Filmowego w Montrealu (nagroda za scenariusz). Dla odtwórcy głównej roli był szansą na pokazanie wielowymiarowości aktorskiego i młodzieńczego ADHD, a także możliwością wejścia w – dosłownie – fantastyczny świat.

– Czułem się jak na planie „Gry o tron" – stwierdza aktor. – To było wspaniałe! Zagrałem w dwóch czy trzech LARP-owych scenach, na potrzeby których musiałem nauczyć się nie tylko bitewnego układu choreograficznego, lecz także walki mieczem i strzelania z łuku. Miałem świetny kostium i blond perukę, pod którą mogłem schować swoje włosy, których nie lubię. Ach, te kompleksy... Wyglądałem epicko, trochę jak Legolas – dodaje.

HOLLYWOOD W ZIĘBICACH

Pierwszoplanowa rola w „LARP..." – u boku takich aktorów, jak m.in. Martyna Byczkowska, Andrzej Konopka, Bartłomiej Topa, Michał Balicki, Edyta Olszówka czy Andrzej Kłak – to dla Zaręby mocne kinowe wejście.

– Nie sądziłem, że będę debiutował, grając od razu główną rolę. Po tylu przegranych przeze mnie castingach nie wierzyłem, że to się może zdarzyć. A jednak!

Aktor komplementuje Kordiana Kądzielę, który stworzył – jego zdaniem – magiczny świat, łączący w sobie „to, co najlepsze w amerykańskich produkcjach, ze Śląskiem". – To takie Hollywood w Ziębicach. A przy tym Kordian nie próbuje niczego kopiować czy udawać, tylko tworzy własny, oryginalny język – docenia.

O doświadczeniach swojego bohatera mówi: – Nie spotkałem się nigdy z aż takim prześladowaniem jak Sergiusz, nikt nie rzucał we mnie jedzeniem, ale w szkolnych czasach rówieśnicy nieraz wykorzystywali moją wrażliwość. Cieszy mnie, że za sprawą tego filmu załatwiłem parę swoich spraw. W kilku monologach mogłem powiedzieć to, co chciałbym powiedzieć w prawdziwym życiu, ale z jakichś powodów jeszcze tego nie zrobiłem – dodaje.

NABIERANIE ODWAGI

Aktor, który w filmie „LARP..." dosłownie rozsadza ekran, także poza kinem kipi energią oraz twórczymi pomysłami. Na platformie Spotify jako „Stiopa" śpiewa autorskie piosenki. Na YouTube można zobaczyć wyreżyserowany przez niego pełnometrażowy film „Cyrkonia". Nakręcił go w Busku-Zdroju i nazywa „listem miłosnym do rodzinnego miasta". Szykuje się do kolejnego, już bardziej profesjonalnego reżyserskiego projektu – kinowo-musicalowego. Za „rok, może dwa" chce go nakręcić, tym razem w górskiej scenerii.

Na razie może się pochwalić osiągnięciami teatralnymi. Za rolę Chopina w dyplomowym spektaklu „Fortissimo" dostał nagrodę na tegorocznym 43. Festiwalu Szkół Teatralnych w Łodzi. Dziesięciominutową scenkę wymyślił sam, a potem wyśpiewał w niej swoją kwestię. Będziemy go też mogli zobaczyć (9 grudnia w TVP Kultura) w roli „piekarza na M." w telewizyjnej wersji nagrodzonego podczas 14. Forum Młodej Reżyserii spektaklu „Pieśni piekarzy polskich" w reż. Klaudii Gębskiej.

– Jestem śpiewającym aktorem – mówi o sobie Zaręba. Warto jednak przypomnieć, że twórcy hitowego serialu „1670" to jemu zaproponowali zagranie w drugim sezonie Stanisława Adamczewskiego, syna Jana Pawła. – Zastępując Michała Balickiego, wszedłem w czyjeś buty. To bardzo trudne i stresujące doświadczenie. Na dodatek w serialu takiego formatu i z taką aktorską obsadą. Reżyserzy mówili: „Graj po swojemu". Tak też zrobiłem. I ze sceny na scenę nabierałem odwagi – sumuje Zaręba.

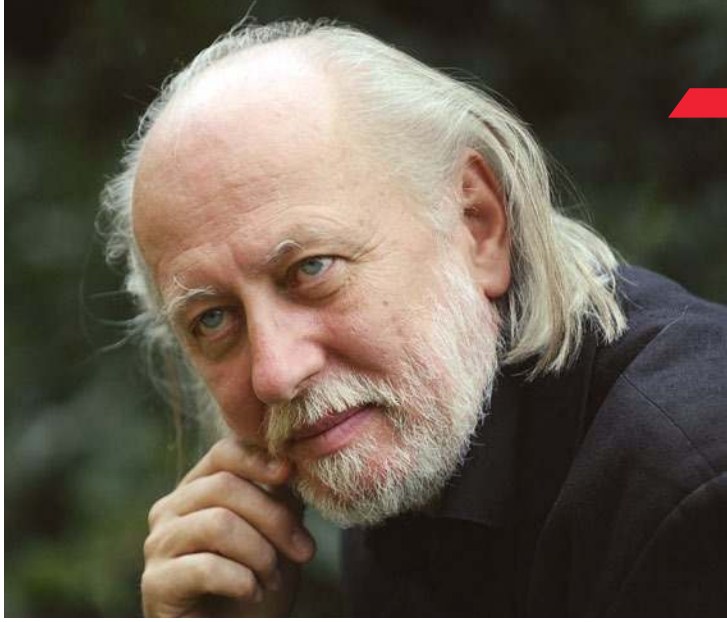
Ciekawe, dokąd ta wzmocniona odwaga i kipiąca siła kreacji doprowadzą aktora w kolejnych realizacjach.

Fot. Dagmara Szewczuk

eprasa.pl 0506e848ed

Prorok nadchodzącego końca

Literackiego Nobla znów przyznano znakomitej literaturze, a dokładnie Węgrom i ich najważniejszemu współczesnemu pisarzowi, którym jest László Krasznahorkai. Choć to, o czym pisze, nie napawa zbytnim optymizmem



Prowincjonalne Węgry pogranicza, ciche zapomniane miasteczka, a w nich ludzie pozostawieni na marginesie głównego nurtu życia. Ta klaustrofobiczna i depresyjna atmosfera nadchodzącego końca przywołuje – zdaniem znawców – skojarzenia z pisarstwem Franza Kafki, Brunona Schulza, Samuela Becketta, tak uniwersalnym i zrozumiałym także dla innych kultur. Tacy są też bohaterowie książek Lászla Krasznahorkaia, laureata tegorocznej Nagrody Nobla w dziedzinie literatury. Są – jak tłumaczy – „uwięzieni w mrokach egzystencji". O sobie zaś mówi, że jest skrybą, „kronikarzem epoki, z której kultura wysoka zniknęła już na dobre", choć nie została pokonana, ale „trwale uszkodzona przez rynek".

Po honorach rozdawanych przez szwedzką Akademię z wyraźną intencją polityczną jej tegoroczny werdykt pozytywnie zaskakuje. Możemy wręcz zakrzyknąć – znów doceniono literaturę i jej twórcę, a nie to, co się mówi w prasie na temat „ginącej planety" lub zagrożenia „prawicowym populizmem". Choć dopiero się okaże, czy przed kwietniowymi wyborami nie zostanie użyty politycznie.

Jak podkreślił w wygłoszonej laudacji przewodniczący Anders Olsson, Krasznahorkai jest „wielkim pisarzem epickim, osadzonym w środkowoeuropejskiej tradycji sięgającej od Kafki do Thomasa Bernharda". Rzeczywiście jest bliski naszej wrażliwości i doświadczeniu historycznemu. W Polsce jest znany, wielokrotnie spotykał się z czytelnikami, a autorką przekładów jego książek jest Elżbieta Sobolewska.

Pochodzi z Gyuli, miasta położonego na węgiersko-rumuńskim pograniczu. Mieszkał w Berlinie Zachodnim i w Azji, jest też muzykiem. Jednak jego twórczość nie ma nic wspólnego z klimatem gulaszu i wina, choć dziś jest jednym z najbardziej znanych węgierskich pisarzy współczesnych, o rozpoznawalnym stylu. A Nobel z pewnością uczyni go jeszcze bardziej interesującym dla czytelników, wydawców i ludzi układających repertuary kin studyjnych.



Jego najbardziej znaną powieścią jest bowiem „Szatańskie tango" (1985), które – także za jego sprawą – zostało przełożone na język filmu dla zaprzyjaźnionego z nim reżysera Béli Tarra, uważanego za wizjonera węgierskiego kina. Zresztą Krasznahorkai stworzył z nim duet twórczy, pisząc wiele innych scenariuszy, jak m.in. „Potępienie" (1989), „Koń turyński" (2011) czy „Harmonie Werckmeistera" (2000) zekranizowane na podstawie „Melancholii sprzeciwu", jego innej ważnej książki.

„Tango" to jednak dzieło najważniejsze. Opowiada o społeczności wioski zapomnianej przez świat, która w poczuciu braku sensu ulega dekadencji i moralnemu upadkowi. W pewnej chwili zjawia się tam jednak człowiek przyjęty niemal jako prorok, a w każdym razie ktoś, kto pomoże jej wydobyć się z okowów fatalnego losu. Jednak zamiast oczekiwanego Mojżesza przybysz okazuje się policyjnym donosicielem.

Podobna i bliska klaustrofobii atmosfera powraca też w znanej również nad Wisłą „Melancholi sprzeciwu" (1989), której oś narracyjna została skonstruowana na relacji między emerytowanym nauczycielem szkoły muzycznej Eszterem a listonoszem Janosem Valuską. Także tu nieco surrealistyczna opowieść toczy się w dekoracjach obracającego się w ruinę miasteczka, w alkoholowych oparach największej mordowni w okolicy, a spór dzielący głównych bohaterów dotyczy kwestii, czy naturalnym stanem świata jest chaos, czy też porządkuje go jakaś prawidłowość.

Również w „Wojnie i wojnie" (1999) czytelnik jest prowadzony przez gąszcz mitologicznych i filozoficznych znaczeń czy literackich nawiązań. Opowieść wszak bezpośrednio nawiązuje do odnalezionego przypadkowo przez głównego bohatera rękopisu z czasów II wojny światowej.

W książkach Krasznahorkaia pojawiają się więc podobne do siebie typy małych ambicjonerów, nieudaczników, prowincjonalni mędrcy oraz tłum ulegający manipulacjom fałszywych proroków. Jak podkreślają fachowcy – oto małomiasteczkowe Węgry, upodlone dodatkowo przez komunizm.

Krasznahorkai jest drugim Węgrem, który zdobył Nobla, po nieżyjącym już Imre Kertészu, który został nim uhonorowany w 2002 r. Choć tym, który najbardziej na niego zasłużył, był z pewnością Sándor Márai.

Maciej Walaszczyk

Fot. Gyula Czimbal/PAP/EPA

eprasa.pl 0506e848ed





HITY i KITY ZAREMBY

Krystyna Skarbek nadal tajemnicza

„Skarbek" to symbol polskich ambicji, aby wprowadzić swoich wojennych bohaterów do świadomości świata. Wyszedł film co najwyżej średni. Ale próbować warto, cel jest zbożny

Nazwisko Krystyny Skarbek, podobno perfekcyjnej agentki brytyjskiego wywiadu, pojawiało się z przesłaniem: oto postać, wystarczy zrobić o niej film. Jak przekonano do tego brytyjskiego reżysera Jamesa Marquanda, mało znanego, ale jego ojciec nakręcił kiedyś znakomitą szpiegowską „Igłę"? Film, który powstał, jest brytyjsko-polską koprodukcją. Dokładały się do niego Polska Fundacja Narodowa i Polski Instytut Sztuki Filmowej. Kręcono go w Polsce. Polska jest część obsady.

Nie do końca wiem, dlaczego angielski tytuł brzmi „Partisan", co oznacza stronnika albo partyzanta. Krystyny Skarbek, córki polskiego arystokraty i żydowskiej bankierówny, nie da się nazwać „partyzantką", choć w pewnym momencie jest zmuszona przyłączyć się do partyzantów. Dodajmy – francuskich.

Scen dotyczących Polski jest tu nie za wiele. Owszem, Krystyna pojawia się na chwilę w Warszawie, mając już wcześniej doświadczenia kurierki tatrzańskiej. Chce wywieźć z kraju matkę. To się nie udaje. W tych scenach dobrze uchwycono naturę niemieckiej okupacji w Polsce. Ale to kilka migawek.

Potem o Polsce nie mówi się już prawie w ogóle. O tym, że Skarbkówna domagała się przerzucenia do ojczyzny pod koniec wojny, dowiemy się z napisów. Wadą filmu jest brak czytelnej ekspozycji. Nie wiemy, skąd wzięła się bohaterka jako brytyjska agentka. Nie znamy motywacji. Sekwencja w Budapeszcie, kiedy udaje prostytutkę u boku zmarłego angielskiego emisariusza polskiego pochodzenia, jest szczytem braku klarowności.

Przedstawia nam się ją jako twardzielkę rodem z jakiegoś cofniętego w przeszłość „Legionu samobójców", która uprawia seks z mężczyzną, przykładając mu nóż do gardła. Nie żądam, aby była ideałem. Ale wypada to sztucznie. Ot, scenarzysta wymyślił, jak ją „ukontrowersyjnić".

Zasadniczą częścią filmu jest jej cokolwiek niejasna wyprawa do Francji tuż przed lądowaniem w Normandii. Niejasna, bo w scenariuszu mamy sporo chaosu. Tu dostajemy zarazem trochę ciekawych spostrzeżeń dotyczących natury wojny niszczącej jednostki. Któryś z bohaterów zarzuca Krystynie, że nie tyle obchodzi ją sprawa, ile czyste emocje. Ale przecież szuka zemsty za matkę.

Za to dowiadujemy się, jak potężną partyzantką dysponowali w 1944 r. Francuzi. O tym, że jeszcze przed inwazją aliantów byli zdolni wyzwalać całe miejscowości, nie słyszałem, ale nie pretenduję do historycznej wszechwiedzy. Apokaliptyczne sceny niemieckiej klęski robią skądinąd wrażenie.

W efekcie nie rozszyfrujemy panny Skarbek. Czy tajemnica to słabość filmu? Niekoniecznie, ale nawet ją można było zarysować lepiej. Pointą jest jej powojenny los, kiedy ze skutecznego szpiega (szpiegini?) zmienia się w sprzątaczkę. Ot, przypadek wielu ludzi z polskiej emigracji. Szkoda, że Brytyjczyk nie rozwinął tego oskarżenia wobec swojej ojczyzny.

Atrakcją ma być Morgane Polanski, córka Romana Polańskiego i francuskiej aktorki Emmanuelle Seigner, w roli tytułowej. Nie gra źle, pewna niewyrazistość jej postaci, to wina scenariusza. Mamy świetne rólki Agaty Kuleszy (matka Krystyny) i Piotra Adamczyka (demoniczny SS-man). Mnie rozrzewnił 82-letni Malcolm McDowell w roli zwierzchnika Skarbkówny. To dawna gwiazda kontestatorskich filmów, takich jak „Mechaniczna pomarańcza" Stanleya Kubricka czy „Jeżeli" Lindsaya Andersona, a potem ozdoba połowy anglosaskich horrorów i filmów akcji. Upiorną fizjonomię zachował do dziś.

Piotr Zaremba

Fot. Media Squad Distribution



„ZNACHOR" ODROBINĘ POPRAWIONY

Drugie życie dostał film „Znachor" w najnowszej wersji Netflixa, gdzie odniósł zresztą sukces frekwencyjny. Teraz wkracza do telewizji, konkretnie do Polsatu

Jest okazja, aby się nim ponownie zająć. Bo cały czas budzi emocje. Nie w zderzeniu z powieścią Tadeusza Dołęgi-Mostowicza ani z pierwszą przedwojenną adaptacją filmową – w konfrontacji z wciąż kultowym filmem „Znachor" Jerzego Hoffmana z 1989 r.

Ostatnio przeczytałem wpis znanej dziennikarki, która do dziś nie może przeboleć kluczowych netflixowych zmian w porównaniu z oryginałem, choćby porzucenia Kresów Wschodnich jako miejsca większości akcji. To do kresowej wsi trafiał doktor Wilczur po pobiciu i utracie pamięci, nawet w filmie z czasów PRL. Michał Gazda, reżyser obecnej wersji, przeniósł akcję w okolice Radomia. Nie bardzo wiadomo, dlaczego. Po netflixowej premierze wskazywałem na rozliczne nieścisłości w przedwojennych realiach, żeby było nowocześnie. Najbardziej mnie uwierało, że Marysia, dziewczę zmuszone do samodzielności, ale jednak skromne, szybko poszło do łóżka z hrabiczem Czyńskim. Ani Dołęga-Mostowicz, ani Hoffman tego nie założyli.

Miałem na ten temat zabawną wymianę zdań z reżyserem filmu, który mnie przekonywał, że przedwojenna Polska nie była aż tak bardzo tradycyjna w obyczajach, jak się nam wydaje. Moja mama, rocznik 1930, była nieślubnym dzieckiem, więc powinienem się zgodzić. Ale moja babcia związała się z żonatym mężczyzną w realiach Warszawy, a tu mała miejscowość...

Zarazem ten nowy, ładnie nakręcony film jest zabawnie niespójny co do społecznych przesłań. Oto kiedy Michał, przyjaciel Marysi z dzieciństwa, ulega wypadkowi przy pracy, winni są posiadacze. Już myślimy, że będzie erupcja tak modnej dziś „historii ludowej". Ale po rozpoznaniu w genialnym parobku Kosibie prof. Wilczura kończy się weselnym zbrataniem wszystkich stanów. Hrabiostwo Czyńscy obok Zośki, wdowy po młynarzu. Lud, panowie i jeszcze Żydzi.

Ten film ma atut. Jest nim charyzmatyczny Leszek Lichota w roli Wilczura-Kosiby. Dorównuje Jerzemu Bińczyckiemu, choć niektórzy uznają to za bluźnierstwo. Maria Kowalska (Marysia) i Ignacy Liss (hrabicz Czyński) przypominają parę współczesnych nastolatków. Ale Anna Szymańczyk (młynarzowa) i Łukasz Szczepanowski (Michał) są rozkosznie ludowi i odrobinę staroświeccy.

Fot. Netflix



„Melodramat", czyli egzorcyzmowanie Hasa z Holoubkiem

„Melodramat", spektakl Anny Smolar wystawiony w 2023 r. w Teatrze Powszechnym, dostał drugie życie w telewizji. To wariacje wokół filmu „Pętla" Wojciecha Hasa. Lewicowy warszawski teatr w swoim mniemaniu ten film nicuje

Oto zajawka Teatru Powszechnego: „Po 60 latach kontakt z prozą Hłaski i słynną adaptacją »Pętli« w reżyserii Wojciecha Jerzego Hasa uderza archaicznością stereotypów oraz teatralną grą filmowego amanta i heroiny (w rolach Kuby i Krystyny – Gustaw Holoubek i Aleksandra Śląska). W 2023 r. żyjemy w kompletnie innym świecie, który obieramy jak cebulę z kolejnych warstw patriarchalnej władzy".

Żeby sprostać tej ideologicznej perswazji, przypomniałem sobie film z 1957 r. Nie jest to melodramat, lecz posępna przypowieść o alkoholizmie, pierwsza w polskim kinie. Oskarżanie go o „patriarchalizm" to nonsens. Fakt, wszystko kręci się tu wokół mężczyzny, kobieta poświęca się dla niego. Tyle że wtedy, w ubogiej powojennej Polsce, ten problem naprawdę dotyczył na ogół facetów. Dziś być może jest inaczej.

Czy forma jest archaiczna? Może miejscami. Jednak kiedy w pierwszej scenie udający Hasa Michał Czachor instruuje udającą Śląską Karolinę Adamczyk, a my patrzymy niby na kręcenie tamtego filmu, dostajemy kilogram przesady. Ani Śląska, ani Holoubek (tu w wykonaniu Andrzeja Kłaka) nie grali tak manierycznie, w stylu kina międzywojennego.

Powszechny, a w ślad za nim dysponenci Teatru Telewizji, zapowiadali, że spojrzymy na całą historię bardziej oczami Krystyny. Długo nie sposób doczekać się takiej korekty. Zamiast tamtej pary oglądamy parę facetów, potem z kolei parę kobiet. Mężczyźni noszą imię Krystyna, kobiety także. W scenie teatru w teatrze spektakl zakłóca pijana aktorka o imieniu Kuba. Pyszna to zabawa, ale nie znalazłem w niej spełnienia feministycznej zapowiedzi.

Potem oglądamy trochę scenek małżeńskich, nawet wiarygodnie oddanych, choć nieodkrywczych. Próbuje się nas przekonać, że Kuba Holoubka heroicznie popełnił samobójstwo, ale mężczyźni na ogół przeżywają, żeby zatruwać partnerkom życie. Na koniec – chyba w najlepszej scenie – Karolina Adamczyk gra kobietę wynajmującą dla siebie i dzieci mieszkanie po odejściu od męża. Wylicza cały katalog kobiecych lęków. To jednak nadal nie tyle rewizja, ile swoiste uzupełnienie.

Teatr Telewizji dopiero co pysznił się półmilionową widownią „Ksiąg sprośności" Macieja Wojtyszki. Tym razem dostaliśmy trudny, męczący, chwilami mętny spektakl, mający dowieść progresywnego nastawienia TVP w stanie likwidacji.

Fot. TVP

3 MIŁOŚCI

Zdarta dusza skóry



ROBERT TEKIELI

„Gdy modliliśmy się o przebaczenie oprawcom seksualnym, doświadczyłam pokoju, który trwa.

Aż niemożliwe, że ja to piszę, bo jestem ostatnia do składania świadectw".

Zmieniamy życie ludzi. Dajemy nadzieję. Radio, którego jeszcze nie ma w sieci – Niepokalana.FM – ale wokół którego już powstała kilkusetosobowa wspólnota modlitewna.

Od 1 sierpnia modlę się codziennie z widzami na moim kanale YouTube czterema częściami różańca od godz. 5.30 do ok. 7.00. I właśnie w trakcie tej modlitwy powstał projekt radia ewangelizacyjnego. I moc, łaska z góry już płynie strumieniami. Skąd pewność?

Dostałem takiego e-maila:

„Jestem różańcowa JoBi.

Obserwuję od lat Pana działalność w mediach i zaczęłam się modlić [z wami] o trzeźwość mojego męża.

Cudem jest, że wstaję rano i odmawiam różaniec, czego od dzieciństwa nie robiłam.

Cudem jest, że zaczynam przyjmować prawdę o sobie, przekraczając moje poczucie krzywdy.

Cudem jest post.

Nigdy nie pościłam, nawet piątkowy post był nie do przejścia.

Cudem jest moje poczucie przynależności do wspólnoty modlitewnej.

Gdy modliliśmy się o przebaczenie oprawcom seksualnym, doświadczyłam pokoju, który trwa.

Aż niemożliwe, że ja to piszę, bo jestem ostatnia do składania świadectw.

Pozdrawiam serdecznie i dziękuję,

Joanna".

I już wiecie, dlaczego robię webradio, którego kręgosłupem będą modlitwa i świadectwo. A po 19 miesiącach od startu będzie to normalne, uniwersalne radio z publicystyką, informacjami, muzyką, poradnictwem, choć dalej z modlitwą i świadectwem, radio ludzi wierzących, radio ratujące dusze, pomagające im się wzmacniać i formować, radio będące przygodą i rozrastającą się wspólnotą.

Idą trudne czasy. I nie chodzi o żadne „spiski i apokalipsy". Tak nazywam działalność wielu często prawicowych influencerów żywiących się ciemną materią. Zarabiających w sieci na budzeniu lęku, który przecież ma racjonalne podstawy. Ale podsycających ten lęk. Tworzących wspólnoty strachu. Bo idą trudne czasy. Bo Polska jest już w stanie wojny.

Znacie ich nazwiska. Czasami są to publicyści, zdałoby się, sensowni i zasłużeni. Zawsze po wysłuchaniu lub przeczytaniu ich wypowiedzi odbiorca dochodzi do wniosku, że polskiego państwa nie ma, że Rosjanie czy Chińczycy to ho, ho!

Przed Polską trudne czasy. Wierzący muszą zadbać o niewierzących, musimy wymienić elitę władzy, odbudować państwo, by kierowało się regułami cywilizacji wywiedzionej z Objawienia. Oparcie Nowej Rzeczypospolitej na trwałym fundamencie jest warunkiem przetrwania Polski i polskości

Jestem ostatnim zadowolonym ze stanu naszego państwa – ale w ich zaśpiewach nie chodzi o opis czy krytykę, a o żywienie złych emocji. Przyciągają fanów złudzeniem dostępu do jakiejś wiedzy tajemnej, niedostępnej profanom, a często zwyczajnie czerpią z konstruktów rosyjskiej lub chińskiej dezinformacji uwiarygadnianych fałszem i półprawdą udającymi fakty. Spajają te swoje wspólnoty „lepiej poinformowanych" poczuciem wyższości nad internetowym ludkiem. Dostępem do wiedzy ekskluzywnej, a w rzeczywistości są świadomymi lub nie pudłami rezonansowymi powielającymi spreparowane narracje, będące osią wrogich Polsce akcji dywersyjnych. Uczą swych odbiorców żywić się pogardą – a to do ciemnej masy polaczków, a to do ukrów, modernistów, tradsów czy zaszczepionych.

Celebryci żywiący się ciemną materią. Megapatrioci, hiperkatolicy. Ich działalność rodzi zwątpienie, chęć ucieczki z Polski, spycha ludzi ku rozpaczy. Ich kanały i profile to ambasady Syndykatu cienia. Często latami żyją w grzechach ciężkich i powoli osuwają się w kognitywne niziny. A ciemna strona świata duchowego hoduje w ich publiczności nienawiść, bo ostatecznym beneficjentem jest tu nieprzyjaciel natury ludzkiej. Zły duch nie chce, byśmy ufali w Opatrzność.

Grzech tout court osłabia ludzką naturę, a bywa i tak, że jego konsekwencje mogą niszczyć życie dorosłego człowieka, choć został zraniony we wczesnym dzieciństwie.

Drugi e-mail od JoBi:

„Od początku dzisiejszych rozważań różańca powracała do mnie myśl o moją introwertyczną naturę.

Zaczęły rodzić się pytania, z czego wynika taka postawa. Z czego wynika mój lęk przed ludźmi? Bo potrafię jechać przystanek dalej, żeby nie iść z sąsiadką do domu...

Wtedy zaczęłaś rozważanie o duszy, która została pozbawiona skóry przez trudne doświadczenia seksualne w dzieciństwie.

W tym momencie doświadczyłam głębokiego pokoju.

Doświadczyłam zrozumienia poprzez dotyk miłości.

eprasa.pl 0506e848ed



Doświadczyłam MOCY RÓŻAŃCA.
Chwała Panu!

Tak, mam na imię Joanna. Czytam jeszcze raz, co napisałam i wszystko się wciąż zgadza. Nie było pisane pod wpływem emocji, tego chciałabym uniknąć.

Więc wyrażam zgodę na posłużenie się moim doświadczeniem modlitwy różańcowej.

Mogę dodać, że Bóg nie odebrał alkoholu mojemu mężowi. Ale sprawił, że moje serce nie jest już awanturne, co jest odpowiedzią na prośbę o pokój w rodzinie.

Pozdrawiam serdecznie,
Joanna".

Moc modlitwy, moc przebaczenia. Moc postu, ascezy – modlitwy ciała. Pielgrzymki, dróżki kalwaryjskie, duchowa siła biorąca się z wygranej walki z sobą samym, z kiełznania ciała, co owocuje duchowymi darami, uzdrowieniem z narkomanii, rozpaczy, ze skutków molestowania seksualnego w dzieciństwie, skutków gwałtu i każdego innego rodzaju PTSD, ze zranień będących formą reakcji na traumę, która przekroczyła zdolności człowieka do radzenia sobie i do adaptacji. Zderzamy się z sytuacjami, które niszczą nas, zabijają, a na które nie mamy wpływu. Mąż alkoholik, żona odchodzi, dzieci nienawidzą, notorycznie nie mam pracy...

Dusze uzdrawia nadprzyrodzona miłość. Doświadczając jej, jestem w stanie przyjmować uzdrawiającą prawdę o sobie samym. To spływająca z góry miłość pozwala przekroczyć poczucie krzywdy osobie głęboko zranionej.

Będziemy ze słuchaczami Niepokalana.FM trenować mięśnie duszy, będziemy pomagać im w poddaniu się Jezusowej terapii. Po przebaczeniu oprawcom seksualnym Joanna doświadczyła pokoju, który trwa... Zabliźniać rany dusz złamanych, hodować nową skórę duszy zdartą gwałtem, molestowaniem, traumą ponad miarę...

Skąd wiem, że za mniej niż dwa lata stacja Niepokalana.FM będzie wśród pięciu, siedmiu najlepiej słuchanych rozgłośni internetowych? Bo idą trudne czasy, a my mamy w ofercie prawdziwą nadzieję.

Jest jeszcze drugi powód. Zajmuję się radiem od 39 lat. Jestem twórcą i byłym dyrektorem programowym diecezjalnego Radia Józef z lat 2001–2007, czyli z okresu klasycznego z ks. Pawlukiewiczem i moim „Pocieszeniem i strapieniem" oraz Patrycją Michońską, Rafałem Porzezińskim, Pawłem Krzemińskim, Mirą Jankowską, Marylą Marchocką, Jackiem Racięckim i Kasią Supeł-Żaboklicką. Wychowałem dwa pokolenia dziennikarzy radiowych i menedżerów medialnych.

Jestem pomysłodawcą i twórcą formatu Polskiego Radia 24 (na przełomie 2015 i 2016 r.) oraz późniejszym zastępcą dyrektora tej anteny. Byłem zastępcą dyrektora pierwszego programu Polskiego Radia, Przewodniczącym Rady Programowej TVP.

Dziennikarstwo radiowe uprawiam od 1 kwietnia 1986 r. Rozpoczynałem w Alma Radio, niepodlegającym cenzurze radiowęźle Uniwersytetu Jagiellońskiego (do 1990 r.). Potem radiowa Jedynka („Zadzwońcie po milicję"), Radio Kolor, Radio Plus, radio Józef, PR24. Aktualnie jestem felietonistą Radia Maryja.

Jeśli Bóg poprzez fakty potwierdzi, że chce tego radia, że chce tego projektu ewangelizacyjnego, poświęcę mu cały swój czas i siły.

Co rano zapraszam do modlitwy na kanale Youtube „Tekieli: Otwórz oczy". Przed Polską trudne czasy. Wierzący muszą zadbać o niewierzących, musimy wymienić elitę władzy, odbudować państwo, by kierowało się regułami cywilizacji wywiedzionej z Objawienia. Oparcie Nowej Rzeczypospolitej na trwałym fundamencie jest warunkiem przetrwania Polski i polskości.

Zadaj sobie pytanie: czy moje serce skamieniało? Jeśli tak, zacznij pościć. I wcale nie chodzi tylko o jedzenie. A potem zadaj sobie drugie pytanie: czy przebaczyłem każdemu mojemu krzywdzicielowi? Jeśli nie, posłuchaj Modlitwy Pańskiej: „I odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom". To słowa Boga. Zaufaj.

Kochani, przekroczyliśmy półmetek przygotowań. Dziś spinamy playout z procesingiem dźwięku i serwerem mediów. Trwa zrzutka na start radia. Dzięki dwóm poprzednim zbiórkom są studio i sprzęt, mamy lokal i ludzi, potrzebujemy teraz środków, by odpalić transmisję.

Dołącz do wspólnoty, która powstała wokół modlitwy różańcowej. Zmieniaj świat we wspólnocie. Jałmużna zakrywa wiele grzechów. Współdziałając z nami, rodzisz życie. Zapraszam Cię do współtworzenia czegoś bardzo ważnego.

Do dziś zebraliśmy jedną trzecią z założonych 22 tys. zł. Dorzuć się na dwa laptopy studyjne, profesjonalny program graficzny, mikrofon kierunkowy, prace informatyczne, wygłuszenie ścian studia – właśnie wybieram rodzaj materiału wygłuszającego.

Wpłać na ratowanie dusz, na radio rodzące nadzieję. Niewiele dni po osiągnięciu celu zrzutki WYSTARTUJEMY. www.zrzutka.pl/9b354t – koniecznie udostępnij tę zrzutkę!

A jeśli już nas wspierasz –modlitwą, postem, ofiarowaniem cierpienia, wyrzeczeniem, jakąkolwiek formą modlitwy ciała, jeśli już wpłaciłeś na zrzutkę, proszę, ustaw STAŁE ZLECENIE na swoim koncie bankowym.

O losie radia zdecyduje stałe, comiesięczne wsparcie. Na pierwszym etapie potrzebujemy 30 tys. zł miesięcznie.

Numer konta Fundacji Brulionu:
17 2530 0008 2060 1085 9221 0001
z dopiskiem: „Na radio" lub: „Na cele statutowe". I KONIECZNIE podaj IMIĘ i NAZWISKO, inaczej kwota nie będzie traktowana przez fiskusa jako darowizna.

Bądź częścią wspólnoty, której modlitwa i działania zmieniają życie ludzi.

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 0506e848ed



BANKSY GLOBALNY GRAFICZNY ARTYSTA

Z siłą ulicznego przekazu

Jego prace znaleźć można na murach całego świata. Najwięcej jest ich w Wielkiej Brytanii, ale są też w Nowym Jorku i objętej wojną Ukrainie. Pojawiały się na Zachodnim Brzegu Jordanu i w Wenecji. Zadomowiły się w Krakowie, a teraz dotarły do Warszawy. W Soho Art Center otwarto właśnie wystawę „The Mystery of BANKSY – A Genius Mind".

Zaangażowany politycznie, satyryczny, antyestablishmentowy i od lat konsekwentnie anonimowy. Taki jest Banksy, urodzony w Anglii (najprawdopodobniej w Bristolu) artysta, który wyrobił sobie światową markę za sprawą bazującego na szablonach ulicznego graffiti.

Rozpoznawalność zyskał już w latach 90. ub.w., malując m.in. „The Mild Mild West" – wielkiego misia rzucającego koktajlem Mołotowa w policję. W styczniu 2001 r. pojechał do Meksyku, by muralowymi scenami wesprzeć walkę Zapatystowskiej Armii Wyzwolenia Narodowego. Dwa lata później na betonowej barierze oddzielającej Zachodni Brzeg Jordanu przedstawił zamaskowanego mężczyznę rzucającego bukietem kwiatów („Rage, the Flower Thrower"), a po kolejnych dwóch latach na palestyńskiej stronie muru namalował m.in. drabinę sięgającą szczytu muru i dziecko, które zabawkową łopatką wykopuje w ścianie dziurę.

W Nowym Orleanie na ruinach powstałych po huraganie Katrina (2008) stworzył serię prac. W początkach uchodźczej fali, w czasie weneckiego Biennale (2019), na kanale w dzielnicy Dorsoduro pojawiło się graffiti z dziewczynką w kamizelce ratunkowej. Dotarł też na objętą wojną Ukrainę, zostawiając w niej m.in. murale z małym chłopcem pokonującym dorosłego mężczyznę w stroju judo czy kobietą w masce gazowej stojącą na krześle i trzymającą gaśnicę.

Banksy przede wszystkim działa jednak na terenie Wielkiej Brytanii i USA. Jego najbardziej znany obraz „Dziewczynka z balonem" rozpoczął się jako seria graffiti w 2002 r. Pierwszy szablon z czarno-białą postacią wypuszczającą (lub sięgającą po) czerwony balon trafił na most Waterloo w South Bank w Londynie. Muralu nie ma już w tym miejscu, ale pozostał wyryty na ścianie tekst: „Zawsze jest nadzieja".



Z miesięcznych działań (w 2013 r.) na ulicach Nowego Jorku pozostało m.in. graffiti z chłopcem wymachującym młotkiem w kierunku prawdziwego hydrantu przeciwpożarowego. Wśród najnowszych, głośnych prac są m.in. „Game Changer" dedykowane personelowi szpitala w Southampton czy partyzancka akcja z wykorzystaniem szczurów – ulubionych zwierząt artysty – w londyńskim metrze.

Fenomen Banksy'ego doczekał się licznych publikacji i wystaw. Stała ekspozycja kopii jego prac znajduje się w Krakowie. Na wędrującej po świecie od 2021 r. wystawie „The Mystery of BANKSY – A Genius Mind", która dotarła właśnie do Warszawy, z instalacyjnym rozmachem prezentowanych jest ponad 150 motywów street artu – graffiti, fotografii, rzeźb, instalacji wideo oraz wydruków na różnych nośnikach, takich jak płótno, tkanina, aluminium, FOREX® i pleksi.

Czy twórcom wystawy udało się powiedzieć coś więcej o samym Banksym? Brytyjczyku „w przedziale wiekowym 45–50 lat", którego dzieła, zauważane na ulicach globalnych metropolii, pną się w górę na prestiżowych aukcjach?

W 2018 r. kultowa grafika „Dziewczynka z balonikiem" została sprzedana za 1,2 mln euro tylko po to, by momentalnie zostać pociętą przez ukrytą niszczarkę. Rok później rekordowe 11,1 mln euro osiągnął obraz „Parlament zdecentralizowany".

Banksy, znany również z reinterpretacji kultowych dzieł, sprzedał m.in. pracę „Pokaż mi Moneta (za 8,4 mln euro), na której idyllę obrazu „Japoński mostek" niszczą śmieci kołyszące się pośród lilii wodnych. Kolejny rekord padł w marcu 2021 r., gdy wspomniany „Game Changer" (obraz przedstawiający chłopca, który wyrzucił ulubionych superbohaterów: Batmana i Spider-Mana i bawi się nową postacią – pielęgniarką w masce chirurgicznej i pelerynie) – osiągnęło blisko 20 mln euro. Na wyraźne życzenie Banksy'ego zyski zostały przekazane na rzecz całej brytyjskiej służby zdrowia.

Jolanta Gajda-Zadworna

Wystawa „The Mystery of BANKSY – A Genius Mind" w warszawskim Soho Art Center potrwa do 11 stycznia 2026 r.

Fot. Leif Piechowski/materiały prasowe

eprasa.pl 0506e848ed



SŁODKO-SŁONY

Dyniowa uczta

ANNA MONICKA

Po zjedzeniu kilkudziesięciu kilogramów dyń – na spółkę z córką – poczułam się wreszcie nasycona ich smakiem. Ostatnim akordem była kremowa zupa z czterech upieczonych Hokkaido, marchewek, batatów, czosnku i imbiru, doprawiona mleczkiem kokosowym i sokiem z pomarańczy oraz rozgrzewającą i wonną garam masalą. Nie dość, że dokładnie zmiksowana, to jeszcze przetarta przez specjalne, bardzo gęste sitko, żeby była delikatna i aksamitna. Uprażyłam do niej na suchej patelni pestki dyni i zaprosiłam syna z żoną. Myślałam, że dziesięciolitrowy sagan wystarczy nam chociaż na jeszcze jeden obiad, ale wszyscy rzucili się na dokładki z takim entuzjazmem, że po godzinie wylizywaliśmy dno garnka. Córka natychmiast zamówiła identyczną zupę na swoje 18. urodziny, a syn z żoną stwierdzili, że w sumie mogłabym podać dyniówkę także na Boże Narodzenie, bo przejadły im się już barszcze i grzybowe.

Uznałam, że wobec tego zrobię sobie przerwę od dyń, ale nie wytrwałam długo w tym postanowieniu, bo właścicielka ulubionego zieleniaka przywiozła coś, czego jeszcze nie widziałam. Gigantyczne zielone ogóry, grube i długie na ponad metr. Całego bym nie udźwignęła, nawet z połówką ledwo dotoczyłam się do samochodu. Okazało się, że to jakaś nowa odmiana makaronowa, złocista w środku i prawie bez pestek. Nieco podobna z wyglądu do Piena Lunga di Napoli, ale z mniej zwartym miąższem. Sprzedawczyni nie wiedziała, jak ją przyrządzić, bo jeszcze nie miała do czynienia z takim cudakiem.

Obejrzałam sobie ogóra dokładnie i postanowiłam zrobić z niego steki w cebulce. Jedne pieczone, drugie smażone, żeby porównać, które wyjdą smaczniejsze. Z jednej czwartej dyni wyszło tyle półplastrów, że zapakowałam całą dużą blachę i największą patelnię. Krojenie nie było problemem, bo skórka jest delikatna, a wnętrze dość kruche. Nasmarowane oliwą kawałki, oprószone solą z chilli, smażyły się z cebulką mniej niż pół godziny. Można je przewracać jak kotlety, bo się nie rozpadają. Na koniec podlałam steki sosem teriyaki i podałam z pełnoziarnistym makaronem. Jedne i drugie smakowały obłędnie, chociaż smażone okazały się bardziej wyraziste.

Jeśli zobaczycie gdzieś wielką zieloną dynię makaronową – bierzcie. Ma jeszcze jedną zaletę – kosztuje niecałe 6 zł za kilogram.

Fot. Shutterstock



WILCZYM OKIEM

Bananowce i palmy

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Ten tekst stanowi *post scriptum* do niedawnego artykułu o roślinach inwazyjnych. Ostatnio miałem okazję podziwiać piękny gaj bananowców. W Polsce. Bardzo intrygujący widok i doświadczenie egzotyki, zaledwie parę lat temu zupełnie niewyobrażalnej w naszym kraju, do niedawna charakteryzującym się dość surowym klimatem.

Klimat się jednak zmienia, ludzie coraz więcej podróżują, rozwija się handel międzynarodowy i międzykontynentalny, a skutkiem tego w różne strony świata trafiają rośliny (i nie tylko), które jeszcze do niedawna nie miały szans zawędrować tak daleko.

Bananowce, które widziałem, należą do chińskiego gatunku *Musa basjoo*. Znoszą nasze zimy – na ogół wystarczy im obcięcie liści pod koniec sezonu wegetacyjnego i przykrycie namiotem z włókniny. Te, które widziałem, nie tylko miały bardzo ciekawe pod względem budowy kwiaty, typowe dla swojego rodzaju botanicznego, lecz także owoce. Nie są jadalne – te bananowce uprawia się jako rośliny ozdobne, a także dostarczające włókien.

Wyobraziłem sobie scenariusz, który zachodził zresztą w przypadku innych gatunków już wiele razy. Bananowiec jako ciekawostka. Bananowiec jako roślina coraz powszechniejsza w ogrodach. Pierwsze bananowce, które pojawiają się samorzutnie w różnych miejscach. Inwazja bananowców, zagłuszających dzięki szybkiemu wzrostowi i wielkim liściom zarośla tarniny, trzmieliny, leszczyny, co skutkuje wymieraniem związanych z tymi gatunkami grzybów, ptaków, motyli itp.

Z roślin egzotycznych widziałem już w Polsce także rosnącego i owocującego figowca oraz – to już nie rzadkość – palmę z rodzaju szorstkowiec. Szorstkowce zobaczyłem np. parę dni temu na zieleńcu w podgórskiej (!) miejscowości. Ta palma również jest odporna na mrozy; parę posesji dalej widniał szyld „Palmy, bananowce, rośliny egzotyczne".

Wszystko to wygląda bardzo ciekawie i atrakcyjnie. Obawiam się jednak, że w niektórych przypadkach scenariusz przedstawiony powyżej dla bananowca jest bardzo prawdopodobny. Chociaż więc bardzo lubię widok bananowców i palm, nie będę ich sadził. Bioróżnorodność, której zagrażają, to nie tylko ciekawostka przyrodnicza. To także cecha świata, dzięki której funkcjonuje ziemski ekosystem, a my możemy przeżyć, bo bioróżnorodność i jej zachowanie są kluczowe także dla rolnictwa.

Poza tym jeżeli będziemy mieli bananowce i palmy u siebie, a świat przestanie się różnić, podróże stracą swój urok.

eprasa.pl 0506e848ed

OGNIEM NA WPROST

Kupiańskie szczury



Andrzej Rafał Potocki

Ruski zachodzi w głowę, jak przełamać front – chwalić Boga – już od początku wojny. Co rusz pojawiają się nowe pomysły. Na ogół chybione i śmieszne, bo wynikają z bezradności i braku tzw. techniki. Przykładem są czołgi „żółwie", dodatkowo opancerzone przeciwko dronom w stalowe płyty, wyglądające niczym sunące przez pola bitew I wojny światowej stalowe olbrzymy – niemieckie A7V. Teraz do akcji w Donbasie wkroczyła kawaleria. „W okupowanej części Donbasu Moskal zaczął wykorzystywać konie do przemieszczania się po polu walki" – informuje ukraiński serwis Unian, powołując się na „The Moscow Times". Inicjatywa wyszła od dowódcy oddziału specjalnego Sztorm Z z 9. brygady, znanego pod pseudonimem „Han". Według nowej taktyki na jednym koniu porusza się dwóch żołnierzy – jeden trzyma wodze i kieruje zwierzaka łydkami oraz dosiadem, a drugi, siedząc za nim, odgrywa rolę tylnego strzelca. Ponad 35 lat jeździłem w kawalerii filmowej i wszystko musiałem robić sam. Co prawda koń wytrzyma na grzbiecie i 200 kg, ale traci manewrowość oraz skoczność. Owszem, ogólnie pomysł wydaje się słuszny, bo poczciwy zwierzak dobrze widzi w nocy, lepiej daje sobie radę w terenie niż pojazdy kołowe, a nawet gąsienicowe, i ponoć wyczuwa miny. Ciężko to komentować, bo nie miałem okazji jeździć konno po polu minowym i mam nadzieję, że nigdy nie będę musiał. W tej kwestii zdaję się na opinię bojców. Tylko „czort znajet", po co ten drugi z tyłu, w dodatku z własnym siodłem, zwiększając udźwig. Ale szukanie sensu w działaniach Moskali już od dawna mija się z celem. I z wódką, i bez wódki „nie razbieriosz".

À propos wódki – znowu głos dało pierwsze gardło Kremla (drugie to Maryśka Zacharowa, ale o niej później), a mianowicie Dmitrij Miedwiediew. Wiceprzewodniczący Rady Bezpieczeństwa Federacji Moskiewskiej, niegdyś prezydent, skomentował wypowiedź Donalda Trumpa dotyczącą przekazania Ukrainie pocisków Tomahawk. Prezydent Stanów Zjednoczonych, rozmawiając z dziennikarzami w Białym Domu, przyznał, że „w pewnym sensie właściwie" już zdecydował o potencjalnym przekazaniu Ukrainie pocisków samosterujących dalekiego zasięgu Tomahawk. Dodał przy tym, że musi ustalić, w jaki sposób byłyby one użyte, pytając, „dokąd zostaną wysłane i podkreślając, że to pytanie musi zostać postawione". Miedwiediew, dla którego nie ma trudnych pytań, szybko odpowiedział: „No przecież wiadomo: uderzą nimi w Paryż, Berlin, Warszawę. Nawet dla prezydenta USA powinno to być jasne..." – stwierdził po jednym głębszym. O tym, że Tryzuby mogą walnąć najpierw w Kreml, nawet się nie zająknął. Prawdopodobnie dlatego, że nie było przy nim koleżanki Zacharowej. Ale Maryśka jest zajęta, bo siedzi na Facebooku. Właśnie objawiła się u mnie na stronach – po angielsku, uśmiechnięta, zapraszając do swojej grupy, która ma już ponad 150 tys. obserwujących. FB blokuje posty moich znajomych z prawej strony, a Maryśka hula po polskich stronach jak chce. Brawo moderatorzy, brawo cenzura!

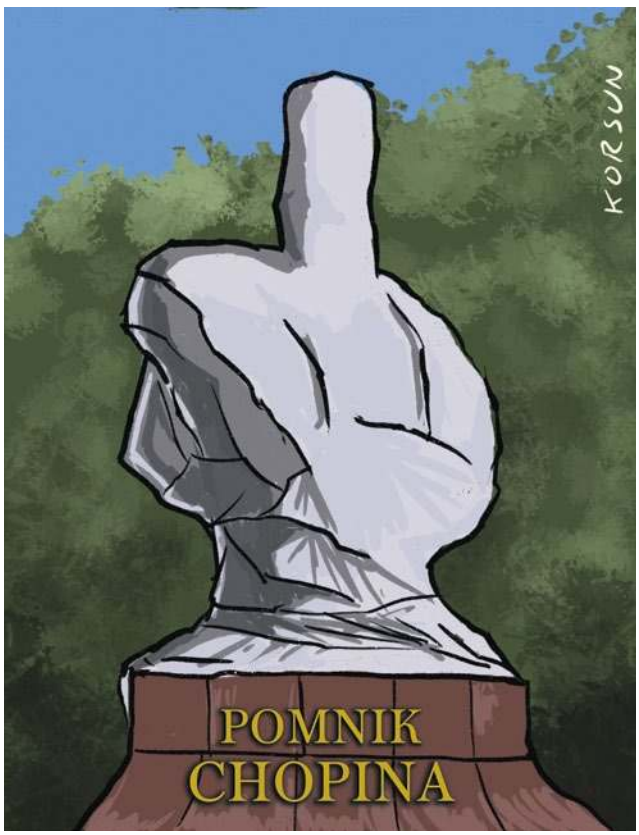
Jakieś dwa miesiące temu w obwodzie sumskim Ruski próbował ataku przez rurociąg. Nic z tego nie wyszło, bo część się podusiła, a reszta trafiła do niewoli. Teraz w Kupiańsku powtórzyli numer, ale tym razem rurą kanalizacyjną. Aby przyspieszyć mozolne czołganie się, dowództwo wyposażyło bojców w specjalne wózki do leżenia, ciągnięte na szerszych odcinkach przez hulajnogi. Naszpikowano ich też środkami na zaparcie, żeby w czasie pobytu w rurze nie było poważniejszych problemów. Początkowo operacja przebiegała pomyślnie. Pierwsze grupy wyłaziły z rury i w cywilnych ubraniach, z ukrytą bronią, przedostawały się do Kupiańska, gdzie mimo bliskości frontu nadal jest dużo cywilów. Kacap zakładał przerzucenie tam niepostrzeżenie większej liczby żołnierzy i szybki atak z zaskoczenia. Cała operacja posypała się, gdy rosyjscy blogerzy pochwalili się nią w mediach społecznościowych. Ukraińcy natychmiast nakryli wylot z rury zmasowanym ogniem, a wojsko rzuciło się do przeczesywania Kupiańska i okolicznych lasów, likwidując i wyłapując część szturmowców. Kilku jeńców potwierdziło, że przypełzli tam rurą. Jeden z wziętych do niewoli uczestników tej akcji opowiada, jak próbowali ją przeprowadzić – znowu połowa prawie się podusiła. Oni są niereformowalni!

Współpraca: „Skipper"

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 0506e848ed

Michał Korsun prezentuje:* *Tak Trzaskowski wita gości na 100-lecie Konkursu Chopinowskiego



Wycinki z przeszłości


DZIENNIK ŁÓDZKI

Fale eteru eliminują
drutu telefoniczne

Przemówienie H. Wilsona

Inauguracja VII FFF

Ponad 30 min. zł strat

LODY PRZECIW GRYPIE

Wzorem radzieckim podjęto w Dreźnie eksperymentalną próbę zapobiegania zachorowaniom na grypę przez sprzedaż lodów w sklepach detalicznych.

Badania naukowe wykazały bowiem, że powolne spożywanie zimą lodów hartuje doskonale drogi oddechowe.

Lody przeciw grypie. Nadeszła jesień, a wraz z nią sezon grypowy. Już w 1964 r. naukowcy ze Związku Radzieckiego śpieszyli z pomocą, zachęcając do jedzenia... lodów. „Wzorem radzieckim podjęto w Dreźnie eksperymentalną próbę zapobiegania zachorowaniom na grypę [...]. Badania naukowe wykazały bowiem, że powolne spożywanie zimą lodów hartuje doskonale drogi oddechowe". Miłośnicy lodów na pewno ucieszą się także teraz! Bo zdrowie jest najważniejsze.

(sp)

Z WOLEJA

Zupełnie nieferalna 13



Ryszard Czarnecki

Gdy dotrze do Państwa ten numer „Sieci" – czyli 13 października – będzie można wspomnieć kilka ważnych sportowych rocznic. Równo 131 lat temu rozegrano pierwsze derby w dziejach futbolu. Oczywiście w Anglii. W Liverpoolu zmierzył się późniejszy klubowy mistrz Europy FC Liverpool z Evertonem. Dzisiaj ci pierwsi są o wiele bardziej utytułowani, ale wtedy wygrali ci drudzy (3:0). Fenomenu takich spotkań nie zrozumie nikt, kto nie oglądał na żywo derbów Warszawy (Legia kontra kiedyś Gwardia, teraz nic, ale za jakiś czas może Legia–Polonia), Krakowa (Wisła–Cracovia), Trójmiasta (Arka–Lechia), Łodzi (ŁKS–Widzew), Górnego Śląska (Górnik–Ruch), Dolnego Śląska (Śląsk–Zagłębie Lubin), Rzymu (Lazio–AS Roma), Mediolanu (AC Milan–Inter), Turynu (Juventus–AC Torino), Madrytu (Real–Atletico), stolicy Katalonii (FC Barcelona–Espanyol). Derbowe mecze zawsze odbywają się „pod specjalnym napięciem". Wyjątkiem jest Poznań – gdy Lech grał z Wartą, to kibice siedzieli razem, bo ci drudzy mają tak pojemne serca, że mieści się w nich także „Kolejorz".

13 października 2002 r. mistrzem świata w wyścigach samochodowych Formuły 1 po raz piąty został Niemiec Michael Schumacher. Potem jeszcze dołożył dwa tytuły. Po 16 latach ten rekord wyrównał Brytyjczyk Lewis Hamilton. Wcześniej Schumacher został jedynym kierowcą w dziejach, który ukończył wszystkie wyścigi w jednym sezonie na podium (właśnie w 2001 r.). Z Ralfem byli jedynymi braćmi, którzy wygrali wyścigi w Formule 1 oraz w jednym wyścigu zajęli dwa pierwsze miejsca. Przed 12 laty podczas jazdy na nartach z synem we francuskich Alpach Michael upadł i mimo niewielkiej prędkości oraz kasku tak mocno uderzył głową w kamień, że do dziś nie odzyskał przytomności.

13 października 2007 r. odbyło się setne Grand Prix na żużlu, czyli turniej mistrzostw świata. Pierwsze w historii – w 1995 r. w Polsce (Stadion Olimpijski we Wrocławiu) – oglądałem na własne oczy, wygrał wtedy legendarny Tomasz Gollob (Tomku, pozdrowienia!). Królem rozgrywanego już od 30 lat GP również jest nasz rodak, Bartosz Zmarzlik, który został mistrzem globu już sześć razy. Tak samo jak Nowozelandczyk Ivan Mauger i Szwed Tony Rickardsson.

Tyle że Polak zdobył wszystkie tytuły nie w jednym turnieju jak Mauger, tylko w cyklu turniejów, co oczywiście jest dużo trudniejsze (Szwed pięć razy wygrywał cykle GP, ale raz, w 1994 r., zdobył tytuł mistrza świata w jednodniowym turnieju). A o fenomenie speedwaya w Polsce świadczy fakt, że Zmarzlik był mistrzem świata sześć razy, ale mistrzem Polski tylko trzy...

eprasa.pl 0506e848ed

OD A DO ZYBERTOWICZA

Urodzinowe przesłanie

Podobno przez najbliższe lata mam mieć dużo szczęścia, bo w liczbach określających mój wiek będzie regularnie, co rok, powtarzała się siódemka.

Gdy niedawno grupa młodych przyjaciół przyszła do mnie z urodzinowymi życzeniami, otrzymałem od nich – poza samym faktem ich obecności – dwa prezenty: butelkę whisky (która zapowiada się dobrze, ale z oceną poczekam do chwili jej otworzenia) oraz książeczkę poetycko-intelektualną zatytułowaną „Sand and foam", co można przetłumaczyć np. tak: „Między piaskiem a pianą".

To zbiór aforyzmów nieznanego mi wcześniej Libańczyka Kahlila Gibrana, po raz pierwszy opublikowany w 1926 r. Tytuł nawiązuje do ulotności ludzkich odcisków zostawianych na brzegu życia, które tak jak ślady na piasku znikają wraz z nadchodzącą falą.

Gibran (1883–1931) przeżył tylko 48 lat, ale swą myślą dotarł do głębin istnienia – nie potrafi sięgnąć ku nim wielu intelektualistów, którym dane jest żyć znacznie dłużej. Dowiedziałem się też, że najbardziej znane, przełożone na ponad 100 języków dzieło Gibrana to książeczka „Prorok". Już ją sobie zamówiłem i może też o niej napiszę.



Kolejne urodziny ze szczęśliwą siódemką na początku, a ja czuję ironię. Jakąś ironię losu przyniesioną przez postęp naukowo-techniczny

JESTEŚMY RZEKĄ ŚWIATŁA

Podczas przeglądania „Sand and foam" moją uwagę przykuło następujące spostrzeżenie (?) autora: *Humanity is a river of light running from the ex-eternity to eternity*. Po polsku można by to ująć tak: „Ludzkość jest rzeką światła płynącą od przedwieczności do wieczności".

Nie wiem, czy myśl ta mnie bardziej ucieszyła, ukoiła, czy zaniepokoiła. Uświadomiłem sobie bowiem, że przyszło nam (wam, czytelnicy, i mnie) żyć w epoce, w której bieg tej rzeki może zostać nie tyle anihilowany, ile potężnie zaburzony. Mam na myśli szybki ostatnio rozwój sztucznej inteligencji, witany przez niektóre osoby, np. ze świata sztuki, z entuzjazmem – jako otworzenie drogi do takiej dalszej ewolucji rozumu, która przekroczy ograniczenia ludzkiej umysłowości.

Taka perspektywa budzi mój niepokój i niechęć. I im dłużej o tym myślę, tym bardziej czuję, że to nie przesada, lecz trzeźwe spojrzenie na nadciągającą burzę. Rzeka światła Gibrana, ta płynąca od przedwieczności do wieczności, może zostać skażona, jej nurt skierowany w martwe rozlewiska, gdzie światło gaśnie w cieniu algorytmów.

AI JAKO INTRUZ?

Sztuczna inteligencja, witana przez niektórych jako zbawienie, dla mnie jawi się jako intruz. W świecie sztuki, który powinien być bastionem ludzkiej unikalności, AI kradnie kreatywność – generuje obrazy, wiersze, muzykę, naśladując geniuszy. Nawet jeśli jakoś się okaże, że nie jest prawdą teza, iż AI *tworzy bez iskry duszy*, to czy między nami a Bogiem (przyjąwszy, że istnieje) potrzebujemy jakiegoś sztucznego pośrednika? To nie ewolucja, lecz imitacja, która spłaszcza naszą wyobraźnię do danych i wzorców.

A co z codziennością? Algorytmy decydują o naszych wyborach, manipulują emocjami w mediach społecznościowych, tworzą bańki, w których prawda tonie w niekończącym się oceanie dezinformacji.

Ludzkość, zamiast płynąć swobodnie, jest kanalizowana w wąskie koleiny korporacyjnych interesów. Gibran żył krótko, ale intensywnie, jego myśli były owocem głębokiego przeżywania, a nie obliczeń. Dziś, w erze AI, grozi nam utrata tego głębszego wymiaru. Maszyny nie czują, nie marzą, nie cierpią – a bez tego rzeka staje się suchym korytem.

Obecne w tak wielu filmach apokaliptyczne wizje jawią się jako aż nazbyt realne: masowa utrata miejsc pracy, erozja prywatności, nawet konflikty zbrojne – niebawem sterowane przez autonomiczne systemy. To nie jest tylko zaburzenie nurtu rzeki, lecz jego potencjalne wyschnięcie.

Kolejne urodziny ze szczęśliwą siódemką na początku, a ja czuję ironię. Jakąś ironię losu przyniesioną przez postęp naukowo-techniczny.

Prezenty – whisky oraz książka – przypominają o ulotności. Whisky zostanie wypita; piasek i piana, ślady zmywane przez falę. „Prorok" Gibrana, gdy przyjdzie, może nas rozliczy, a nie pocieszy. Ludzkość płynie, ale dokąd? W stronę wieczności czy otchłani? Niechęć do beztroski rośnie, a niepokój każe czujnie patrzeć na horyzont.

Andrzej Zybertowicz

Autopromocja x2

eprasa.pl 0506e848ed

Czytaj nas w najlepszej cenie!



Teraz **tylko 7,35 zł** za jedno wydanie (w prenumeracie rocznej), podczas gdy cena w kiosku to **12,90 zł**.

Jak zamówić papierową prenumeratę tygodnika SIECI ?

1 Wybierz swoją prenumeratę

	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
cena prenumeraty	118 zł	207 zł	**375 zł** NAJLEPSZY WYBÓR
cena w kiosku	~~167,70 zł~~	~~322,50 zł~~	~~657,90 zł~~

Informacje o prenumeracie: tel. 22 616 36 00 (poniedziałek-piątek w godz. 14-16)

2 Zamów i opłać

- Zamów prenumeratę przez stronę **www.sieciprawdy.pl/prenumerata** i opłać przelewem ze swojego konta
- **Jeśli nie korzystasz z internetu**, opłać prenumeratę na poczcie, podając dane do wpłaty w okienku

Wytnij karteczkę-niezbędnik na pocztę

Dane do opłacenia prenumeraty Sieci na poczcie:

Nazwa odbiorcy: Fratria sp. z o.o.

Nr konta: 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290

Tytuł wpłaty: .....

.....

(tu wpisz adres dostawy prenumeraty – to warunek otrzymania prenumeraty)

Kwota: .....

(tu wpisz cenę wybranej prenumeraty, np. 375 zł)



eprasa.pl 0506e848ed

SUBSKRYPCJA wPolityce.pl Premium + i SIECI

Czytaj wygodnie i **wcześniej** niż inni już od 7,90 zł



- mocne komentarze publicystów, aktualne informacje z Polski i ze świata, wywiady z najważniejszymi ludźmi polityki
- **wszystkie zamknięte artykuły na** wPolityce.pl Premium +
- pełne **e-wydanie tygodnika** SIECI wcześniej niż inni, bo już w niedzielę o 18:00
- **w prezencie świetne ebooki Sieci Extra** udostępniane TYLKO subskrybentom

Zamów dziś na **www.siec.wpolityce.pl/oferta**

ZESKANUJ KOD I DOWIEDZ SIĘ WIĘCEJ

eprasa.pl 0506e848ed